



Nie ma czasu na strach
Komandos GROM-u ujawnia
kulisy szalonych akcji

Romans polskiej noblistki
Jak Maria Skłodowska-Curie
zszokowała Francję

Dziki Zachód w II RP
Krwawe ataki terrorystyczne
ukraińskich nacjonalistów

NR 6(76)/2019 CZERWIEC 2019

CENA 8,90 zł (w tym 8% VAT)

HISTORIA

DO
MIESIĘCZNIK LUSICKIEGO
RZECZY



Irak i Afganistan
POLACY
NA WOJNIE



PARTNER
STRATEGICZNY
VII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI

2019



ADRES: HISTORIA DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: historia@dorzeczy.pl

WWW.SUPERHISTORIA.PL

PROWADZĄCY: Marcin Bartnicki

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY” JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY.

REDAKCJA:

Redaktor naczelny: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:

Redaktorzy: **Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk, Marcin Bartnicki, Piotr Włoczyk**

Studio graficzne: **Wojciech Niedziello** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**

Fotoreporterzy: **Edyta Bortowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska**
Okładka: **Krzysztof Wyrzykowski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Blanka Aleksowska, Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzys, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także SuperExpress), **Marek Budzisz**

WYDAWCA:

Orle Pióro sp. z o.o.

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu spółka Orle Pióro
wchodzi w skład grupy kapitałowej PMPG SA,
notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**

Zarząd spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisiecki

BIURO REKLAMY: +48 22 347 50 10

reklama@dorzeczy.pl

PUBLIC RELATIONS:

pr@point-group.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż),

Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@mpmg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515

Nr indeksu 296031

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy” jest zabronione. © © Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.



Polacy polegli w Iraku i Afganistanie

44 poległych w Afganistanie:

ppor. Łukasz Kurowski, st. kpr. Szymon Słowik, st. szer. Hubert Kowalewski, st. szer. Grzegorz Polkowski, ppor. Robert Marczewski, st. kpr. Waldemar Sujdak, st. szer. Paweł Szwed, st. szer. Paweł Brodzicki, chor. Andrzej Rozmiarek, por. Daniel Ambroziński, plut. Marcin Poręba, st. szer. Artur Pyc, st. szer. Piotr Marciniak, st. szer. Szymon Graczyk, st. szer. Radosław Szyszkiewicz, st. szer. Michał Kołek, kpr. Miłosz Górka, st. szer. Grzegorz Bukowski, plut. Paweł Stypuła, st. szer. Dariusz Tylanda, sierż. Kazimierz Kasprzak, st. szer. Adam Szada-Borzykowski, st. szer. Marcin Pastusiak, Marcin Knap, mł. chor. Bartosz Spychała, st. szer. Paweł Staniaszek, st. kpr. Jarosław Maćkowiak, st. szer. Paweł Poświat, st. szer. Szymon Sitarczuk, st. szer. Rafał Nowakowski, st. szer. Mariusz Deptuła, st. kpr. Piotr Ciesielski, st. szer. Łukasz Krawiec, st. szer. Marcin Szczurowski, st. szer. Marek Tomala, szer. Krystian Banach, Zbi-

gniew Biskup, kpt. Krzysztof Woźniak, st. szer. Paweł Ordyński, plut. Jan Kiepora, st. kpr. Łukasz Sroczyński, chor. Mirosław Łucki, plut. Rafał Celebudzi oraz jeden żołnierz, którego imię i nazwisko nie zostało podane do wiadomości na prośbę rodziny.

22 poległych w Iraku:

mjr Hieronim Kupczyk, st. szer. Gerard Wasielewski, st. chor. Marek Krajewski, kpt. Sławomir Stróżak, plut. Tomasz Krygiel, kpr. Andrzej Zielke, st. kpr. Marcin Rutkowski, st. szer. Grzegorz Rusinek, szer. Sylwester Kutrzyk, st. szer. Krystian Andrzejczak, ppor. Piotr Mazurek, ppor. Daniel Różyński, st. szer. Grzegorz Nosek, kpt. Jacek Kostecki, chor. Paweł Jelonek, mł. chor. Karol Szlązak, st. szer. Roman Góralczyk, sierż. Tomasz Murkowski, st. szer. Piotr Nita, st. szer. Tomasz Jura, mjr Jarosław Posadzy, plut. Andrzej Filipek.

Od redaktora



Piotr Zychowicz

Bohaterowie prawdziwych wojen

W 2002 r. polscy żołnierze pojechali do Afganistanu. A w 2003 r. – u boku Amerykanów – wzięli udział w interwencji w Iraku.

W sumie w obu krajach, w ramach „misji stabilizacyjnych”, służyły tysiące Polaków. Określenie „misja stabilizacyjna” jest jednak mylące. To były bowiem regularne wojny.

Do Polaków strzelano z ostrej amunicji, a Polacy odpowiadali ogniem. Toczyli zacięte bitwy i brali udział w niebezpiecznych potyczkach, śmiertelnie niebezpiecznych konwojach. Na polskie bazy sypały się rakiety i pociski moździerzowe. Nasze jednostki specjalne wykonały setki brawurowych, niezwykle ryzykownych operacji.

W Polsce do dziś toczy się spór o to, czy udział naszych żołnierzy w egzotycznych wojnach w Iraku i Afganistanie miał sens. Co na tym zyskaliśmy? Jaki jest rachunek zysków i strat? Czy cena, jaką zapłaciliśmy za to, by umocnić pozycję kluczowego sojusznika Waszyngtonu, nie była zbyt wysoka?

Zakładam, że czytelnicy „Historii Do Rzeczy” – podobnie jak wszyscy Polacy – są w tej sprawie podzieleni. I na zadane powyżej pyta-

nia udzieliliby rozmaitych odpowiedzi. Jedno jest jednak niepodważalne. Poza dyskusją. Wszyscy jesteśmy dumni z naszych dzielnych żołnierzy. Młodych chłopców, którzy musieli przelewać krew na odległych, spalonych słońcem pustyniach i w gęstej płataninie uliczek irackich i afgańskich miast.

Wielu z nich wspięło się na wyżyny bohaterstwa. Okazali się godnymi kontynuatorami chwalebnych tradycji oręża Rzeczypospolitej.

Na łamach „Historii Do Rzeczy” z reguły zajmujemy się wydarzeniami sprzed wielu lat. Powstaniami, rewolucją bolszewicką, czerwoną inwazją 1920 r., II wojną światową czy epopeją żołnierzy wyklętych. Tym razem postanowiliśmy opowiedzieć o sprawach nie tak odległych.

Trudno w to uwierzyć, ale od rozpoczęcia wojen w Iraku i Afganistanie minęło ponad 15 lat. A przecież wszystko, co wydarzyło się wczoraj, jest już historią.

Ten numer naszego miesięcznika dedykujemy wszystkim polskim żołnierzom, którzy przeszli przez Afganistan i Irak. A w szczególności tym, którzy w trakcie obu wojen polegli. Cześć ich pamięci! ©©



/ TEMAT NUMERU

.6 GRZEGORZ JANISZEWSKI

Batalia o Karbale

.10 WYWIAD Z KOMANDOSEM „NAVALEM”
Nie ma czasu na strach

.16 PIOTR WŁOCZYK
Zamach na ambasadora Pietrzyka

.22 MARCIN BARTNICKI
Śmierć w Nangar Khel

.26 DEBATA O SENS MISJI W IRAKU
Janusz Korwin-Mikke
kontra Witold Waszczykowski



/ FELIETONY

.84 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

Aksamitny Orwell

.85 PIOTR SEMKA
Miejsce, o którym
zapomnieli bédékery

.99 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
Zapomniane Intermarium
polsko-ukraińskie

/ KRESY

.86 TOMASZ STAŃCZYK

Kresowe bastiony Polaków

/ CZASY I LUDZIE

.28 SŁAWOMIR KOPER

Romans polskiej noblistki

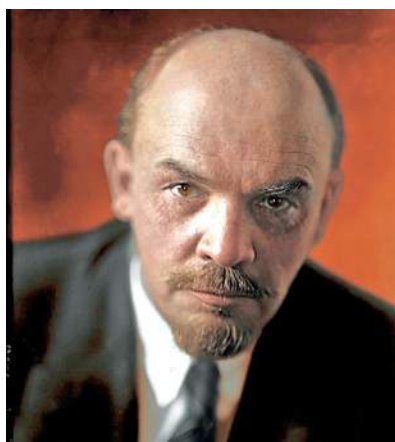
.32 RAY LAMBERT
Walczyłem
w 1944 r. w Normandii

.36 PIOTR ZYCHOWICZ
Dziki Zachód w Galicji Wschodniej

.40 TOMASZ STAŃCZYK
Z getta do „aryjskich” domów

.43 PIOTR SEMKA
Powietrzna szarża na gestapo

.50 MIKOŁAJ IWANOW
Wrzód miński



.54 JAKUB OSTROMĘCKI
Prohibicja i Al Capone

.59 ŁUKASZ CZARNECKI
Krzyżowcy kontra
Bizancjum

.62 MARIAN ZACHARSKI
Wybitny
agent ochrony

.66 MAREK
GAŁĘZOWSKI
Groźny miraż
pansławizmu

.70 MACIEJ ROSALAK
Kometa, lód i potop

.74 PIOTR ZYCHOWICZ
Humor
w Wojsku Polskim

.96 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Szampon



/ BATALIE I WODZOWIE

.90 MACIEJ ROSALAK

Nie tylko Obertyn

/ KOMIKS

.98 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI,
MACIEJ JASIŃSKI

Zulusi biją Anglików



/ CO CZYTAĆ

.76 KRZYSZTOF MASŁOŃ

Nieznosna polskość bytu Gombrowicza

Gerald Posner wraz z **Johnem Warem** uzyskali dostęp do wszystkich dzienników i listów **Josefa Mengele**. Dowiedzieli się kim był człowiek, który został przerażającym Aniołem Śmierci z Auschwitz. Zbrodniarzem, który nigdy nie poniósł kary za niewyobrażalne okrucieństwo.

KSIĄŻKA AUTORA
BESTSELLEROWYCH
„DZIECI HITLERA”!



2004 r. / Największa bitwa polskich żołnierzy po II wojnie światowej

Batalia o Karbale



Polscy żołnierze w bazie Echo Camp na tle helikoptera Mi-24, 2007 r.

FOT. KAROL PACZESNY/REPORTER



Grzegorz Janiszewski

Jeden z Polaków wspominał: – Szli na nas godzinami, falami. Jak Turcy na Kamieniec Podolski

W marcu 2004 r. do Karbali zaczęli ściągać pielgrzymi z całego kraju. Mogło ich być nawet 5 mln. Zbliżała się Aszura, święto ustanowione dla upamiętnienia męczeńskiej śmierci wnuka Mahometa i pretendenta do spuścizny po nim, Husajna ibn Alego. Przez miasto, leżące w środkowym Iraku, ciągnęli pątnicy pod czerwonymi, czar-

nymi i zielonymi sztandarami. Mężczyźni smagali plecy ostro zakończonymi sznurami biczów i nacinali piersi oraz czoła sztyletami. Krew z licznych ran obficie zalewała im twarze i plecy. Głębsze rany i więcej krwi to większe oddanie i poświęcenie dla Allaha. Bezpańskie psy włożyły się gromadami, uciekając przed ludźmi i szczekając na tłumy nieznajomych.

W tamtym czasie cały polski kontyngent w Iraku liczył ponad 2,5 tys.

żołnierzy. Około 200 z nich, z 17. Brygady Zmechanizowanej z Międzyrzecza i 18. Batalionu Desantowo-Szturmowego z Bielska-Białej, od lutego stacjonowało w bazie Camp Lima pod Karbalą. W półmilionowym mieście panował jeszcze spokój, bez przeszkód mogli je patrolować w swoich nieopancerzonych honkerach.

Radykalny szyicki duchowny Muklada as-Sadr postanowił wykorzystać zbliżające się święto do pokazania, że okupanci nie panują nad sytuacją w regionie. Nieco wcześniej jego zwolennicy rozpoczęli walkę z iracką policją i armią w Nadżafie i Faludży. Zamieszki wybuchły też w takich miastach jak Ad-Diwanija i Al-Kut. Partyzanci atakowali wojskowe koszary i posterunki policji. Rozbijali więzienia, uwalniając aresztowanych wcześniej zwolenników As-Sadra i zwykłych kryminalistów. Zbroili się w przejętych po uciekających irackich żołnierzach i policjantach magazynach. Amerykanie walczyli z nimi, używając ciężkiej broni i lotnictwa, co tylko wzmacniało opór.

Obronić ratusz

Zwolennicy As-Sadra przygotowywali się do rozpoczęcia rebelii również w Karbali, gdzie ze względu na obecność pielgrzymów czuli się dość pewnie. Rebelianci podsłuchiwali polskie wojskowe niekodowane kanały radiowe. Na ulicach uzbrojeni mężczyźni prowokowali żołnierzy, pokazując im obraźliwe gesty. Niektórzy miejscowi tłumacze i lokalni pracownicy pracowali dla sadrystów.

W dniu 3 kwietnia na placu pomiędzy meczetami sanktuarium Imama Husajna swoje pasy szahida zdetonowało trzech zamachowców-samobójców. Dwie polskie karetki mimo niebezpieczeństwa wyjechały ratować rannych. W zamachach zginęło prawie 140 osób, 200 zostało rannych. Szczątki rozerwanych wybuchem leżały na całym placu. Dowodzący Polakami gen. Edward Gruszką rozkazał zwinąć posterunki kontrolne na rogatkach Karbali. Żołnierze byli wówczas bezpieczniejsi, ale do miasta napływać zaczęło coraz więcej uzbrojonych bojowników. Na ulicach zaczęły się walki między Arabami z różnych ugrupowań. W bazach koalicji podwyższono stopień alarmowy do najwyższego.

Około północy z 4 na 5 kwietnia 2004 r. powstańcy As-Sadra zaatakowali siedzibę władz – ratusz w Karbali. City Hall – bo taka nazwa używana była przez polskich żołnierzy – to kilkupiętrowy budynek położony w centrum miasta. Leżał kilkaset metrów od świętych meczetów szyitów. Dostępu do niego broniły betonowe zapory i zwoje koncertyny, drutu najeżonego ostrymi skrawkami metalu. Przed zaporami rozciągał się długi na 120 i szeroki na 100 m pusty plac. Ratusz otaczały gęsto zamieszkane budynki mieszkalne i meczety. Została w nim tylko garstka irackich policjantów wiernych rządowi i przerażonych wizją zemsty ze strony ludzi As-Sadra.

Komendant irackiej policji w Karbali gen. Abbas Fadil al-Hasani poprosił o pomoc gen. Gruszkę. Ten wysłał do ratusza pododdział szybkiego reagowania – Quick Reaction Force. Czternastu żołnierzy uzbrojonych w kałasznikowy i ręczne karabiny maszynowe. Grupa wyruszyła przez ogarnięte rebelią miasto. Nie było elektryczności, nie świeciły uliczne lampy. Nocne ciemności rozświetlały jedynie wybuchające tu i ówdzie pociski moździerzowe i poczary. Żołnierze podjechali z tyłu, od południowego wschodu, i od razu włączyli się do walki, pomagając policjantom odeprzeć ataki. Starcia trwały całą noc. A był to dopiero początek boju o City Hall.

Rząd Leszka Millera, wysyłając polskich żołnierzy do udziału w misji w Iraku w 2003 r., prawdopodobnie nie spodziewał się tego, z czym naprawdę przyjdzie się im mierzyć. Trzeba było „tylko” zaprowadzić demokrację w kraju przez wieki rządzonego przez despotów, podzielonego i wręcz kipiącego od wyznaniowych, plemiennych i rodowych

ważni, brutalnie tłumionych przez władze. Naszym sojusznikom zza oceanu wydawało się to całkowicie realne. Zresztą wtedy nie tylko im. W tle były bajeczne kontrakty na odbudowę Iraku dla polskich firm i obietnica zniesienia wiz do USA.

W nagrodę za zaangażowanie Polacy otrzymali nawet swoją strefę odpowiedzialności – South Central Zone. Szeroki na 100 km pas, ciągnący się od zachodniej do wschodniej granicy w centralnej części kraju, na południe od Bagdadu. Porządek i bezpieczeństwo miała tam zapewniać dowodzona przez polskiego generała Wielonarodowa Dywizja Centrum Południe.

Powiedzieć, że polska armia nie była przygotowana do takiej misji, nie oddałoby realizmu sytuacji. Polska od lat uczestniczyła w „pokojowych” misjach ONZ na Bliskim Wschodzie, ale tam nikt nie strzelał do polskich żołnierzy. Tymczasem w Iraku za każdym rogiem czy na dachu domu mógł czaić się snajper albo cywil z kałasznikowem pod galabiją. Pod każdym przydrożnym kamieniem mogła być zakopana detonowana zdalnie mina. Każdy zbliżający się do posterunku kontrolnego samochód mógł być kierowany przez zamachowca samobójcę.

Do zadań w Iraku Polaków miało przygotować krótkie szkolenie.

Fatalnie wyglądał misyjny sprzęt.

Podstawą transportu były tarpany honkery i stary. Samochody nieopancerzone i słabo przygotowane do irackich warunków. Na miejscu żołnierze okładali

je workami z piaskiem i kamizelkami kuloodpornymi, dospalali dodatkowe blachy, chroniące przed ostrzałami.

Spółczesność, nie do końca informowane o tym, co naprawdę robią polscy żołnierze w Iraku, reagowało z umiarkowanym entuzjazmem, spadającym po



Karabinek wz. 88 Tantal

FOT. ARCHIWUM



Polski patrol w Iraku, 2006 r. FOT. WIKIPEDIA

■ każdej śmiertelnej ofierze misji. Nikt nie spodziewał się, że w takich warunkach polskim żołnierzom przyjdzie toczyć ich największą – od czasów II wojny światowej – bitwę.

Biało-czerwona na maszcie

Następnego dnia rano ppłk Tomasz Domański – dowódca batalionowej grupy bojowej z bazy Lima – wysłał obrońcom City Hall posiłki. Grupą ok. 40 żołnierzy dowodził kpt. Grzegorz Kaliciak, 31-letni absolwent wrocławskiego ZMECH (Wyższa Szkoła Oficerska Wojsk Zmechanizowanych „ZMECH”). W Polsce służył na stanowisku dowódcy kompanii rozpoznawczej w 17. Brygadzie Zmechanizowanej w Wędrzynie. Żołnierze zabierają parę moździerzów, wyrzutnie granatów przeciwpancernych RPG, ręczne karabiny maszynowe i snajperskie. Dołącza do nich również ok. 40 Bułgarów z jednostki specjalnej 2. Batalionu 20. Regimentu Atlantyckiego pod dowództwem kpt. Getowa. Mają dwa bojowe wozy piechoty na gąsienicach – BWP uzbrojone w gładkolufowe armaty kalibru 73 mm, gaziki i ciężarowe ziły 131 zapakowane amunicją, racjami żywnościowymi i wodą. Przez zrewoltowane miasto przemieszczają się kolumną. Jadący na przodzie BWP rozbija po drodze dwie barykady, torując drogę pozostałym pojazdom.

Kapitan Kaliciak zostawił BWP przed budynkiem jako osłonę od strony placu. W konwoju dojechał polski opancerzony wóz BRDM. Obrońcy mają ich teraz dwa, nazwane przez żołnierzy „Zajączek”

i „Iwonka” – ten drugi od imienia dziewczyny jednego z nich. Wozy zostały ukryte za załomami murów. Okna w budynku ratusza obłożono workami z piaskiem. Na dachu, okolonym półmetrowym murkiem, rozmieścili się Polacy i część Bułgarów, budując z betonowych płyt wzmocnione stanowiska. Reszta Bułgarów zajęła ufortyfikowane doraźnie pozycje na parterze. Na dachu budynku, na najwyższym maszcie zawisa biało-czerwona flaga.

Na razie panowała cisza. Rebelianci kryli się w domach i zaułkach. Nad miastem latały amerykańskie helikoptery, wypatrując celów. Polscy żołnierze mieli amunicję, żywność i wodę, ale nie wiedzieli nic o przeciwniku. Ilu bojowników zaatakują, czy i kiedy to nastąpi, w jaką broń będą wyposażeni. Pozostawało czekać i liczyć na odparcie przeciwnika albo ewakuację przez ulice zrewoltowanego miasta. Lądowanie śmigłowców ze względu na gęstą zabudowę, w której mogli kryć się rebelianci z wyrzutniami granatów i karabinami maszynowymi, było niemożliwe.

Wytrzymać do rana

Po zapadnięciu zmroku na budynek i irackich policjantów przed nim posypały się pociski. Potem nastąpiła kilkugodzinna cisza. W końcu rozdarł ją strzał z wyrzutni RPG. Granat przeleciał nad wieżyczką BRDM. Załoga odpowiedziała ogniem, trafiając napastnika, który padł na ziemię. Po chwili zaczął czołgać się w stronę porzuconej wyrzutni. Strzelec

erkaemu patrzył jak zahipnotyzowany na usiłującego dosięgnąć metalowej rury, zakrwawionego mężczyznę i nie potrafił nacisnąć spustu. Z letargu wyrwał go dopiero krzyk dowódcy. Jeszcze chwila, a leżący podniesie wyrzutnię, wyceluje i odpali pocisk. Celowniczy w końcu nacisnął spust. Seria pocisków poszatkowała ciało.

Potem na plac przed ratuszem wjechała biała toyota pick-up. Na pace samochodu stało ok. 10 uzbrojonych w kałasznikowy i RPG mężczyzn, którzy krzyczeli coś i strzelali beładnie w stronę budynku. Na głowach arafatki, niektórzy przewiązali czoła zielonymi opaskami – znakiem męczenników. Pierwsi do samochodu zaczęli strzelać Bułgarzy. Serie pocisków rwały blachy karoserii, wybijały szyby i dziurawiły silnik, który zaczął tryskać fontanną czarnego oleju. Opony spadły z kół, felgi zaczęły zgrzytać po asfalcie placu. Samochód skręcił gwałtownie i przewrócił się. Bojownicy wypadli z paki i zaczęli uciekać. Bardziej sprawni skryli się w zaułkach i podcieniach okolicznych domów, pozostałych dosięgły kule obrońców City Hall.

Kolejny atak poprzedził ostrzał budynku z RPG. Strzelec celował z balkonu minaretu. Z zaułków odezwał się moździerz, posyłając pociski na dach ratusza. Na plac wbiegły cztery grupy mężczyzn, uzbrojonych w kałasznikowy, karabiny irackiej policji i granaty. Nie bacząc na ostrzał prowadzony przez Polaków i Bułgarów, biegli w stronę ratusza. Z piętra którejś z kamienic zaczął bić karabin maszynowy Diegtiariowa. Bojownicy strzelali też z kałasznikowców i karabinów snajperskich. Seria z polskiego karabinu maszynowego poszła w kierunku minaretu. Strzelec z RPG zwałił się w dół przez balustradę. Bułgarzy zaczęli strzelać do nacierających. „Zajączek” i „Iwonka” przyłączyły się do kanonady. Żołnierze na dachu ciągle byli przygwożdżeni ogniem z moździerzy. W pomieszczeniach na parterze w powietrzu fruwały odłamki mebli i odłupane pociskami kawałki tynku ze ścian.

Szturm pod ogniem obrońców szybko się skończył. Część napastników leżała teraz na placu przed ratuszem, poszarpana pociskami. Nie zniechęciło to wcale pozostałych. Do rana szturmowali jeszcze ok. 20 razy. Grupami, po 20–30 bojowników, uzbrojonych w karabiny maszynowe, RPG, granaty, jadących sa-

mochodami lub biegnących w kierunku City Hall. Jak wspominał później kpt. Kaliciak: „Szli na nas godzinami, falami... Jak Turcy na Kamieniec Podolski”.

Ciężki karabin maszynowy NSW kalibru 12,7 mm zamontowany na BRDM dosłownie ciął powietrze pociskami. Na asfalt placu spadały oderwane jego ogniem głowy, ręce i nogi rebeliantów. Z porozrywanych korpusów tryskała krew. Nie powstrzymywało to następnych. Jak w amoku, z religijnymi okrzykami i wyrazem fanatyzmu na twarzach atakowali dalej, kładąc się pokotem pod ogniem obrońców.

Nad ranem został odparty ostatni szturm. Po każdym rosła liczba zabitych i rannych leżących na dziedzińcu przed ratuszem. Polscy i bułgarscy żołnierze obeszlą się bez strat.

Kolejny dzień zaczął się od zawrodożenia muezzinów z minaretów sąsiadujących z ratuszem meczetów. Na plac wjechał wózek ciągnięty przez osła, na który dwóch Arabów zaczęło ładować zwłoki poległych. Mogło ich być od 50 do 100. Do tego ok. 200 rannych. Kaliciak kazał oszczędzać amunicję. Spodziewał się następnych ataków. Odmówił też posiłków z Limy. Zmiana musiałaby jechać przez zajęte przez sadrystów dzielnice.

Jeszcze jedna noc

Kolejna noc zaczęła się od ostrzału z moździerzów. Pociski rozbiły i uszkodziły kilka schronów zlokalizowanych na dachu, raniąc jednego z Bułgarów w pośladek. Jak okazało się później, była to jedyna poważniejsza ofiara bitwy o City Hall.

Przez całą noc trwały kolejne szturmy sadrystów. Rebelianci nadciągają na piechotę, na pakach pick-upów i na motocyklach. Dachem ratusza wstrząsają eksplozje moździerzowych pocisków kalibru 80 i 120 mm, o ściany rozbijają się granaty z RPG. Nad ranem ataki ustają. W stronę obrońców lecą tylko pojedyncze, wystrzelowane z oddali serie z broni maszynowej. Polscy i bułgarscy żołnierze skupiają się na likwidacji strzelców ukrytych w okolicznych domach. Przed wschodem słońca rebeliancki ostrzał całkowicie ustał. Powstańcy wycofali się w kierunku świętych meczetów.

Przed południem do City Hall przyjeżdżają żołnierze z 6. Brygady Desantowo-

-Szturmowej, żeby zmienić podwładnych kpt. Kaliciaka i Bułgarów. Bitwa, która trwała ponad 36 godzin, jest skończona. Ratusz – jedyna ważna budowla w mieście – nie dostał się w ręce rebeliantów.

W Iraku bez zmian

W polskich mediach przez prawie cały czas trwania powstania As-Sadra podawane są uspokajające komunikaty. Oficjalnie polscy żołnierze uczestniczą w działaniach „stabilizacyjnych”, ale nikt dokładnie nie potrafi wyjaśnić, na czym one polegają.

Na temat największej bitwy stoczonej przez Polaków od czasów II wojny światowej zapada cisza. Oficjalnie nikt nie gratuluje żołnierzom, uczestnicy długo nie dostają nawet medali za udział w misji – Gwiazd Iraku, nie mówiąc o odznaczeniach bojowych. Polska armia jest kompletnie nieprzygotowana na takie wydarzenia.

wojsku bardzo wiele. Kończy się prowizorka i dospawanie blach w honkerach i starach. Żołnierze dostają pojazdy, broń i wyposażenie adekwatne do rodzaju zadań. Na misjach wychowa się nowe pokolenie dowódców, wolnych od asekurancja i nawyków wykształconych na sowieckich wzorcach. Weterani z Karbali otrzymują Gwiazdy Iraku i Krzyże Wojskowe. Kapitan Kaliciak w 2009 r. otrzymuje Buzdygana – nagrodę przyznaną przez „Polskę Zbroję”. Rozpędu nabiera też jego kariera, zostaje dowódcą batalionu, później szefem sztabu w swojej jednostce, a w 2018 r. dowódcą nowo powstałej 6. Mazowieckiej Brygady Obrony Terytorialnej.

Losy pozostałych żołnierzy potoczyły się różnie. Celowniczy z BRDM, który długo nie potrafił nacisnąć spustu, przeżywa załamanie, odchodzi z wojska i zatrudnia się w supermarkecie. Niektórym żołnierzom rozpadają się małżeństwa, popadają w alkoholizm,



Kadr z filmu „Karbala”
Krzysztofa Łukaszewicza

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

W 2007 r. gen. Skrzypczak – były dowódca 11. Dywizji Kawalerii Pancernej – prywatnie wydaje spisane przez siebie „Zapiski irackie”, książkę-poradnik będącą zbiorem doświadczeń uczestników misji, w tym jego podwładnego kpt. Kaliciaka. W 2009 r. tematem zaczyna interesować się polska prasa. Wojsko, chcąc nie chcąc, musi odnieść się do sprawy. Przychodzi to tym łatwiej, że iracka misja jest już zakończona.

Udział w niej, podobnie jak w misji w Afganistanie, zmienia w polskim

mają myśli samobójcze. Leczenie wojennego stresu pourazowego – PTSD – jest wtedy w Polsce jeszcze w powijkach. Jednak większość z nich służy dalej i zgłasza się na kolejne zmiany w Iraku oraz Afganistanie. Jak wiele razy wcześniej, również w tej bitwie polski żołnierz pokazał, że mimo wszystkich przeciwności potrafi stanąć na wysokości postawionego przed nim zadania. Nawet jeżdżąc na wpół rolniczym samochodem po irackiej pustyni.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

„Naval” FOT. ADRIAN MATUSIK



GROM / Ze słynnym komandosem – „Navalem”



rozmawia Piotr Zychowicz

Nie ma czasu na strach

Pańska najbardziej brawurowa akcja...

To było w Iraku. Wszystko toczyło się w zawrotnym tempie. Dostaliśmy rozkaz, aby natychmiast się zebrać do kupy. Na lotnisko w Bagdadzie przyleciały po nas samoloty transportowe Hercules. Zapakowaliśmy się do nich, nawet nie wysiadając z samochodów.

Jak to?

Po prostu piloci herculesów otworzyli ładownię i my wjechaliśmy do środka. Błyskawiczny start i po 45 minutach lotu znaleźliśmy się w innej strefie Iraku. Tam wyładunek i krótka odprawa. Wsiedliśmy do samochodów i ruszyliśmy do akcji.

Kto był celem?

Wysoko postawiony przedstawiciel organizacji terrorystycznej, który

przyjechał do Iraku, aby dokonać inspekcji miejscowych komórek. Człowiek ten wymykał się Amerykanom od dawna. Uniknął zatrzymania przez inną jednostkę specjalną. Przechwalał się, że gdy żołnierze go szukali, on kilka godzin leżał w rzece Eufrat i oddychał przez trzcinkę. Słyszał ujadanie psów pościgowych i strzały. Filmowa scena.

Skrzetuski, gdy przedzierał się z obłązonego zbaraża, też zastosował ten trik.

(śmiech) Stare sprawdzone metody. Kolejną próbę schwytania tego człowieka podjęliśmy my. Pędziliśmy w stronę obiektu, w którym miał znajdować się nasz „delikwent”. Nagle dostaliśmy informację, że misja zostaje przerwana. Mamy wracać do bazy. Cel opuścił bowiem budynek w białej toyocie. Wydawało się, że wszystko na nic. Znowu się wymknął.

Fiasco.

Nie! Zobaczyliśmy bowiem przed sobą białą toyotę. Podaliśmy to przez radio, ale informacja nie dotarła do bazy. Przystąpiliśmy do wykonania zadania. Nie było czasu na zastanowienie. Nasz kierowca wcisnął pedał gazu i ruszył w stronę białego samochodu. Terrorysty niczego się nie spodziewali. Nagle huk. Staranowaliśmy toyotę! Wpadła do rowu, a my wyskoczyliśmy na zewnątrz.

Jaka była reakcja terrorystów?

Niebezpieczeństwo polegało na tym, że nasz cel podróżował w asyście dwóch samobójców. W momencie zagrożenia mieli wysadzić się w powietrze. Na szczęście zaskoczenie naszym atakiem było tak olbrzymie, że nie zdążyli tego zrobić.

Co się z nimi stało?

Jedynie Allah to wie. My zaś wyciągnęliśmy tego gościa z wraku. Szybkie porównanie ze zdjęciem. Tak, to on! Drapnęliśmy go do naszego samochodu i pędem do bazy. Wszystko rozebrało się w kilka sekund. W bazie czekali na nas smutni Amerykanie. Przepraszali nas. Byli bowiem przekonani, że akcja spaliła na panewce.

Wyprowadziliście ich z błędu.

Tak, towarzysząc nam Amerykanin powiedział: „We got him!”. Oni zbaranieeli. Jak to? Przecież facet opuścił obiekt! Wtedy wyciągnęliśmy go z samochodu, Amerykanie zrobili wielkie oczy. Byli zdumieni, nie mogli uwierzyć, że dokonaliśmy czegoś takiego.

Kozacka akcja.

Tak. To była kozacka akcja. Zaraz na lotnisku wylądował samolot, który zabrał zatrzymanego przez nas człowieka. Kolejne samoloty przyleciały po nas. Odwiozły nas do Bagdadu. Poszliśmy spać. Rano, gdy się obudziliśmy, nie mo-

gliśmy uwierzyć w to, co się stało. W to, że braliśmy w czymś takim udział!

Gdyby ci dwaj faceci zdążyli się wysadzić w powietrze, byłoby po was.

No cóż, taka robota. Na szczęście jednak nie zdążyli. Jak głosi stare hasło żołnierzy sił specjalnych – „Śmiały zwycięża”. Tego dnia odnieśliśmy sukces z dwóch powodów. Po pierwsze – byliśmy świetnie przeszkoleni. A po drugie – mieliśmy kupę szczęścia. Na wojnie szczęście jest piekielnie potrzebne. Gdy go brakuje, nawet najlepsza i najbardziej nowoczesna broń niewiele pomoże.

Posypał się na was deszcz awansów i odznaczeń?

(śmiech) Pan żartuje.

Cofnijmy się do początku. Wojska koalicji zaatakowały Irak w marcu 2003 r. Jaką rolę odegrał wówczas GROM?

Od razu zaznaczam, że w tych pierwszych akcjach udziału nie brałem. Ja służyłem wcześniej na wodach Zatoki Perskiej. A chłopcy, którzy w marcu 2003 r. ruszyli do akcji, otrzymali zadanie opanowania platform wiertniczych u irackich wybrzeży. A potem zajęcia portu Umm Kasr. To były zadania niezwykłej gagi.

Dlaczego?

Ponieważ istniało zagrożenie, że Saddam Husajn zrobi to, co podczas pierwszej wojny w Zatoce Perskiej. Czyli wywoła gigantyczną katastrofę ekologiczną. Wówczas iracki dyktator podpalił rafinerie i szyby naftowe w Kuwejcie. Całe niebo spowity gęste kłęby czarnego dymu. Uniemożliwiło to loty amerykańskim samolotom i śmigłowcom. Nie można było robić zdjęć satelitarnych. Pożary były tak kolosalne, że w Kuwejcie temperatura wzrosła o 1,5 stopnia!

Irakijczycy wpompowali też do zatoki ropę.

Tak, to z kolei poważnie utrudniło ruchy amerykańskiej marynarki wojennej. Proszę pamiętać, że iracki dostęp do morza jest bardzo wąski. Gdyby GROM i inni sojusznicy w marcu 2003 r. nie zdobyli błyskawicznie Umm Kasr, Irakijczycy mogliby wysadzić w powietrze i zablokować wejście do portu. Cała logistyka amerykańskiej armii zostałaby sparaliżowana. Drogą morską dostarczano bowiem oddziałom amunicję, paliwo,

części zamienne do pojazdów, przysyłało kolejne jednostki.

Czyli uderzenie, w którym wzięli udział Polacy, było kluczowe dla przebiegu kampanii?

Tak. To była jedna z największych operacji sił specjalnych w historii wojen. Plan zakładał, że GROM opanuje platformę naftową i utrzyma ją przez trzy dni. Wydarzenia potoczyły się jednak swoim torem. Chłopaki poszły za ciosem. Jak dobry pięściarz, który, gdy raz dobrze trafi, zaraz wyprowadza całą serię ciosów. Całą kombinację. Oprócz zdobywania platform nasi żołnierze wzięli udział w opanowaniu Umm Kasr. Zamiast trzech dni byli w akcji przez dwa tygodnie.

Pełny sukces?

Irakijczycy dali się zaskoczyć. Amerykanie są dobrymi psychologami. Nie wydali rozkazu do ataku pierwszej nocy wojny, gdy obrońcy portu tego się spodziewali. Nie wydali też rozkazu drugiej nocy. W ten sposób uniknęli krwawej bitwy i wysokich strat. Irakijczycy nie byli bowiem w stanie zbyt długo trwać w napięciu i pełnej gotowości bojowej. Trzeciej nocy odpuścili. Amerykanie emitowali w otwartych kanałach telewizyjnych dobre filmy. Dzięki temu nasi żołnierze skrycie podpiłynęli pod platformę, wdarli się do środka i zastali wszystkich obrońców zgromadzonych w sali telewizyjnej! Było pozamiatane. Droga do Iraku stanęła otworem.

Jakie zadania dostał potem GROM?

Abordaż statków, które wypływały z Iraku. Istniało prawdopodobieństwo, że Saddam Husajn i inni czołowi przedstawiciele reżimu – uwięzieni na słynnej talii kart – będą próbowali wymknąć się drogą morską. Żołnierze GROM-u tak krążyli łodziami po Zatoce Perskiej i przetrzepali każdy statek, który wychodził w pełne morze.

Pan w Iraku służył na lądzie?

Tak. Stacjonowaliśmy w bazie i oczekiwaliśmy na kolejne zadania. Nowoczesne wojny nie wyglądają już tak jak kiedyś. Nie ma ustalonych linii frontu, które przesuwają się to w jedną stronę, to w drugą. W Iraku przewaga technologiczna Amerykanów była tak miażdżąca, że gdyby rebelianci próbowali walczyć z nimi w otwartym polu, zostaliby zmieni z powierzchni Ziemi.



Żołnierze GROM-u w ataku na terminal naftowy w Umm Kasr FOT. WIKIPEDIA

Walka w mieście umożliwia stronie słabszej zniwelowanie przewagi technologicznej strony silniejszej?

Dokładnie tak. Faludża, Ramadi, Strefa Gazy, walki toczące się niedawno w Syrii. Przykłady można mnożyć.

Ta słabsza strona, która decyduje się na walkę w mieście, naraża jednak własnych cywili na kolosalne niebezpieczeństwo...

To kwestia różnicy kulturowej. Dla nas, Europejczyków, życie ludzkie, bezpieczeństwo społeczeństwa są na pierwszym miejscu. Druga strona na to nie patrzy. Spora część społeczeństw Bliskiego Wschodu jest w stanie poświęcić swoje miasta, swoje dzieci, swoich cywili. To, co jest dla nas święte, oni mają gdzieś. Zupełnie inna mentalność.

Taka pogarda dla życia własnych cywili chyba nie jest jednak tylko domeną Arabów. Wystarczy przypomnieć tragedię powstania warszawskiego.

Ja mówię o czasach współczesnych. Od powstania warszawskiego minęło sporo czasu.

W swojej książce „Camp Pozzi” opisuje pan niebezpieczne konwoje...

Największe uznanie należy się żołnierzom regularnej armii, którzy przemieszczali się konwojami za dnia. To oni byli najczęściej ostrzeliwani, najeżdżali na miny, wpadali w pułapki. My mieliśmy tę przewagę, że poruszaliśmy się nocą. W całkowitej ciemności. Nasi kierowcy byli wyposażeni w noktowizory. Mieliśmy też wsparcie z powietrza. Cały czas ktoś nad nami czuwał.

Szybko jechaliście?

Jak kierowcy Formuły 1. A między kolejnymi samochodami było zaledwie

pół metra przerwy. Proszę sobie to wyobrazić. Dziesięć samochodów wypełnionych komandosami, które pędzą jak jakiś gigantyczny wąż.

Kierowcy musieli być świetnie przeszkoleni, żeby tak płynnie jechać.

Sami byliśmy kierowcami. Szkoliliśmy się nocami na terenie bazy.

Zdarzało się jednak panu jeździć za dnia.

Tak, wówczas niestety oddawaliśmy inicjatywę przeciwnikowi. Z myśliwych stawaliśmy się zwierzyną. W książce opisuję sytuację, gdy znienacka otwarto do nas ogień z broni maszynowej.

Co się robi w takich sytuacjach?

Gaz do dechy! Spycha się cywilne samochody, które znajdują się na naszej drodze, i pędzi naprzód, aby wydostać się ze strefy śmierci. My potrafiliśmy nie tylko wyjść z takich zasadzek obronną ręką, lecz także mocno odgryźć się rebeliantom. W efekcie szybko nabrali do nas respektu i nas nie atakowali. Gdy dowiadawali się, że jadą special forces, woleli się nie wychylać.

A gdyby jednak was zaatakowali?

To wtedy byłby armagedon.

Był pan też świadkiem ataku na lądujący w Iraku samolot transportowy DHL.

Wracaliśmy wtedy z kolegami ze stołówek. Nagle zobaczyliśmy na niebie wielki samolot, za którym ciągnęła się smuga czarnego dymu. A za nim lecące w asyście śmigłowce. Samolot na szczęście – mimo poważnego uszkodzenia skrzydła – jakoś wydładował. Okazało się, że rebelianci wystrzelili w niego rakietę. Po południu dostaliśmy zadanie: dopaść człowieka, który za tym stał.

To był iracki generał, który oficjalnie współpracował z Amerykanami, a nieoficjalnie z rebeliantami.

Ponoć. Pojechaliśmy po niego nocą. Willa – jak to bywa na Bliskim Wschodzie – była otoczona murem. Przystawiliśmy do niego drabinę i zacząłem się wspinać. Gdy znalazłem się na czubku drabiny, obudził się strażnik, którego generał miał na dachu. I pociągnął serią w naszą stronę. Amerykanie, którzy znajdowali się w samochodach, odpowiedzieli ogniem i uspokoili go. Skutecznie.

A co pan zrobił?

Nie miałem już czasu schodzić na drugą stronę, skoczyłem.

Z całym sprzętem?

Tak.

Ile ważył?

Okolo 45 kg.

Z jakiej wysokości pan skakał?

Z ok. 2,5 metra.

To chyba poczuł pan to zderzenie z ziemią.

Czuję je do dziś.

Co się działo potem?

Adrenalina pompowała mi w żyłach. Rzuciliśmy się do drzwi. Kolega wysadził zamek w powietrze i wpadliśmy do środka. Widok był paskudny. Pan generał w momencie eksplozji podszedł do drzwi i złapał je za klamkę. Miał teraz zranioną rękę. Jeden z kolegów rzucił się, aby go opatrywać. Wówczas spotkała nas niebywała niespodzianka.

Jaka?

Pan generał zwrócił się do nas czystą polszczyzną.

?!

Okazało się, że za czasów, gdy polski reżim komunistyczny współpracował z reżimem Saddama, uczył się w szkole lotniczej w PRL.

Ta historia miała śmieszne zakończenie.

Słynny sejf generała. Wytaszczyliśmy go z jego willi i zapakowaliśmy do samochodu. W bazie zabraliśmy się do prucia sejfu. Krążyły wówczas legendy o skarbach Saddama, górach złota i plikach dolarów. Gdy rozwalaliśmy sejf, przyglądał nam się tłum żołnierzy.

Najpierw była gruba płyta pancerna, potem beton, potem jakieś szklivo. Straszliwa robotą. W końcu udało się jakoś ten sejf rozpruć.

Co było w środku?

(śmiej) Pamiętam tę scenę, jakby to było wczoraj. Tak jak wspominałem, gdy rozwalaliśmy sejf otaczał nas tłum kolegów. Gdy go otworzyliśmy, nagle wszyscy wyparowali. W środku był bowiem tylko... napisany po niemiecku firmowy certyfikat sejfu.

W wojennej literaturze patriotycznej często występują „nieustraszeni bohaterowie”. A jak jest w prawdziwym życiu? Czy rzeczywiście w trakcie walki żołnierz nie odczuwa strachu?

Równie dobrze mógłby pan zapytać: Co czuje górnik, który zjeżdża pod ziemię? Albo co czuje chirurg, który operuje na otwartym sercu. To są profesjonaliści. Zawodowcy. Podobnie jest z żołnierzami GROM-u. Przed wyjazdem na działania bojowe odbyliśmy długie, intensywne szkolenia i treningi, które przygotowały nas do naszych zadań.

Nawet najlepszy trening nie może jednak zamienić człowieka w pozbawionego uczuć cyborga.

Oczywiście, emocje są. Tego nie da się w człowieku zabić. Można go jednak optymalnie przygotować. Weźmy nasze ćwiczenia morskie. Trenowaliśmy na wzburzonej Bałtyku, w styczniu, w lutym. W trakcie mrozu, wiatru, śnieżyca. Na potężnych holownikach, tankowcach, samochodowcach. Warunki i stawiane nam zadania były ekstremalne.

A na wojnie?

A na wojnie znaleźliśmy się na spokojnych wodach Zatoki Perskiej. Przejrzyste powietrze, ciepłutko. Obiektami, które zdobywaliśmy, były małe tankowce i niewielkie stateczki. Moje treningi były znacznie trudniejsze niż operacje bojowe.

W trakcie wykonywanych przez pana misji bywało jednak bardzo niebezpiecznie.

Co weekend na polskich drogach ginie 20–30 osób. Czy pan, gdy wsiada do

samochodu, zastanawia się nad tym, czy tego dnia zginie? Czy też z góry zakłada pan, że bezpiecznie dojedzie na miejsce? Gdybyśmy ja i moi kumple przed każdą operacją bojową rozważali, czy wrócimy cało do bazy, czy nie, tobyśmy sobie ugotowali głowy.

Czyli to była po prostu praca.

Tak. Za to mi płacono. Do tego byłem szkolony. I to wykonywałem. W trakcie akcji nie było żadnych wahań, refleksji. One przychodziły potem. Dopiero gdy wracaliśmy z operacji, docierało do nas, że kule świślały nam nad głowami. Że gdybyśmy zawinęli się do bazy kilkanaście sekund później, byłoby po nas. I cały oddział zostałby zabrany do kraju na pokładzie herculesa. W trumnach.

W trakcie akcji wykonujesz robotę. Odstrelujesz cele, czyścisz pomieszczenia, komunikujesz się. Nie ma czasu na strach.

Wspomniał pan o operacji uwalniania zakładników. Brał pan w takich akcjach udział?

Tak. Ale na razie mogę powiedzieć tylko o emocjach, jakie są związane z taką robotą. W trakcie zwykłej operacji ryzykuje się życie własne. W trakcie operacji uwalniania zakładników – także życie niewinnych cywili. To musi być koronkowa, zegarmistrzowska akcja. Najmniejszy błąd może kosztować kogoś życie. To taka wisienka na torcie dla każdego żołnierza służb specjalnych. Najtrudniejsza możliwa akcja. Nigdy nie wiadomo, co się stanie po wejściu do środka. Ma się ułamek sekundy na ocenę sytuacji i odróżnienie terrorystów od zakładników. Eliminacja celi musi być precyzyjna.

Proszę uchylić rąbka tajemnicy.

Raz ścigaliśmy się z grupą terrorystów. O godz. 17 planowali ścąć

zakładników. Przybyliśmy na ratunek w ostatniej chwili. Mało tego, w drodze wyprzedziliśmy grupę zabójców, którzy na motorach zmierzali na miejsce egzekucji. My lecieliśmy nad nimi w śmigłowcach, nie wiedząc, kim są ci facci! Wylądowaliśmy przed nimi.

I co?

Zakładnicy zostali uratowani.

W Iraku komandosi GROM-u współpracowali z legendarnymi Navy SEALs. Kto był lepszy?

Poziom był równy. My uczyliśmy się od nich, a oni od nas. Nie mieliśmy żadnego powodu do kompleksów wobec amerykańskich kolegów. Byliśmy równie dobrze wyszkoleni. Nas dodatkowo nakręcało to, że czuliśmy się kontynuatorami tradycji cichociemnych. Naszych bohaterskich spadochroniarzy z czasu II wojny światowej. Jako żołnierze GROM-u mieliśmy zaszczyt spotkać się z częścią z nich. Ale też z innymi żołnierzami AK choćby ze słynna „Kamą”, która brała udział w zamachu na Kutschere.

Czyli komandosi GROM-u to nie tylko działający na zimno profesjonaliści?

Nie, nie tylko. Myślę że dużo lepiej się walczy za swoją ojczyznę będąc patriotą.

Ilu żołnierzy GROM-u poległo w operacjach w Iraku i Afganistanie?

W działaniach bojowych?

Tak.

Z tego, co mi wiadomo to zginął jeden kolega. O jeden za dużo.

A ile akcji bojowych przeprowadził GROM?

Ja sam brałem udział w ponad stu.

Mówimy więc o setkach akcji?

Myślę, że nie miniemy się tu z prawdą.

I tylko jeden poległ?

Tak.

To chyba mamy puentę tego wywiadu.

Smutna puentę. Ale śmierć to element ryzyka zawodowego żołnierza.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

„Naval” to jeden z najbardziej doświadczonych weteranów jednostki GROM. Uczestnik kilkuset akcji bojowych. Autor wielu bestsellerowych książek – „Przetrawić Belize”, „Ostatnich gryzą psy”, „Zatoka”, „Camp Pozzi” (wyd. Bellona).





WOJSKO POLSKIE W IRAKU I AFGANISTANIE



Strefy stabilizacyjne w Iraku (wrzesień 2003 r.)



POLACY W IRAKU

Polski Kontyngent Wojskowy w Iraku pełnił misję w latach 2003–2011. W latach 2003–2008 Polacy prowadzili działania stabilizujące, w czasie których do Iraku wysłanych zostało 10 zmian kontyngentu. W czasie misji poległo 22 polskich żołnierzy. Polacy dowodzili Wielonarodową Dywizją Centrum-Południe. W szczytowym momencie służyli w niej żołnierze z 22 państw.

Pierwsze dwie zmiany polskie kontyngentu liczyły po ok. 2,5 tys. żołnierzy. Liczba ta była następnie stopniowo redukowana – do ok. 900 żołnierzy służących w ostatnich zmianach.

Polacy nadzorowali Strefę Środkowo-Południową (South-Central Zone), o powierzchni 66 tys. km kw., zamieszkaną przez blisko 5 mln ludzi.

Dowódcy kolejnych zmian w Iraku:

- I – gen. dyw. Andrzej Tyszkiewicz
- II – gen. dyw. Mieczysław Bieniek
- III – gen. dyw. Andrzej Ekiert
- IV – gen. dyw. Waldemar Skrzypczak

- V – gen. dyw. Piotr Czerwiński
- VI – gen. dyw. Edward Gruszka
- VII – gen. dyw. Bronisław Kwiatkowski
- VIII – gen. dyw. Paweł Lamla
- IX – gen. dyw. Tadeusz Buk
- X – gen. dyw. Andrzej Malinowski

Główne polskie bazy w Iraku: **Babilon, Karbala, Al-Hilla, Al-Kut, Ad-Diwanijja.**

POLACY W AFGANISTANIE

Polski Kontyngent Wojskowy obecny jest w Afganistanie od 2002 r. W latach 2002–2007 udział Wojska Polskiego ograniczał się głównie do zadań inżynierino-saperskich. W latach 2007–2014 Polacy prowadzili w ramach misji ISAF działania stabilizacyjno-szkoleniowe, podczas których wysłanych zostało do Afganistanu 15 zmian. Początkowo liczebność polskich wojsk w ramach ISAF wynosiła ok. 1,2 tys. żołnierzy, ale w latach 2010–2012 w Afganistanie służyło ich ok. 2,6 tys. Polacy odpowiadali za bezpieczeństwo prowincji Ghazni. Od 2014 r. Polacy prowadzą w Afganistanie

działania doradczo-szkoleniowe. Obecnie przebywa w tym kraju ok. 300 polskich żołnierzy.

Najważniejsze polskie bazy w Afganistanie: **Kabul, Ghazni, Kandahar, Szarana i Mazar-i-Sharif.**

Dowódcy kolejnych polskich zmian w Afganistanie:

- I ISAF – gen. dyw. Marek Tomaszewski
- II ISAF – gen. bryg. Jerzy Biziewski
- III ISAF – gen. bryg. Grzegorz Buszka
- IV, V ISAF – płk Rajmund Andrzejczak
- VI ISAF – gen. bryg. Janusz Bronowicz
- VII ISAF – gen. bryg. Andrzej Przekwas
- VIII ISAF – gen. bryg. Andrzej Reudowicz
- IX ISAF – gen. bryg. Sławomir Wojciechowski
- X ISAF – gen. bryg. Piotr Błazeusz
- XI ISAF – gen. bryg. Bogdan Tworkowski
- XII ISAF – gen. bryg. Andrzej Tuz
- XIII ISAF – gen. bryg. Marek Sokołowski
- XIV ISAF – gen. bryg. Cezary Podlański
- XV ISAF – płk Adam Słodczyk. ©



**polski
produkt**

**IV EDYCJA
KONKURSU**

**NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY**

WIĘCEJ INFORMACJI: POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL



PARTNER STRATEGICZNY

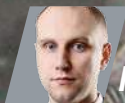


PARTNER



PARTNER GALI





Piotr Włoczyk

W zamachu miał zginąć przedstawiciel Polski w Bagdadzie. BOR-owcy dokonali wówczas niemożliwego i odparli atak terrorystów. W całej sprawie nie brak dużych kontrowersji

3 października 2007 r.

Ambasador



/ Bomby i kule Al-Kaidy w Edwarda Pietrzyka

w ogniu

Ambasador Edward Pietrzyk ewakuowany
z miejsca zamachu FOT. CEERWAN AZIZ/REUTERS/FORUM



Trzy opancerzone toyoty land cruiser wyruszają powoli spod rezydencji ambasadora Edwarda Pietrzyka w centrum Bagdadu. Jest 3 października 2007 r., kilka minut przed godz. 10. Dyplomaty strzeże ośmiu uzbrojonych po zęby funkcjonariuszy BOR. Każdy ma przy sobie broń krótką i długą, granaty, a w bagażniku ostatniego auta Polacy przewożą również broń maszynową większego kalibru. Do tego solidny zapas amunicji na wypadek, gdyby odsiecz miała problem z dojechaniem na miejsce ataku. Żadnych garniturów, wszyscy ubrani „po wojskowemu”, w ciężkich kamizelkach kuloodpornych i hełmach.

Zarówno rezydencja, jak i ambasada mieściły się w dzielnicy Karrada, która przed drugą wojną w Zatoce Perskiej cieszyła się opinią spokojnego rejonu Bagdadu. Dzisiaj to już przeszłość.

Kolumna ma do przejechania krótki, zaledwie kilkukilometrowy dystans, który dzieli rezydencję od ambasady. Zwykle zajmuje to mniej niż 10 minut. Auta przejeżdżają najpierw slalomem przez ułożone naprzemiennie betonowe zapory. Po przejechaniu szukan kolumna mijają posterunek policji. To ślepa uliczka, więc Polacy mogą się tu czuć relatywnie bezpiecznie. Konwój dojeżdża do pierwszego skrzyżowania. Funkcjonariusze BOR za każdym razem wybierają inną trasę.

Ambasador podróżuje w drugiej toyocie. W pierwszym aucie jadą tzw. tru-posze – jeżeli coś ma się stać na drodze, to zazwyczaj oni obrywają jako pierwsi. Siedzący w tym aucie na fotelu pasażera BOR-owiec lustruje otoczenie za pomocą lornetki, ale nic nie wzbudza jego podejrzenia. Kolumna szykuje się do wykonania skrętu... W tym momencie całe skrzyżo-

wanie zamienia się w jedną wielką kulę ognia.

– Najpierw słyszę potężny huk, a następnie nasze auto wyskakuje w górę na blisko metr – upadek samochodu z powrotem na ziemię odczułem w całym ciele, zwłaszcza w kregostupie. W uszach przez dłuższą chwilę dźwięczy mi tylko przeciągłe „Piii”... – wspomina moment zamachu w rozmowie z „Historią Do Rzeczy” kpt. Bartłomiej Hebda, adiutant gen. Pietrzyka, który jechał wraz z nim w środkowej toyocie. – Wszystko się w środku pali, zrobiło się strasznie gorąco i ciemno od gęstego, żrącego dymu. Każdy z nas wciągnął w płuca toksyczną mieszkankę pochodzącą z palących się elementów wnętrza auta. Po chwili zaczęłam coraz wyraźniej słyszeć, jak siedzący za mną ambasador krzyczy: „Palę się, palę się! Pomóżcie mi wyjść! Otwórzcie drzwi!”. Próbuję szybko otworzyć drzwi,



Wraki samochodów zniszczonych przez eksplozję FOT. AP/EAST NEWS

więc rozstawili na dachach sąsiednich budynków strzelców.

– Słyszałem i widziałem, jak wszędzie wokół nas padały pociski i rykoszety. Rzuciłem się na pomoc ambasadorowi – mówi nam kpt. Hebda. – Otworzyłem tylne drzwi samochodu i w tym momencie posypał się w naszym kierunku grad pocisków, które padały na dach samochodu i z jego prawej strony – zaledwie kilka centymetrów od nas. Wyczekaliśmy przytuleni od samochodu. Jak tylko ostrzał zelżał, chwyciłem za broń i wycelowałem w kierunku, z którego padały strzały. Zobaczyłem głowę człowieka i karabin. Ten człowiek leżał na dachu sąsiedniego budynku i ostrzeliwał nas. Wystrzelałem w jego stronę jeden magazynek amunicji. Ogień z tego kierunku ucichł. Jednakże ostrzał wciąż trwał, kule i rykoszety cały czas fruwały wokoło. Musieliśmy jak najszybciej oddalić się od auta, które płonęło i w każdej chwili mogło wybuchnąć. Kierowca, ciężko ranny w brzuch, też opuścił pojazd – wspomina kpt. Hebda.

W nogi!

Solidnie opancerzone terenówki zostają w jednej chwili poszatkowane i stają w płomieniach, ponieważ do ataku użyte zostały bomby z „pociskami formowanymi wybuchowo” (Explosively Formed Projectiles – EFP). Na ładunku wybuchowym tego typu umieszczona zostaje specjalna miedziana płyta, która pod wpływem energii eksplozji zamienia się w pocisk mogący z łatwością przebić pancerze cywilnych pojazdów używanych przez siły koalicyjne na ulicach irackich miast.

BOR-owcy opróżniają jeden magazynek po drugim, próbując wyeliminować napastników strzelających z góry.

„Trzy minuty ataku pamiętam sekunda po sekundzie – mówił gen. Edward Pietrzyk na konferencji prasowej miesiąc po zamachu. – Widziałem, jak Bartek Hebda, mój osobisty ochroniarz, wyszedł z samochodu [...]. I widziałem, jak on stanął na równe nogi. Wyobraźcie to sobie, państwo. Grad kul, strzelali do nas z dachów, z dwóch sąsiednich budynków, z broni małokalibrowej. Ja tylko widziałem koło siebie »pac, pac, pac, pac«, pociski, które przebijały dach samochodu

pancernego. [...] Bartek mówi do mnie tak: »W nogi!«. A ja nie mam siły się ruszyć, byłem tak zatruty po tych trzech minutach gazu”.

– Wszędzie wokół nas pełno było gęstego i ciemnego dymu, który uniósł się ku górze, przyjmując kształt grzyba, co utworzyło nam znakomitą zasłonę dymną. Utrudniało to terrorystom zobaczenie i rozpoznanie celu, więc terroryści strzelali trochę na oślep. Widziałem, jak ich pociski przeszywają ten dym. W kilka minut wystrelałem sześć magazynków, czyli 180 naboju. Odciągnąłem ambasadora pod mur, cały czas ostrzeliwując się. W tym wszystkim ciężko ranny Bartosz Orzechowski, mój kolega, który prowadził auto, pytał mnie kilkakrotnie: „Czy ja przeżyję? Czy ja będę żył?” – mówi kpt. Hebda.

Dramatycznie wyglądała sytuacja BOR-owców z pierwszego auta. Wybuch niemal uniemożliwił im ucieczkę z płonącego pojazdu.

Jak wspominał płk Kubiak: „Najpierw nie mogli wyjść z wozu, bo drzwi się zaklinowały. Mieli szczęście, że pod wpływem wybuchu zdeformowała się karoseria i wykleiła się przednia szyba, bo inaczej żywcem by się upiekli. Wypchnęli ją. Funkcjonariuszowi siedzącemu po prawej udało się wydostać przez dziurę w przedniej szybie, nad płonącym silnikiem. Czołgał się po rozerwanych blachach. Dłonie poprzecinał do kości. Wyszedł wprost na ostrzał. Odpowiedział ogniem. Pobiegł w kierunku pojazdu ambasadora. Tam zobaczył klęczącego i strzelającego adiutanta z tego wozu [kpt. Bartłomieja Hebdę – przyp. P.W.] i ambasadora czołgającego się za róg budynku. Złapał go i razem z adiutantem z drugiego auta zaczęli biec wzdłuż budynku po prawej stronie ulicy”.

– Był moment, kiedy myślałem, że za chwilę będzie po nas. Gdy odciągałem ambasadora dalej od płonącego auta, zobaczyłem, że tuż pod naszymi stopami, dosłownie kilka centymetrów od nich, padają pociski. Musiałem odpowiadać ogniem, żeby się nie wstrzelili – jedną ręką ciągnąłem ambasadora, a drugą strzelałem z karabinu – opowiada kpt. Hebda.

W ewakuacji ambasadora pomógł jego adiutantowi Piotr Górski, oficer BOR, który jechał w aucie „truposzy”. Doszło wówczas do sytuacji doskonale obrazującej ciągle zagrożenia, które

ale zostały one zniekształcone i zdeformowane podczas wybuchu. Napieram na nie kilkakrotnie z całych sił barkiem, dopiero po dłuższej chwili puszczają.

„Najpierw zobaczyłem przed sobą potężną kulę ognia. Stanęły w niej dwa pierwsze pojazdy – wspominał tuż po zamachu płk Tomasz Kubiak w wywiadzie dla »Dziennika«. – Po ułamku sekundy widzę, jak podnosi się maska naszego samochodu. A on sam jakby w zwolnionym tempie przesuwają się w lewo. To po prawej stronie eksploduje trzecia bomba. Trafia w silnik, zapala się paliwo. Nasz wóz staje w płomieniach. W szarych kłębach dymu kompletnie się nie widzieliśmy. Wszystko rozgrywało się bowiem w trzech wymiarach, oddzielnie wokół każdego z samochodów”.

Na zewnątrz rozpoczyna się ostrzał. Napastnicy przygotowali się na ewentualność, że bomby nie zabiją Polaków,

musieli analizować funkcjonariusze chroniący w Iraku VIP-ów.

– Po drodze minęliśmy auto, które stało puste na środku jezdni z włączonym silnikiem. W pierwszej chwili pomyślałem, że może ktoś po prostu przestraszył się wybuchów i uciekł, pozostawiając auto. „Moglibyśmy wsiąść do niego i pojechać do ambasady” – przyszło mi do głowy – wspomina kpt. Bartłomiej Hebda. – W ostatniej chwili przed wejściem do auta pomyślałem jednak, że niewykluczone, iż była to pułapka czekająca na tych, którzy przeżyli zamach, a auto może być wypełnione materiałami wybuchowymi. Takie rzeczy też się zdarzały wcześniej w Iraku, więc wolałem nie ryzykować.

Blackwater na odsiecz

Dwaj BOR-owcy wpadli wraz z ambasadorem do jednego z pobliskich domków jednorodzinnych. Właściciel nie chciał się na to początkowo zgodzić, ale po zajrzeniu w lufę karabinu przestał stawiać opór. W tym momencie trwała na skrzyżowaniu walka o życie plut. Bartosza Orzechowskiego, kierowcy auta ambasadora, który został bardzo ciężko ranny w brzuch. Inny funkcjonariusz BOR odciągał go pod gradem kul w bezpieczne miejsce.

W trakcie zamachu doszło do sytuacji, która laikowi może się wydawać na pierwszy rzut oka kuriozalna, ale mówi jednak bardzo wiele na temat irackiej rzeczywistości. Od razu po pierwszej detonacji z komisariatu policji wybiegli uzbrojeni w kałasznikowy policjanci. BOR-owcy, widząc to, zaczęli... strzelać ponad ich głowami, chcąc zmusić ich do zatrzymania się. Skąd ta reakcja? Oględnie rzecz ujmując, irackie siły porządkowe nie cieszyły się wówczas najlepszą renomą i funkcjonariusze BOR uznali, że skoro do zamachu doszło tuż przy komisariacie, to sami policjanci mogli być w to zamieszani.

Na miejsce już po kilku minutach ściga irackie i amerykańskie wojsko, cała okolica zostaje odcięta. Nad feralnym skrzyżowaniem krążą blackhawki US

Army i strzelają do napastników wciąż zajmujących pozycje na dachach. Po wszystkim, gdy sytuacja zostanie opanowana, Amerykanie znajdą na dachach krwawe plamy, ale nie będzie śladu po trupach...

W tamtym momencie najważniejsza była jednak ewakuacja rannych. W zamieszaniu ciężko zraniony kierowca ambasadora zostaje przewieziony pick-upem irackiej policji do najbliższego szpitala. Tymczasem na miejscu ataku, po ok. 30 minutach od odpalenia bomb, ląduje niewielki śmigłowiec „Little Bird” należący do amerykańskiej firmy ochrony Blackwater. Tylko taka maszyna byłaby zdolna tu wylądować. Stosunkowo wąskie ulice Karrady wykluczały użycie blackhawków US Army.

Zdjęcia ambasadora Pietrzyka prowadzonego do maszyny przez BOR-owców i pracowników Blackwater obiegły następnie światowe media.

– Na filmie z zamachu widać, jak ambasador Pietrzyk jest w stanie z naszą pomocą iść w stronę helikoptera. Nie był już jednak w stanie wspiąć się do środka o własnych siłach. Musieliśmy

go tam podnieść i wsadzić. Tak bardzo był zatruty toksycznym dymem z pożaru auta. Ambasador był w naprawdę ciężkim stanie – podkreśla kpt. Bartłomiej Hebda. – Poza spaloną skórą miał też poparzone drogi oddechowe. Ja również przez dłuższy czas po zamachu odczuwałem skutki zatrucia toksynami. Po wszystkim powiedzieli mi w amerykańskim szpitalu, że moje płuca zostały wówczas w znacznej mierze uszkodzone. Przez tych kilka krytycznych minut walki o nasze życie działałem zaledwie na ok. 20 proc. pojemności płuc... Długie lata niezwykle intensywnych treningów, dbania o tężyznę fizyczną, wydolność płuc i oczywiście adrenalina uratowały nam wtedy życie.

Tuż po przewiezieniu do szpitala z wykrwawienia zmarł najciężej ranny BOR-owiec – 29-letni plut. Bartosz Orzechowski.

– To był bardzo uczynny i życzliwy kolega, bardzo ambitny funkcjonariusz BOR. Na pewno daleko by zaszedł w strukturach tej służby. Był mocno wierzący. Każdej niedzieli jeździliśmy z ambasadorem do kościoła. Bartosz bardzo przeżywał, że musi czekać na nas w aucie i nie może iść na mszę świętą – mówi kpt. Hebda.

Czterech innych funkcjonariuszy BOR, w tym nasz rozmówca, wymagało hospitalizacji, ale ich życiu nie zagrażało niebezpieczeństwo. Ambasador Pietrzyk dwa dni po zamachu trafił do Centrum Leczenia Ciężkich Oparzeń w Gryficach, gdzie przebywał ponad miesiąc.

– Samochód ambasadora był najbardziej uszkodzony, ładunek EFP, który uderzył w bok naszego auta, umieszczony był w transformatorze stojącym na chodniku. Po wybuchu EFP doszło jeszcze do eksplozji miny przeciwpancernej, która ukryta została w dziurze w jezdni. Ładunek wybuchł dokładnie pomiędzy moimi nogami – mówi kpt. Bartłomiej Hebda. – Całe szczęście,



Generał Edward Pietrzyk. Poniżej: amerykańska Legia Zasługi

FOT. ARCHIWUM



że jechałem z nogami szeroko rozstawionymi i lekko odchylony do tyłu, inaczej straciłbym zapewne nogi. Gdy po wszystkim mój dowódca oglądał nasze auto, doszedł do wniosku, że przeżycie wybuchu tej miny było autentycznym cudem. I ja też tak na to patrzę.

Irackie władze poinformowały po kilku miesiącach Polaków, że według ich ustaleń zamachu dokonała lokalna komórka Al-Kaidy.

W niedługim czasie wszyscy Polacy, którzy przeżyli ten zamach, wrócili do służby. Ambasador już cztery miesiące później pojawił się w bagdadzkiej placówce. Kapitan Bartłomiej Hebda także wrócił do Iraku, a w 2015 r. został awansowany na stanowisko szefa ochrony prezydenta Andrzeja Dudy (10 kwietnia 2010 r. miał lecieć do Smoleńska, ale niemal w ostatniej chwili jego dowódca zmienił zdanie i wyznaczył w jego miejsce innego funkcjonariusza BOR).

Z kolei Piotr Górski, który pomógł kpt. Hebdzie przeciągnąć ambasadora do bezpiecznej kryjówki, został szefem ochrony ówczesnej premier Beaty Szydło. Pech chciał, że to właśnie on, już raz poważnie ranny w zamachu w Bagdadzie, został najciężej poszkodowany w wypadku, do którego doszło w 2017 r. w Oświęcimiu, gdy limuzyna premier uderzyła w drzewo.

W czerwonej strefie

Po zamachu na ambasadora Pietrzyka eksperci niemal powszechnie wyrażali uznanie dla postawy ochroniarzy dyplomatów.

– Funkcjonariusze BOR w tamtych wojennych warunkach zrobili naprawdę kawał dobrej roboty. Zaatakowani ładunkami wybuchowymi, a następnie ostrzeliwani ogniem z broni automatycznej, uratowali człowieka, który był pod ich ochroną, płacąc za to najwyższą cenę. Czyli zrobili to, czego od nich oczekiwano, mimo że byli szkoleni głównie do ochrony i szybkiej ewakuacji w zasadzie w warunkach pokojowych, bo do tego przecież był BOR – mówi mjr rez. Maciej Zimny, ekspert ds. terroryzmu.

Równocześnie pojawiły się jednak komentarze krytyczne pod adresem polskich decydentów. Główny zarzut

dotyczył lokalizacji naszej ambasady. Polska utrzymywała placówkę poza zieloną strefą, czyli bagdadzką dzielnicą rządową zamienioną w twierdzę. To właśnie na terenie tych specjalnie zabezpieczonych 10 km kw. Bagdadu swoje siedziby mają m.in. irackie władze, organizacje międzynarodowe, a także mieszczą się tam ambasady m.in. USA i Wielkiej Brytanii. W zielonej strefie praktycznie w ogóle nie dochodziło do ataków. Cała reszta Bagdadu, czyli czerwona strefa, była zaś strefą, w której mogło się zdarzyć dosłownie wszystko. Bardzo niewiele państw decydowało się na utrzymywanie ambasad poza zieloną strefą.

– To, że zarówno polska ambasada, jak i miejsce zamieszkania ambasadora mieściły się poza zieloną strefą, co wymuszało kilkukrotne, codzienne przemieszczanie się z jednego miejsca do drugiego, jest rzeczą kompletnie niepojętą. Również wówczas dziwiło to znaw-

ulice Bagdadu należały wówczas do najmniej bezpiecznych miejsc na świecie. Duże koszty – prawdopodobnie głównie to brano pod uwagę – ich przeniesienia nie powinny były odgrywać żadnej roli w okolicznościach, w których zamach był praktycznie tylko kwestią czasu.

BOR-owcy na długo przed zamachem zgłaszali swoje zastrzeżenia zarówno w sprawie lokalizacji ambasady, jak i podróży między rezydencją a budynkiem polskiego przedstawicielstwa. Mimo to polscy politycy nie widzieli potrzeby organizowania pilnej przeprowadzki.

Co ciekawe, niedługo przed zamachem gen. Pietrzyk zaczął nawet rozglądać się za odpowiednim budynkiem w zielonej strefie... Szybkie przeniesienie ambasady oznaczało konieczność zerwania umów na wynajem obu budynków, co z kolei wiązało się z wysokimi kosztami. Z tego powodu cała operacja zmiany siedziby grzęzła w miejscu.



Kapitan Bartłomiej Hebda w czasie służby w Iraku

FOT. ARCHIWUM BARTŁOMIEJA HEBDY

ców tematu – ocenia mjr rez. Maciej Zimny. – Oczywiście było, że w związku z rolą, jaką Polska odgrywała w siłach koalicyjnych w Iraku, nasz ambasador był nieustannie narażony na atak. Było to ewidentne zaniechanie ówczesnych decydentów, którzy bardzo niefrasobliwie, by nie powiedzieć ostrzej, podeszli do kwestii obu lokalizacji, a przecież

Atak na ambasadora sprawił oczywiście, że wszystkie te przeszkody momentalnie zniknęły i w ciągu kilku miesięcy Polacy przenieśli swoją placówkę do zielonej strefy. Dzisiaj polskie przedstawicielstwo dyplomatyczne w Iraku znajduje się na terenie świetnie zabezpieczonej przed zamachami ambasady Wielkiej Brytanii.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Komandosi z 18. Bielskiego Batalionu Desantowo-Szturmowego na ławie oskarżonych FOT. JANEK SKARŻYŃSKI/AFP/EAST NEWS

Afera / Kulisy ostrzelania afgańskiej wioski

Śmierć w Nangar Khel



Marcin Bartnicki

/ Polscy żołnierze usłyszeli zarzut ludobójstwa. Ich strzały spowodowały śmierć sześciu cywili i ciężkie rany trzech

Drewniane baraki, kontenery, namioty, wszystko otoczone murem z zasiekami. Pod murem „toalety”, chociaż w Europie nikt nie nazwałby tak plastikowych rur wkopanych w ziemię, do których sikają żołnierze. Latem upał jest nie do wytrzymania, w dodatku nad bazą unosi się smród. Romantycznej chwały walki za ojczyznę jest tu niewiele, za to okazji, żeby oberwać, całkiem sporo. Oto Wazi

Khwa w zgrupowaniu bojowym Charlie. Wysunięta placówka Rzeczypospolitej (i sojuszników) w jednym z najtrudniejszych rejonów Afganistanu. Miejsce służby i zamieszkania dla 220 żołnierzy. To pierwsza zmiana misji stabilizacyjnej, ale wielu ma już za sobą służbę, m.in. w Iraku. Twardzi ludzie nie narzekają na warunki, ale na uzbrojenie i sprzęt owszem. Mimo że na misję wysłano polskie jednostki należące do najlepszych w kraju, armia miała poważne problemy

ze sprzętem. Kilku żołnierzy w proteście prosi o przyspieszony powrót do Polski. Przetwarzanie podczas górskich patroli ułatwia sprzęt, który żołnierze kupili na własny rachunek albo wymienili za inne towary z Amerykanami. Próbowali zdobywać tak nawet amunicję.

Na zdjęciach satelitarnych teren wygląda jak powierzchnia innej planety. O tym, że to Ziemia, przypominają nieliczne wioski rozrzucone na płaskim, kamienistym terenie, otoczonym wzgórzami i górami. Do granicy z Pakistanem jest kilkadziesiąt kilometrów. Wojska koalicji oficjalnie nie mogą jej przekraczać, talibowie robią to bez przerwy, zalewając nieprzystępny teren kolejnymi falami bojowników.

Polacy wyjeżdżają na patrole hummerami i rosomakami. Amerykańskie hummery są nieźle wyposażone, ale wybuch miny domowej roboty i tak potrafi zabić całą załogę. Polacy o pojazdach tej klasy mogą tylko pomarzyć; nieosłonięte podwozia ich aut terenowych nie dają żadnego zabezpieczenia. Nasi dostali uboższe wersje, ale radzą sobie, jak mogą. Mocują od spodu blachy z rozbitych pojazdów, aby zwiększyć szanse na przeżycie. W rosomakach jest już lepiej, ale i te pojazdy nie są niezniszczalne.

Podstawowe zagrożenie to improwizowane ładunki nietychowe, konstruowane z przedmiotów codziennego użytku, prostych narzędzi i prochu z niewypałów z czasów sowieckiej interwencji. Bardziej zaawansowane miny mają detonatory radiowe i wykonane są z lepszych materiałów wybuchowych. Ich przewiezienie z Pakistanu nie stanowi problemu, dlatego jednym z celów operacji w tym regionie jest uszczelnienie granicy. W lepiej zorganizowanych atakach po wybuchu miny żołnierze koalicji są ostrzeliwani z granatników i karabinów. Giną tak Amerykanie, giną Polacy. Giną też talibowie, ale szybko uzupełniają straty. Z górskich obozów ciągle przybywają nowi partyzanci.

Mundur z czaszką

Wśród żołnierzy z 18. Bielskiego Batalionu Desantowo-Szturmowego najbardziej wyróżnia się 1. pluton, jednostka szturmowa kierowana do najtrudniejszych zadań, nazywana nieformalnie „Delta”. To doskonale zgrani, żłyci ze sobą

żołnierze, trochę izolujący się od reszty. Na mundurach noszą nieregularne naszywki z trupimi czaszkami. „Pewnie, że nosiliśmy czaszki na mundurach, nic w tym złego nie ma” – mówił dziennikarzem po ogłoszeniu wyroku plut. Tomasz Borysewicz zwany „Borysem”. Był już w Kosowie i Iraku. Ma na koncie wyrok za pobicie innego żołnierza. Czyścił buty obok „Borysa”, gdy ten jadł zupę. Plutonowy nie wytrzymał. „Pewnie, że nie byliśmy zawsze grzeczni na co dzień, bo nie jesteśmy ministrantami. Jesteśmy żołnierzami, normalnymi ludźmi. Trochę czasami silniejszymi niż wszyscy, bardziej zżytymi ze sobą, gotowymi na większe poświęcenia, ale nie byliśmy



Moździerz LM-60 FOT. ZAKŁADY MECHANICZNE TARNÓW

bandytami i nie będziemy nigdy” – komentował po rozprawie plut. Borysewicz.

Dla większości nie jest to pierwsza zagraniczna misja. Damian Ligocki „Ligo” ma 29 lat, ale odbywał już służbę w Bośni, był w Legii Cudzoziemskiej, z którą trafił do Gujany Francuskiej. Teraz jest gunnerem (strzelcem) w hummerze. Patruje kontrolowane przez talibów wzgórze, jeżdżąc po bezdrożach i traktach szumnie nazywanych drogami, 2,5 tys. metrów nad poziomem morza. 16 sierpnia 2007 r. strzelił serią w stronę wsi, za co mógł dostać 25 lat więzienia. Twierdzi, że celowo chybił. Jego ostrzał nie spowodował ofiar, dlatego nie grozi mu dożywocie za zabijanie cywili.

Tego dnia rano polsko-amerykański patrol wjechał na minę, wybuchły dwa

improwizowane ładunki, unieruchamiając hummera i rosomaka. Patrol schwytał też dwóch talibów. Z bazy Wazi Khwa na pomoc przysłano dwa plutony. Jeden z nich to „Delta”, drugi to pluton ogniowy z moździerzem kalibru 98 mm. Kolejna grupa jedzie z lawetą, która ma zabrać do bazy uszkodzone pojazdy. Znalazienie lawety zajęło połowę dnia, więc wsparcie wyrusza dopiero o godz. 14, w dodatku po drodze jeden z hummerów łapie gumę, „Deltę” wyprzedza ekipa z lawetą, ale przynajmniej nikt do nich nie strzela.

Na miejsce ataku docierają ok. godz. 16, plutony rozstawiają się co kilkaset metrów, nie widząc się wzajemnie, grupa z lawetą próbuje ruszyć uszkodzonego rosomaka. Według wersji przedstawianej początkowo przez żołnierzy komandosi z „Deltą” zostali ostrzelani przez bojowników ukrywających się w pobliskiej wiosce. W śledztwie przyznali, że zmyślili tę wersję w obawie, iż zostaną odesłani do domu.

Inni świadkowie twierdzili z kolei, że w drodze na miejsce ataku mówili, iż mają ostrzelać wieś. Twierdziła tak prokuratura, ale sąd w to nie uwierzył.

Żołnierze „Deltę” spokojnie sprawdzają współrzędne, ustawiają moździerz kalibru 60 mm i otwierają ogień. Używają amunicji kasetowej rozpryskującej metalowe odłamki po eksplozji. Pociski spadają na okoliczne wzgórza, niedaleko Nangar Khel, gdzie ma znajdować się stanowisko obserwacyjne talibów, ale trafiają też w zabudowania w osadzie Sza Mardan. To niemal kilometr od stanowiska ogniowego, ale Polacy widzą, że pociski trafiają w cywilne budynki, mimo to nie przerywają ognia. Dowódca drugiego plutonu por. Artur Pracki zorientował się, co się dzieje, i jest wściekły. Jedzie do kolegów i próbuje interweniować, ale nie miał władzy nad żołnierzami z „Deltą”. Ostrzał przerywa dopiero rozkaz kpt. Marka Jendraszczyka, który dowodził grupą ewakuującą uszkodzone pojazdy. Spadochroniarze z Bielska zdążyli wystrzelić 24 pociski, z których jeden trafił w budynek, a siedem innych wybuchło



Polscy żołnierze z darami dla afgańskiej wioski Ghazni. FOT. WIKIPEDIA

■ na placu przed zabudowaniami i wokół nich.

Gdy Polacy wchodzą do wsi, widzą ludzi rozpaczających nad poszarpanymi przez wybuch ciałami małych dzieci, oderwane kończyny, ranną kobietę w ciąży. W budynkach żadnych talibów nie ma. Pokazują się, gdy ranni cywile są ewakuowani śmigłowcem. Bojownicy ostrzeliwiają maszynę, los cywili ich nie obchodzi.

Afgański syndrom

Po powrocie do bazy żołnierze są wstrząśnięci, długo nie mogą dojść do siebie. Niektórzy ich koledzy nie wierzą w nieszczęśliwy wypadek. Wojskowy prok. płk Dariusz Raczkiewicz rozpoczął śledztwo w sprawie nieostrożnego obchodzenia się z bronią. Po swoim dochodzeniu Amerykanie nie dopatrują się przestępstwa. Oskarżeń nie wnoszą również afgańskie władze. Rodziny ofiar otrzymały odszkodowania, a rannych zabrano na leczenie do Polski. „Delta” wraca do kraju z przeświadczeniem, że sprawa została zamknięta.

W Polsce sprawę przejmuje prok. Karol Frankowski. Siódemkę z „Deltą” obciążają zeznaniami dwaj świadkowie incognito. Ich opis sytuacji nie pasuje do wyjaśnień złożonych przez pluton dowodzony przez por. Łukasza Bywalca „Bolca”. 13 listopada 2007 r. do domów wszystkich biorących udział w akcji pod Nangar Khel wchodzą ludzie w kominiarkach, uzbrojeni w karabiny. To Żandarmeria Wojskowa zatrzymuje komandosów, stosując środki jak wobec

najniebezpieczniejszych bandytów. Tym razem sprawa nie rozejdzie się po kościach. Sześciu oskarżonych usłyszało zarzut zabójstwa cywili, za które grozi dożywocie, tylko „Ligo” został oskarżony o ostrzeliwanie z karabinu maszynowego niebronionych cywilnych budynków, za co może trafić za kratki na 25 lat. To pierwsze takie zarzuty polskiej prokuratury nie dotyczące II wojny światowej.

Komandosi spędzili w areszcie pół roku. Świadkowie zeznający incognito stwierdzili, że pluton miał działać na rozkaz mjr. Olgierda Cieśli „Ola”. Według aktu oskarżenia rozkazał chor. Andrzejowi Osieckiemu „Osie” dokonanie ataku na afgańskie osady.

„Delta” kolejny raz ma pecha. Proces wpisuje się w walkę polityczną zarówno między partiami, jak i zwalczającymi się frakcjami w samej armii. Do 5 listopada szefem Służby Kontrwywiadu Wojskowego jest Antoni Macierewicz. Podlegająca mu służba już kilka dni po ataku morderczym przygotowała raport na temat zajścia w Nangar Khel, opierając się na rozmowach z żołnierzami i podsłuchach. Jest druzgocący dla oskarżonych. Generałowie, którzy próbowali zamknąć sprawę szybko i bez rozgłosu, przegrali. Media publikują setki materiałów na temat domniemanej zbrodni wojennej, m.in. na temat jednego z wątków śledztwa dotyczącego znieważenia zwłok. Żołnierz z plutonu „Delta” miał pozować do fotografii z ciałem taliba, przystawiając mu karabin do głowy. Zdjęcia miał robić telefonem jego kolega.

Prokuratura przesłuchiwała ok. 300 świadków, a przed sądem miała zeznawać setka z nich. 1 czerwca 2011 r.

komandosi zostali uniewinnieni przez Sąd Okręgowy w Warszawie. Nie zakończyło to sprawy. Toczyła się w kolejnych instancjach. W opinii sądu prokuraturze nie udało się wykazać, że atak na cywilne budynki był celowy. W marcu 2015 r. ten sam sąd okręgowy, w innym składzie orzekającym, potwierdził, że polscy żołnierze nie popełnili zbrodni wojennej, ale skazał ich na wyroki w zawieszeniu za niewłaściwe wykonanie rozkazu. Według sądu spadochroniarze z bielskiego batalionu mieli niewłaściwie obchodzić się z bronią, co doprowadziło do śmierci cywili. Decyzję tę podtrzymała Izba Wojskowa Sądu Najwyższego.

Nie wszyscy spisali „Deltę” na straty. W czasie procesu za oskarżonymi wstawili się znani dowódcy, m.in. generałowie Sławomir Petelicki i Waldemar Skrzypczak, ale tocząca się przez dekadę sprawa i tak zablokowała kariery większości oskarżonych. Sprawa miała też poważne skutki dla całego Wojska Polskiego. Kolejne kontyngenty były coraz liczniejsze. Pierwsza zmiana stabilizacyjno-szkoleniowa, z „siódemką z Nangar Khel”, liczyła 1,2 tys. żołnierzy. Dwa lata później było ich już niemal dwukrotnie więcej.

Sytuacja przy granicy z Pakistanem nadal była bardzo trudna, a lekcja z Nangar Khel dla polskich żołnierzy okazała się smutna. Żołnierze obawiali się używania broni, bo przypadkowe ofiary oznaczały dla nich koniec kariery i widmo dożywotniego więzienia, a w najlepszym wypadku innych poważnych problemów. Talibowie nie mieli podobnych skrupułów, a w rejonie stacjonowania polskich żołnierzy toczyła się regularna wojna. W Afganistanie zginęło 44 polskich żołnierzy, a ponad 300 odniosło rany. Celem obecności kontyngentu w rejonie konfliktu była obrona ludności cywilnej, ustabilizowanie sytuacji i szkolenie Afgańczyków, więc troska o minimalizowanie ofiar cywilnych jest uzasadniona.

Uzasadnione jest również rozgoryczenie żołnierzy. Wysyłając na wojnę kilka tysięcy uzbrojonych po zęby ludzi, trzeba liczyć się z ofiarami, również cywilnymi. Czy w tym obszarze nasz aparat państwowy zdał egzamin? Jeśli nie jesteśmy w stanie zaakceptować strat, to żołnierzy należy zostawić na poligonach i defiladach. Tylko po co nam taka armia?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

MAGIA SZEŚCIU DŁONI. FORTEPIANOWA PODRÓŻ PRZEZ ŚWIAT

BEL SUONO

3 ROSYJSKICH GENIUSZY FORTEPIANU

THE MAGIC TOUR

8 listopada 2019 - COS Torwar Warszawa

9 listopada 2019 - Sala Ziemi Poznań

10 listopada 2019 - DMiT Zabrze

BILETY: PRESTIGEMJM.COM



Prestige
MJM

REGENT
WARSAW HOTEL

wprost

DO
RZECZY

WP

cgm.pl

STRÖER

VIXON
MEDIA

pap

PRESS
SERVICE

CTV



Michael Bolton

KONCERT

7 SIERPNIA 2019
COS TORWAR WARSZAWA

BILETY: PRESTIGEMJM.COM



ALBUM
JUZ W SPRZEDAZI

Prestige
MJM

REGENT
WARSAW HOTEL

Radio
złoteprzeboje

wprost

DO
RZECZY

onet

VIXON
MEDIA

PRESS
SERVICE

pap

Czy Polacy powinni byli



Korwin-Mikke: Nie! Nic na tym nie zyskaliśmy

PIOTR WŁOCZYK: Czy nasza obecność w Iraku miała sens?

JANUSZ KORWIN-MIKKE: Nie. Nasz udział w tej operacji nie wynikał z obowiązku udzielenia pomocy napadniętemu członkowi NATO. Polska nie miała żadnego obowiązku pomagania Amerykanom i dlatego nie powinniśmy wchodzić do Iraku. Oczywiście zawodowi wojskowi powinni jechać wszędzie, gdzie mogą się nauczyć strzelać i zabijać, ale pytanie, czy w Iraku nauczyli się tej sztuki. Otóż nie, Polacy pełnili tam służbę na zapleczu, chronili bazy, więc nie wyszkolili się w walce. Z wojskowego punktu widzenia nic na tym nie zyskaliśmy.

Ówczesni decydenci tłumaczyli, że był to po prostu gest dobrej woli ze strony Polski, który miał nam pomóc zadzierznąć bliższe relacje z naszym najważniejszym sojusznikiem.

Ale dlaczego mielibyśmy pomagać państwu, które ma od nas 50 razy lepszą armię? Chyba powinno być odwrotnie. Nie możemy być frajerami. Jeżeli nasz udział w jakiejś operacji wojskowej nie wynika bezpośrednio z umowy, to nie ma co się angażować w takie przedsięwzięcia. Polaków uważa się generalnie w USA za idiotów i my potwierdziliśmy tę opinię, wysyłając do Iraku nasze wojska. Czy pan myśli, że nawet jeden Amerykanin na stu wie, że pojechalibyśmy z nimi do Iraku? Dlatego nie ma co liczyć na jakikolwiek dług wdzięczności wobec nas.

Gdyby Polacy rzeczywiście walczyli tam ramię w ramię z Amerykanami, a nie pełnili służbę wartowniczą, to można

byłoby jeszcze próbować doszukiwać się w tym wszystkim sensu. Tymczasem Amerykanie wzięli nas do Iraku właśnie do służby wartowniczej.

„Chodziło o przestrzeganie zobowiązań sojusznicznych, ale też o powstrzymanie bezwzględnego dyktatora, który nie wahał się użyć broni masowego rażenia przeciwko własnym obywatelom” – mówił w 10. rocznicę rozpoczęcia wojny w Iraku były premier Leszek Miller.

CIA beczelnie kłamała, twierdząc, że Husajn ma broń masowego rażenia. Kiedy wojna była już wygrana i nie znaleziono broni masowego rażenia, CIA przekonywała, że cały ten arsenał Husajna załadowany został na statek, który krążył gdzieś po Oceanie Indyjskim. Amerykanie robili z nas wszystkich wariatów.

Prawda jest taka, że mniej osób zginęło z ręki tego krwawego dyktatora niż później wskutek interwencji Amerykanów. Ta wojna trwa właściwie do dziś, kraj został zrujnowany, Kurdowie szaleją, szyici nieustannie kołtują się z sunnitami. Cokolwiek by mówić o śp. Saddampie Husajnie, to za jego czasów w Iraku panował pod tym względem spokój. Czasem tak bywa przy temperamencie niektórych społeczeństw, że tylko krwawy dyktator jest w stanie powstrzymać jeszcze bardziej krwawe rozróby.

Czy jednak naprawdę można było przewidzieć taki rozwój sytuacji?

Oczywiście, że tak. Amerykanie mają idiotyczne przeświadczenie, że gdy się wprowadzi demokrację, rozwiąże to najważniejsze problemy. Demokracja nawet w Ameryce się teraz nie sprawdza. Jedyne kraje, gdzie to działa, są San Marino i Szwajcaria.

Większość polskich wojskowych widzi tu jednak więcej plusów niż minusów. Misja w Iraku obnażyła tragiczny stan naszego sprzętu wojskowego i uzbrojenia, co zostało w ciągu kilku lat diametralnie zmienione.

Przepraszam bardzo, ale bez tej operacji nie wiedzieliśmy, że

potrzebujemy nowej broni?! Nie trzeba było jechać do Iraku, żeby zorientować się, iż potrzebna jest wymiana sprzętu.

Dostaliśmy w Iraku własną strefę. Czy nasza pozycja polityczna na świecie nie wzrosła w ten sposób?

Wręcz przeciwnie. Strasznie się osłabiła w świecie arabskim, gdzie mieliśmy wielu przyjaciół, również w Iraku. Pojawienie się tam w roli pachołków amerykańskich bardzo nam zaszkodziło. A niestety właśnie tak świat zaczął nas odbierać: staliśmy się pachołkami amerykańskimi. Tylko w Unii mówią grzecznie: „Koniem trojańskim” USA... ©©



FOT. WIKIPEDIA

jechać na misję w Iraku



Waszczykowski: Tak! Zbliżyliśmy się do USA

PIOTR WŁOCZYK: Czy ówczesne polskie władze podjęły dobrą decyzję, wysyłając polskich żołnierzy do Iraku?

WITOLD WASZCZYKOWSKI: Tak, będę bronił tej decyzji. W zasadzie była to z naszej perspektywy oferta nie do odrzucenia.

Byliśmy świeżo po wejściu do NATO i zabiegaliśmy o to, żeby się zbliżyć do Amerykanów. Mieliliśmy świadomość – choć publicznie się o tym nie mówiło – że byliśmy jednak sojusznikiem kategorii B, czyli członkiem politycznym z gwarancjami wyłącznie traktatowymi, a nie rzeczywistymi.

Przypomnę, że nie istniały jeszcze wówczas realne plany sojuszniczej obrony Polski, tzw. plany ewentualnościowe. Artykuł 5 trochę fałszywie opisywany jest jako działający na zasadzie „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”. Ten artykuł nie działa bowiem automatycznie. Traktat jest napisany takim językiem, że pozwala każdemu państwu członkowskiemu NATO określić poziom pomocy udzielanej napadniętemu krajowi. Rozumieliśmy, że w przypadku zagrożenia ze strony Rosji możemy dostać od niektórych sojuszników co najwyżej SMS-y o treści: „Trzymajcie się, modlimy się za was”.

Dzięki obecności w Iraku wyszliśmy z roli sojusznika kategorii B?

Tak. Pokazaliśmy, że jesteśmy wiarygodnym sojusznikiem, i realnie zbliżyliśmy się do USA. Amerykanie zaoferowali nam wówczas korzystny i rzeczywisty sojusz, który podnosił naszą pozycję w Europie. Pamiętajmy też, że Waszyngton pokrywał w znacznej części nasze wydatki w Iraku. Pod względem wojskowym na pewno zyskaliśmy. Nasi żołnierze funkcjonowali w ramach struktur amerykańskich, widzieli, jak działa ta potężna machina wojenna. Generalnie polscy wojskowi potwierdzają, że zdobyliśmy wówczas mnóstwo doświadczenia.

Pytanie, czy Amerykanie nadal pamiętają o naszym wkładzie w stabilizowanie sytuacji w Iraku.

Oczywiście, że pamiętają. Zarządzaliśmy dużą strefą, mieliśmy pod komendą duży kontyngent ukraiński i hiszpański. Kontynuacja współpracy polityczno-wojskowej pokazuje, że pamiętają o tym, iż jesteśmy sprawdzonym sojusznikiem.

Pewnym problemem było tylko to, jak wyszliśmy wtedy z Iraku. Byłem wtedy wiceministrem w MSZ. Do wycofania doszło po przegranych wyborach przez PiS. Donald Tusk ogłosił, że Polska musi jak najszybciej wyjść z tego kraju. To była swego rodzaju zdrada wobec USA. Amerykanie prosili rząd PO-PSL, żeby nie robić takiego gwałtownego gestu tuż przed wyborami prezydenckimi w USA. Mówili, że rozumieją, iż nie ma u nas poparcia dla tej misji, ale żeby jeszcze trochę się wstrzymać. Donald Tusk i Radosław Sikorski byli na to głusi.

Mówi pan o „swego rodzaju zdradzie wobec USA”, ale przekonuje pan też, że jesteśmy odbierani jako wiarygodny sojusznik...

W dłuższej perspektywie nasz wkład sojuszniczy był doceniony, ponieważ Amerykanie nie są małostkowi. Wiedzieli, że decyzja z 2008 r. wynikała z wewnętrznych rozgrywek na polskiej scenie politycznej. Amerykanie mieli tego świadomość i spokojnie czekali na inny rząd. Od 2015 r. odnowiliśmy współpracę z USA, tarcza antyrakietowa jest na ukończeniu, kupujemy amerykański gaz, a Waszyngton popiera naszą koncepcję Trójmorza. Amerykanie myślą długofalowo i przeczekali Sikorskiego z Tuskiem.

Jednak – delikatnie rzecz ujmując – gospodarczo nie wyszliśmy na zaangażowaniu w Iraku zbyt dobrze.

Niestety, nie było dużych szans, żebyśmy gospodarczo na tym zyskali. Irak kuśił nas wprawdzie początkowo ciekawymi ofertami, ale sytuacja szybko się skomplikowała poprzez wojnę domową. Bardzo trudno nam było prowadzić biznesy w takich warunkach – chyba wszyscy pamiętają historię polskiego przedsiębiorcy z branży budowlanej porwanego w tym kraju. Inna rzecz, że nie byliśmy na tyle asertywni, by ścigać się z amerykańskimi firmami. Nasza obecność w Iraku, potencjał naszych specjalistów z wielu dziedzin dostrzegły jednak inne kraje arabskie i rozwinęły z nami szeroką współpracę gospodarczą. ©©



1911 r.

Związek Marii Skłodowskiej-Curie i Paula Langevina

Paul Langevin

FOT. HENRI MANUEL/WELLCOME IMAGES

Romans noblistki



Sławomir Koper

/ Skłodowską-Curie przedstawiano jako rozpustną cudzoziemkę, która niszczy ognisko domowe uczciwej Francuzki

Maria Skłodowska-Curie była pierwszą osobą, która dwukrotnie dostała Nagrodę Nobla, i jedyną kobietą, która jak dotąd została nią uhonorowana więcej niż jeden raz. Niewiele jednak brakowało, by z powodu skandalu obyczajowego nie wręczono jej tego wyróżnienia.

Mąż i najbliższy współpracownik Marii, Piotr Curie, zginął w wypadku w kwietniu 1906 r. Maria pogrążyła się w rozpacz, całą aktywność skierowała na wychowanie dwóch córek oraz na pracę zawodową. Życie nie zna jednak próżni, po kilku latach dostrzeżono, że zaczęła zakładać stroje o jaśniejszych kolorach, na twarzy pojawił się uśmiech, a „jej oczy znowu nabrały blasku”. Przyjaciele doszli do wniosku, że pani Curie się zakochała, i mieli rację.

Paul Langevin

Jej wybrańcem okazał się najzdolniejszy z uczniów męża, Paul Langevin. Był o pięć lat młodszy od Marii i zapowiadał się na znakomitego naukowca. Albert Einstein stwierdził nawet, że gdyby on sam nie sformułował szczególnej teorii względności, bez wątpienia zrobiłby to Langevin.

Paul był od wielu lat żonaty, ale jego małżeństwo trudno było uznać za szczęśliwe. Naukowiec był wyjątkowo niezaradny w kwestiach materialnych, co doprowadzało do pasji jego żonę, Jeanne. Przyjaciołom skarżył się na złe traktowanie, ale tolerował upokarzanie go przez małżonkę i jej rodzinę. Nie reagował nawet, gdy krewka połowica rozbiła mu na głowie butelkę (!) lub pobiła go metalowym krzesłem. Tym groźnym meblem dyscyplinowała zresztą Langevina też jego teściowa i szwagierka (!), a on nawet nie wyrzucił tego sprzętu z domu. Potrafił tylko grozić samobójstwem, a znajomym opowiadał, że jego rany są skutkiem upadku z roweru.

W pobliżu była jednak Maria, dla niej fizyk był wybitną osobowością niezrozumianą przez najbliższych. Zażyłość stawała się coraz bliższa, aż wreszcie nawiązali romans. W połowie lipca 1910 r. Paul wynajął mieszkanie w pobliżu Sorbony, gdzie spotykał się z Marią. „Spędziłam wczoraj-

EXCELSIOR

Journal Illustré Quotidien

L'Académie des Sciences examine aujourd'hui la candidature de M^{me} Curie



szy wieczór i noc – pisała Maria do kochanka – myśląc o Tobie, o godzinach, które spędziliśmy razem i o których zachowałam przepyszne wspomnienie. Wciąż widzę Twoje dobre i czułe oczy, Twój czarujący uśmiech i myślę o chwili, gdy znowu doświadczę słodczy Twojej wizyty”.

W dzisiejszych czasach popularne są e-maile i SMS-y, natomiast sto lat temu pisano listy. Powód był ten sam – nawet gdy z kimś widywano się codziennie, w liście można było powiedzieć więcej niż w bezpośredniej rozmowie. „Nie mogę się już doczekać – zwierzał się Paul Marii – kiedy Cię znowu zobaczę i będę mógł powiedzieć, jak bardzo mi Ciebie brakowało. Całuję Cię czule, czekając na jutrzejszy dzień”.

Nie wiadomo, jakie plany wobec partnera miała Maria, na pewno jednak nie traktowała związku z Langevinem jako przygody. Wprawdzie została kochanką żonatego mężczyzny, ale zapewne myślała o przyszłości u jego boku. We Francji istniały przecież rozwody cywilne, a ona była osobą stanu wolnego.

Zazdrosna żona

Niestety, Paul był człowiekiem kompletnie niezdecydowanym. Chociaż nie znosił swojego małżeństwa i rodziny żony, to nie robił nic, by się rozwieść. Nie musiał wyprowadzać się z domu, dalej miał kontakt z czworgiem dzieci, a do tego jeszcze atrakcyjną kochankę.

Małżonka o romansie Paula dowiedziała się, gdy w jej ręce wpadł list Marii do Langevina. Fizyk był osobą bardzo roztargnioną, zapewne nie wyjął go z kieszeni, a Jeanne miała zwyczaj przesiadywać jego ubrania. Chociaż podobno treść listu była tylko „naukowa”, to napisany został w dość „poufale” tonie. Poza tym korespondencja między dwiema ludźmi widujących się codziennie raczej nie należała do rzeczy normalnych i Jeanne natychmiast zrozumiała, że ma romans.

Zareagowała błyskawicznie i przez kilka dni Maria nie miała okazji spotkać się ze swoim kochankiem. Gdy poprosiła zaprzyjaźnionego fizyka, Jeana Perrina, by ten pojawił się u Langevinów i zorientował się w sytuacji, ten trafił na awanturę. Pani Langevin wygrażała mężowi i jego kochance, wykrzykując, że ujawni skandal prasie. Perrin nie dał jednak za wygraną i gdy kilka dni później pojawił się tam z żoną, Jeanne obiecała zaprzestać urządzania awantur. Gdy jednak późnym wieczorem goście wracali do domu, spotkali Marię, która wyjaśniła, że ma obawy przed powrotem do siebie. Rodzina jej kochanka groziła jej bowiem śmiercią.

W tej sytuacji Perrin dalej negocjował z Jeanne i ponownie osiągnięto kompromis. Paul miał nie widywać się z Marią nawet na gruncie służbowym, natomiast jego małżonka zobowiązała się do zaprzestania rzucania gróźb pod adresem Polki. Obiecała także, że niczego nie ujawni prasie. W spotkaniu wziął udział Henri Bourgeois, szwagier Jeanne i redaktor bulwarówki „Le Petit Journal”. Okazało się to bardzo złym pomysłem...

Maria nie zaprzestała bowiem korespondencji ani spotkań z Langevinem.

Wciąż miała nadzieję, że fizyk jednak rozwieździe się z żoną i razem stworzą udany związek. Tak przynajmniej można wywnioskować z zachowanych listów. „Do Ciebie więc należy decyzja – radziła Langevinowi – wiem, że niełatwa, żeby zrobić wszystko, co w Twojej mocy, konsekwentnie, by uprzykrzyć jej życie. Trzeba pozbawić ją absolutnie wszystkiego, co mogłoby jej sprawić jakąkolwiek przyjemność, ucieśnić czy obudzić nadzieje na pogodzenie i przy pierwszej sposobności, kiedy zaproponuje Ci separację i zatrzymanie przy sobie dzieci, trzeba przyjąć jej warunki bez wahania, żeby nie miała Cię czym szantażować”.

Pani Curie wiedziała jednak, że jej wybranek był człowiekiem o słabej woli, i obawiała się, że Jeanne odzyska nad nim władzę. Zdawała sobie sprawę z metod

stosowanych przez kobiety i przestrzegła przed tym Paula, żądając, by natychmiast podjął decyzję o „rozdzieleniu małżeńskiego łoża”, gdyż tylko w ten sposób mogłaby „nieco spokojniej czekać na dalszy ciąg ich separacji”. „Zrób to, kochany, błagam Cię, nie pozwól, by wzruszyły Cię jej łzy i lamenty. Już Ci to mówiłam – są łzy i łzy. Przypomnij sobie przypowieść o krokodylu, który płacze, bo nie pożarł swojej ofiary. Łzy Twojej żony są właśnie takiej natury. Ona musi wreszcie zrozumieć, że niczego nie może od Ciebie oczekiwać”.

Tymczasem żona wcale nie uwierzyła, że mąż i Maria zerwali znajomość. Chcąc mieć pewność, wynajęła detektywa, by śledził kochanków, dzięki temu ustaliła adres mieszkania, w którym się spotykali. Dalej poszło już łatwo; bez problemu wykradła mężowi klucz do lokalu, po czym przeprowadziła dokładną rewizję. W biurku znalazła plik listów od Marii, a w szafie „osobiste rzeczy z damskiej toalety”.

Tymczasem Langevin przeniósł się do Perrinów, przygotowując się do rozrywki z żoną i jej rodziną. Niestety, jeden z jego synów zachorował na zapalenie jelit i fizyk musiał powrócić do domu. Na nowo zaczęły się awantury,

■ a Jeanne nie przebierała w słowach. Nazwała chorobę dziecka „zasłużoną karą dla męża” (!), groziła też, że zniszczy życie Paulowi i jego kochance. Pewnego wieczoru Langevin wreszcie nie wytrzymał nerwowo i spoliczkował żonę, po czym zabrał synów i wyjechał z nimi na wakacje do Anglii. Nie wiedział, że Jeanne wykorzysta ten fakt, by oskarżyć go o porzucenie domu i porwanie dzieci...

Skandal

Kochankowie spotkali się na konferencji w Brukseli, gdzie zjechali najwybitniejsi fizycy z całego świata z Albertem Einsteinem i Maxem Planckiem na czele. Tymczasem w pierwszych dniach listopada 1911 r. paryski „Le Petit Journal” opublikował artykuł „Historia miłosna: Pani Curie i profesor Langevin”. Gazeta natychmiast znalazła się w rękach Marii, mieszkańcy Brukseli byli głównie francuskojęzyczni i bulwarówka miała tam wielu odbiorców.

Artykuł został napisany w sensacyjnym, brukowym stylu. Marię oskarżano o „kradzież męża”, uczona, by zaspokoić swoją wynaturzoną namiętność, miała z rozmysłem zniszczyć ognisko domowe Langevina. Brukowiec nie ograniczył się wyłącznie do informacji o romansie, zamieszczono także wywiad z teściową Langevina. Oświadczyła ona, że rodzina posiada listy potwierdzające związek obojga fizyków, a na domiar złego zięć wyjechał z kochanką i nikt nie wie, gdzie się znajduje.

Maria zareagowała niemal natychmiast. Wysłała list do „Le Temps”, powszechnie szanowanej paryskiej gazety, informując, że przebywa na konferencji w Brukseli. Nie było to zresztą dla nikogo tajemnicą, zatem informacje o jej tajemniczym zniknięciu z Paryża wraz z Langevinem są pomówieniem.

Wrzawa jednak narastała, a podsylił ją wywiad Jeanne dla „Le Petit Journal” („Romans w laboratorium. Przygoda pani Curie i pana Langevina”). Żona naukowca przyznała, że wiedziała o niewierności męża od dłuższego czasu i posiada dowody ją potwierdzające. Cały czas miała jednak nadzieję, że mąż wreszcie się opamięta i dotychczas nie reagowała na jego romans. Odgrywała rolę porzuconej, cierpiącej żony, która czeka na powrót męża. Natomiast Skłodowska-Curie wydawała się osobą bez zahamowań moralnych, która rozmyślnie i na zimno rozbija szczęście „francuskiej rodziny”. Jeanne wyznała też z płaczem, że mąż ją spoliczkował, gdyż nie smakował mu kompot, który przyrządziła, a potem wyjechał z ich synami w nieznanym kierunku.

Naukowcy zebrani w Brukseli przyjęli rewelacje z Paryża ze spokojem. Uznano je „za śmieszne”, a całą sytuację za nieprawdopodobną. Dla nich Maria i Paul byli ludźmi szczerze oddanymi nauce, nie było również tajemnicą, że Langevin nosił się z zamiarem rozwodu.

Jego małżonka miała jednak w swoich rękach decydujący argument, czyli skradzione listy kochanków. Gdy zauważyła, że sytuacja wymyka się jej spod kontroli, przekazała odpisy listów kilku (!)

redakcjom. Szefowie tytułów obawiali się jednak prawników Marii, wreszcie korespondencję opublikował prawnicowy „L'Action Française”. Redakcja gazety postanowiła zrobić „drugą sprawę Dreyfusa”, a Skłodowską-Curie przedstawić jako rozpustną cudzoziemkę, która uparła się, by zniszczyć ognisko domowe uczciwej Francuzki.

23 listopada tygodnik „L'Œuvre” zacytował obszernie fragmenty pozwu sądowego Jeanne przeciwko mężowi. Co gorsza, w artykule znalazła się insynuacja, że romans kochanków rozpoczął się jeszcze za życia Piotra Curie, a jego śmierć była samobójstwem po odkryciu nielojalności żony i przyjaciela. Pod domem Marii odbyła się demonstracja „oburzonych obywateli”, którzy żądali, by uczona natychmiast opuściła Francję. Nie ograniczono się do obelg, posypały się kamienie.

W tej sytuacji nie zawiedli przyjaciele Skłodowskiej-Curie. Perrin wraz z André Debiernem przebili się przez wrogi tłum i zabrali Marię do mieszkania fizyka Emila Borela na terenie paryskiej École Normale. Skandal zataczał jednak coraz szersze kręgi, Borel został wezwany do ministra oświaty (!), który zarzucił mu, że w swoim służbowym mieszkaniu dał schronienie kobiecie zamieszanej w skandal. Naukowiec nie dał się jednak zastraszyć, zagroził natychmiastową dymisją i minister ustąpił.

Natomiast jego żona, Marguerite, ostro starła się z własnym ojcem, Paulem Appelem. Był on dziekanem Wydziału Nauk Ścisłych Sorbony i zażądał od córki, by przestała ochraniać kobietę „niszczącą reputację uczelni”. Marguerite odmówiła i zapowiedziała, że jeżeli ojciec nie zmieni zdania, to nigdy więcej jej nie zobaczy. Rozwścieczony matematyk rzucił wprawdzie butami o ścianę, ale musiał się ugiąć.

Gdy świat naukowy w większości solidaryzował się z Marią i Paulem (list z poparciem przysłał też Einstein), w Paryżu odbył się pierwszy „pojedynek o panią Curie”. Henri Chevet, redaktor „Gil Blas”, wyzwał Léona Daudeta z „L'Action Française”. Panowie starli się na szpady, Chevet zranił przeciwnika, co obserwowali licznie przybyli reporterzy. Natomiast inny dziennikarz „Gil Blas”, Pierre Mortier, niebawem stanął naprzeciwko Gustave'a Téry'ego, redaktora naczelnego „L'Œuvre”. Tym razem zwyciężył jednak wróg pani Curie, który dwukrotnie ranił



Karolina Gruszka jako Maria Skłodowska-Curie i Arieh Wolthalter jako Paul Langevin w filmie „Maria Skłodowska-Curie” Marie Noelle FOT. MAT. PRASOWE

swojego przeciwnika. Pojedynek odbył się na stadionie (!) w parku Książąt, a jego przebieg relacjonowała prasa.

Na „udeptanej ziemi” stanął nawet Langevin, który wyzwał Téry’ego. Wybrano pistolety, a przebieg walki obserwowała grupa reporterów, która nie ukrywała zawodu, gdy nie połała się krew. Téry bowiem uznał, że nie może pozbawić kraju tak wybitnego umysłu, i strzelił w ziemię. Natomiast Langevin w ogóle nie nacisnął spustu, w tej sytuacji jeden z sekundantów zabrał mu broń i oddał strzał w powietrze. Wymogom formalnym stało się zadość.

W całym tym zamieszaniu opinia publiczna we Francji zignorowała informacje o Nagrodzie Nobla dla Skłodowskiej-Curie. Gdy zresztą do Sztokholmu zaczęły dochodzić alarmujące informacje o skandalu z udziałem Marii, wśród członków Królewskiej Akademii Nauk pojawiały się głosy, by ją pozbawić wyróżnienia. Ostatecznie zaproponowano, by nie przyjeżdżała osobiście po jej odbiór, ale Maria zachowała spokój i godność. Listownie odrzuciła wszelkie sugestie, a przy okazji podkreśliła, że nagroda przyznawana jest za osiągnięcia naukowe, a nie sprawy z życia prywatnego. I odebrała ją osobiście.

Koniec romansu

Tymczasem Langevinowie zawarli porozumienie o separacji. Paul zgodził się wypłacać małżonce 200 franków miesięcznie (niecały 1 tys. euro) i zachował prawo do widywania synów. Jednak

ugoda nie weszła w życie, fizyk nie zaproponował bowiem Marii wspólnego życia. Afera zabiła uczucia, miłość i namiętność odeszły w przeszłość, pozostały tylko zmęczenie i strach.

Paul ostatecznie powrócił do żony i nigdy się z nią nie rozwiódł. Z czasem znalazł sobie dużo młodszą kochankę, była swoją studentką, fizyka Eliane Montel. Jeanne tym razem nie reagowała, a Maria na prośbę Paula zatrudniła jego wybrankę w swoim instytucie radowym. Pani Langevin nie zareagowała nawet, gdy kochanka męża urodziła mu nieślubnego syna, Paula Gilberta, przyszłego muzykologa.

Życie dopisało zadziwiającą puentę do związku Skłodowskiej-Curie i Langevina.

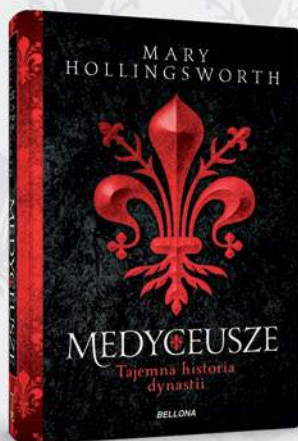
W 1946 r. studentka fizyki, Hélène Joliot (wnuczka Marii), zakochała się w innym studencie tego kierunku, Michelu Langevinie (wnuku Paula). Postanowili się pobrać, nie znając historii swoich przodków, a Hélène dowiedziała się o wszystkim dopiero w dniu ślubu. Historię opowiedziała jej własna matka, która obawiała się skandalu podczas uroczystości. Miała się tam bowiem pojawić babka pana młodego, jednak Jeanne z wiekiem złagodniała. Ślub odbył się bez żadnych problemów.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Cytowałem za: „Maria Skłodowska-Curie. Listy”, red. Alicja Albrecht, Warszawa 2012.



Maria Skłodowska-Curie i Paul Langevin
FOT. ARCHIWUM



*Znakomite spojrzenie na Medyceuszy,
portret subtelny,
ale ukazujący w pełni ich burzliwe dzieje.*

„Telegraph”

BELLONA

REKLAMA

75. rocznica

/ Z Rayem Lambertem,
sanitariuszem z 1. Dywizji Piechoty US Army

rozmawia Piotr Włoczyk

D-Day na plaży Omaha

/ – Mocno krwawiłem i nie miałem już prawie sił. Modliłem się, żeby Bóg dał mi jeszcze ostatnią szansę. Chciałem uratować jeszcze jednego żołnierza. I wtedy zdarzył się cud – mówi weteran US Army Ray Lambert

PIOTR WŁOCZYK: Ilu żołnierzy lądowało z panem na plaży Omaha?

RAY LAMBERT: Na pokładzie mojej barki desantowej było 27 ludzi, w tym siedmiu sanitariuszy.

Jakie żniwo zebrał wśród was ten dzień?

Nasze straty podczas D-Day sięgnęły 60 proc. Mam na myśli zabitych i rannych. Natomiast końca wojny doczekało

tylko czterech chłopaków spośród tych 27... Kiedy rok wcześniej lądowałem na Sycylii, wydawało mi się, że nie może być już trudniej. Okazało się jednak, że D-Day był dużo trudniejszym doświadczeniem.

Ponieśliśmy duże straty, ale inni mieli jeszcze gorzej. Przykładowo na pokładzie jednej z barek desantowych z kompanii G wszyscy żołnierze poza jednym zostali rozsiekani ogniem karabinów maszyno-

wych. Z niektórych kompanii zostawał tylko jeden pluton. Na plaży Omaha bywało też tak, że wobec utraty wszystkich oficerów i podoficerów szeregowiec musiał zebrać pozostałych ludzi i poprowadzić ich do boju.

W jednej z początkowych scen filmu „Szeregowiec Ryan” mamy taki obrazek: podczas gdy sanitariusze próbują uratować na plaży ciężko rannego żołnierza, niemiecki snajper bezlitośnie strzela mu w głowę...

Tego dnia przeżyłem w Normandii podobną sytuację. Doszło do tego kilka godzin po rozpoczęciu inwazji. Byliśmy wciąż przygwożdżeni na plaży i nasi żołnierze zdobywali umocnienia, z których Niemcy zasypywali nas ogniem. W tam-

Desant na plaży Omaha

FOT. ROBERT F. SARGENT/WIKIPEDIA



świetnie zabezpieczeni na wzgórzach dominujących nad plażą, prowadzili ciągły ogień z karabinów maszynowych. Strzelali tak długo, że karabiny rozgrzewały się do czerwoności i musieli wtedy robić przerwy. Chwyтали wówczas za karabiny snajperskie i polowali w masie żołnierzy stłoczonych na plaży. Ostrzał był więc ciągły. Ray został zabity właśnie przez snajpera.

We wspomnianej superprodukcji sanitariusze mieli na hełmach duże czerwone krzyże, co robiło z nich świetne cele. Niemcy jakoś specjalnie na was polowali?

Tak to zostało pokazane w filmie, ale rzeczywistość na plaży Omaha była inna. Polowanie na sanitariuszy zaczęło się już w Afryce Północnej. Byłem świadkiem tego barbarzyństwa, ponieważ brałem też udział w operacji „Torch”. Czerwony krzyż na hełmie był wtedy jak wyrok śmierci. Niemcy wychodzili z założenia, że jeżeli wybiją do nogi sanitariuszy, to mocno spadnie morale żołnierzy, którzy będą się czuli pozostawieni na pastwę losu. Mieli nadzieję, że w takim przypadku żołnierze nie będą przejawiali tak bardzo ofensywnej postawy. Dlatego usłyszeliśmy od dowództwa, że jeżeli chcemy, to możemy przestać nosić oznaczenia z krzyżami. To naprawdę miało sens i oczywiście skorzystaliśmy z tej możliwości. Dlatego podczas D-Day nikt z mojej grupy sanitariuszy nie miał czerwonych krzyży na hełmach ani opasek na ramionach. Dopiero po wielu godzinach walki, gdy plaża była już dużo bezpieczniejsza, w kolejnych falach inwazyjnych pojawiło się więcej sanitariuszy, którzy już byli standardowo oznaczeni. Wtedy już mogli sobie na to pozwolić.

Zacznijmy od początku. Jak wyglądały pierwsze godziny D-Day?

Wszyscy na statku byli nerwowi, ponieważ już drugi dzień czekaliśmy na lądowanie. Miałem za sobą dwie ciężkie inwazje – w Afryce Północnej i na Sycylii. Wiedziałem jednak, że ta będzie najtrudniejsza. Na pokładzie mieliśmy makietę plaży i dobrze przyglądaliśmy się zagrożeniom. To nie wyglądało wesoło. Niemcy świetnie

przygotowali dla siebie pole bitwy. Mieliśmy wtedy zaplanować, gdzie umieścimy punkty opatrunkowe, a tam praktycznie nie było miejsc, które byłyby bezpieczne – Niemcy już o to zadbali. Szacowaliśmy, że straty będą sięgały 15 proc.

Dostaliśmy też informacje o liczbie niemieckich żołnierzy, którzy na nas czekali. Po wszystkim okazało się, że te dane – które i tak były mocno niepokojące – były niedoszacowane. Niemcy mieli na plaży dużo większe siły.

O brzasku 6 czerwca, gdzieś w okolicach godz. 3, staliśmy kilkanaście kilometrów od wybrzeża Normandii. Gdy wyszedłem na pokład i spojrzałem na morze, byłem zdumiony. Nigdy w życiu nie widziałem tylu okrętów. Wyglądało to tak, jakby cała US Navy zebrała wszystkie swoje jednostki ze wszystkich mórz oraz oceanów i ustawiła je przy wybrzeżu Normandii. Ten widok, szczególnie pancerników i niszczycieli, łagodził nieco nasze obawy.

Jak spędził pan ostatnie chwile przed akcją?

Na pokładzie spotkałem wtedy mojego starszego brata Billa, sierżanta z kompanii G. Każdy z nas miał rodzinę, byliśmy już ojcami. Zgodnie oceniliśmy, że szanse na to, iż obaj przeżyjemy tę inwazję, są znikome. Każdy rozumiał, że wdarcie się na kontynent będzie krwawą jatką. Dlatego umówiliśmy się, że jeżeli jeden z nas zginie tego dnia, to drugi zaopiekuje się jego najbliższymi. Akurat kiedy skończyliśmy rozmawiać i serdecznie pożegnaliśmy się, kazali nam zejść na pokład łodzi Higginsa, czyli barki desantowej. Właśnie zaczynała się największa operacja desantowa w historii.

A pan był w pierwszej fali...

Tak. Byłem sierżantem nadzorującym sekcję medyczną 2. Batalionu 16. Pułku wchodzącego w skład 1. Dywizji Piechoty. Omaha była najlepiej chroniona spośród wszystkich plaż. 16. Pułk miał poprowadzić atak, ponieważ byliśmy też pierwsi w Afryce i na Sycylii.

Mniej więcej kilometr od plaży zaczął się ostrzał z karabinów maszynowych, artylerii i moździerzy. Kilometr od plaży! Pociski uderzały w rampę,



Ray Lambert FOT. PBS.ORG

tym momencie byłem już dwukrotnie ranny, łała się ze mnie krew i wiedziałem, że długo tak nie pociągnę. Zawołałem do siebie jednego z moich podkomendnych, sanitariusza Raymonda Lepore'a, żeby wydać mu instrukcje na kolejne godziny, kiedy mnie już nie będzie – gdzie znosić naszych rannych chłopców i jak zorganizować dalszą pracę w tych piekielnych warunkach. Staliśmy twarzą w twarz, bo w tym ciągłym huku inaczej nic nie było słychać. Gdy tylko skończyłem wydawanie rozkazów, kula przeleciała przez głowę Raya.

Ray wpadł na mnie, zalewając mnie krwią. Jego nazwisko wyryte jest na pomniku naszej 1. Dywizji Piechoty, który do dziś stoi na plaży Omaha. Niemcy,

robiąc mnóstwo hałasu, wszędzie dookoła wystrzeliwały w górę słupy wody. Im bliżej brzegu, tym ludzie coraz głośniej się modlili.

Można chyba śmiało powiedzieć, że wstrząsająca scena z „Szeregowca Ryana”, pokazująca sam moment lądowania, przeszła do historii kina. Widzimy w niej, jak tuż po otwarciu rampy ogień broni maszynowej ścina ok. połowy żołnierzy. Jak to wyglądało w pańskim przypadku?

Odnajduję tu pewne podobieństwa do tego, co wówczas przeżyliśmy. Stałem w lewym przednim rogu barki. Po otwarciu rampy zasypał nas grad pocisków z MG 42. Ja dostałem w prawy łokieć. Część naszych chłopców, wyskakując z barki, wpadała na druty kolczaste rozłożone w wodzie przez Niemców. Chłopaki mieli na sobie tyle sprzętu, że wywracali się, tracili równowagę i topili się. Pierwszym zadaniem było więc wyciągnięcie żołnierzy z wody, nie tylko tych z naszej barki. Kiedy już wszyscy żywi zostali wyciągnięci z wody, przeszliśmy do naszej zasadniczej pracy. Pośród dochodzących do naszych uszu przerażających dźwięków wyciągaliśmy rannych żołnierzy spomiędzy martwych. To było pandemonium. Jęki rannych i umierających, świszczące kule karabinowe, wybuchy pocisków moździerzowych...

Poza pomocą medyczną czasem trzeba też było udzielić żołnierzom niewielkiej pomocy psychologicznej. Niektórych lżej rannych, po opatrzeniu ran, klepaliśmy po plecach, tłumaczyliśmy, że nic im nie będzie, zagrzewając ich w ten sposób do walki. Trzeba było przecież zdobyć te przeklęte umocnienia. Naprzeciw nas z bunkrów ustawionych na wzgórzu ponad plażą strzelały do nas cztery karabiny maszynowe.

Co zrobić z rannymi, jeżeli nie ma ich gdzie bezpiecznie położyć?

Jedynym miejscem, gdzie mogliśmy w miarę zabezpieczyć rannych, był niewielki skrawek plaży za kawałkiem betonowej struktury, którą z jakiegoś powodu pozostawili tam Niemcy. We trzech znosiliśmy rannych w to miejsce. Jeden sanitariusz siedział przy nich i opiekował się nimi. Pamiętam, że sporym problemem był mokry piach, który oblepiał mundury, zanieczyszczał rany, generalnie bardzo utrudniał opatrywanie. Ten kawałek betonu był dla nas nieocenioną



Sanitariusze z amerykańskiej 4. Dywizji na plaży Utah FOT. ARCHIWUM

pomocą. Nawiasem mówiąc, w zeszłym roku władze pobliskiego Colleville-sur-Mer nazwały to miejsce „Skałą Raya” („Ray’s Rock”). Zrobili z tej okazji ładną ceremonię, na którą mnie zaprosili. To był bardzo miły gest ze strony Francuzów.

Próbował pan kiedyś oszacować, ilu ludzi udało się panu wtedy uratować?

Myszę, że tego dnia udało mi się uratować ok. 15–18 żołnierzy. Oczywiście większość z nich to ci, którzy się topili, bo takie akcje były najłatwiejsze. Tych z urwaną nogą albo z wielkim szrapnelem wbitym w brzuch było wtedy niezwykle ciężko uratować i wymagało to oczywiście o wiele więcej czasu.

Bardzo ciężka rana była w tamtych warunkach na plaży równoznaczna z wyrokiem?

Właściwie tak. Proszę sobie wyobrazić, jak ciężko było podać osocze pod takim ostrzałem. Dopiero po kilku godzinach można było ewakuować najciężiej rannych na nasze statki szpitalne.

Który moment był najtrudniejszy?

Ten, kiedy o mały włos nie zginąłem. W pewnym momencie zauważyłem człowieka, który szamotał się w wodzie zaplątany w drut kolczasty. Pomogłem mu wykaraskać się z tego, objąłem go i szliśmy w kierunku brzegu. Byliśmy do pasa w wodzie. Nagle czuję na swoich plecach powalające uderzenie. To była rampa barki desantowej, która na nas wpłynęła. Kierujący nie zauważył nas i spuścił nam na plecy rampę. Momentalnie zostaliśmy przygniecieni do dna. Szarpałem się, walczyliśmy, ale to było daremne. Taka rampa ważyła około tony. Mocno krwawiłem i nie miałem już prawie sił. Modliłem się, żeby Bóg dał mi jeszcze ostatnią szansę. Chciałem uratować jeszcze tylko tego jednego żołnierza.

I wtedy zdarzył się cud. Czuję, że nagle ta rampa podnosi się... Mogliśmy wstać, chociaż palił mnie kręgosłup – uderzenie poważnie go uszkodziło. Barka wycofała

się i wyładowała żołnierzy w innym miejscu.

Człowiek kierujący nią albo zorientował się, że jest nie w tym miejscu, co trzeba, albo zobaczył, że ogień jest tu zbyt intensywny i postanowił popłynąć gdzie indziej. To nas uratowało.

Ile pan wytrzymał na plaży Omaha?

Pracowałem 3,5 godziny, aż zemdlałem po trzecim postrzale. Doczekałem przybycia czwartej fali sił inwazyjnych. Kolejny załadował mnie na barkę desantową, która po wysadzeniu żołnierzy zabrała ze sobą rannych.

Przytomność odzyskałem na pokładzie statku płynącego do Anglii. Nie jestem w stanie powiedzieć, jak długo byłem nieprzytomny.

I wtedy doszło do niezapomnianej sytuacji. Oglądał nas lekarz wojskowy. Kiedy spojrzał na mój nieśmiertelnik, powiedział: „O, mamy tu jeszcze jednego Lamberta”. Wiedziałem, że to musiał być mój brat, bo w 16. Pułku było tylko dwóch Lambertów. Lekarz powiedział, że Bill jest na tyle ciężko ranny, że wygląda na to, iż będą musieli mu odciąć rękę i nogę.

W desperacji powiedziałem do niego błagalnym głosem: „Proszę tego nie robić...”. Oczywiście moja prośba nie miała większego sensu z punktu widzenia lekarza, ale w rozpaczny człowiek mówi różne rzeczy.

Bill przeżył?

Po przybiciu do Anglii wsadzili nas do tej samej karetki. Ja nie byłem w tak złym stanie, ale Bill bardzo mocno oberwał. Lekarzom jednak nie tylko udało się uratować mu życie. Bill zachował też obie ręce i nogi. Wyliżał się z tego i żył bardzo długo – zmarł w 2010 r.

Sporo tych cudów się działo wokół pana.

(śmiech) Coś w tym jest! Ja jednak myślałem, że o cudzie możemy mówić w przypadku każdego żołnierza, który wyszedł cało z tego, co Niemcy przygotowali dla nas na plaży Omaha. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Ray Lambert

– (ur. 1920 r.) jest weteranem 1. Dywizji Piechoty US Army, w której służył jako sanitariusz. Brał udział w trzech inwazjach: w Afryce Północnej, we Włoszech i Francji. Wielokrotnie dekorowany wysokimi amerykańskimi odznaczeniami.

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

**PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA MICHAŁA GOŁKOWSKIEGO „OTTO - STALOWE SZCZURY”**

**JEŚLI DO TEJ PORY WYDAWAŁO CI SIĘ, ŻE WIESZ,
CO MOŻE WYDARZYĆ SIĘ NA WOJNIE... NO CÓŻ.
NAJWYRAŹNIEJ TWOJE ŹRÓDŁA HISTORYCZNE NIE
MIAŁY DOŚĆ ANI FAKTÓW, ANI FANTAZJI.**

Paryż wzięty!

Harmonia przygrywa radośnie, gdy oddziały pod flagą Kaiserreichu wkraczają do zdobytej szturmem stolicy Francji. Jest lato 1918 roku, a Wielka Wojna potoczyła się w sposób, który zaskoczył równie bardzo tych chwilowo pokonanych, jak i ulotnych, nietrwałych zwycięzców ofensywy. Gdzieś pośród pożarów stolicy pewna nieco spóźniona kompania inżynierjno-szturmowa musi wyciągać nogi, żeby zdążyć wraz z wycofującymi się oddziałami... Leczy gdy niemalże wpadają pod koła rozpędzonej ciężarówki, wiozącej tajemniczy ładunek, o którym nigdy nie powinno byli się dowiedzieć, wielu innych wyciągnie kopyta.

76 zł

oszczędność 76 zł



JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO:

62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o.

Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI:

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: www.prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl ecab8a3774

30 listopada 1932 r. / Atak ukraińskich bojówkarzy



Piotr Zychowicz

Grupa młodych ukraińskich bojowników napadła na pocztę w Gródku Jagiellońskim. Dla Polaków byli bandytami, dla Ukraińców – bohaterami

W drzwiach urzędu pocztowego stał młody człowiek z rewolwerem w dłoni. Twarz miał zasłoniętą maską.

W okamgnieniu po całym urzędzie rozbiegli się jego towarzysze. Wszyscy zamaskowani i uzbrojeni w broń krótką. Część doskoczyła do sparalizowanych ze strachu kasjerów, inni wdarli się na zaplecze, gdzie znajdowały się sejfy. Jeszcze inni sterroryzowali obecnych w urzędzie interesantów.

– Dawaj pieniądze!!! – zaczął krzyczeć jeden z napastników, przyciskając lufę pistoletu do głowy urzędnika.

Nie zdążył dokończyć zdania. Nagle rozległ się bowiem ogłuszający huk wystrzału. Jeden z pracowników poczty wykorzystał nieuwagę napastników i zdołał wyciągnąć z szuflady broń. Z bliskiej odległości strzelił w stronę stojącego najbliżej człowieka w masce. Napastnik runął na podłogę, a krew zbryzgała białą ścianę.

To, co wydarzyło się w ciągu kolejnych minut, było istnym pandemonium. Kilku innych urzędników oraz strażników wyszarpnęło rewolwery i w gmachu wybuchła szalona strzelanina. Kule fruwały po całym budynku, bijąc szyby, strącając doniczki i osypując tynk ze ścian. Raz po



Dziki Zachód w Galicji

raz któryś z uczestników walki z jękiem osuwał się na ziemię.

Jak odnotowano później w protokole policyjnym, podłoga i ściany urzędu były całe ubroczone krwią. Strzelano do siebie na hali głównej, klatkach schodowych i korytarzach. W sam środek tego piekła dostali się przypadkowi klienci poczty. Według części źródeł napastnicy z premedytacją mieli oddać kilka strzałów w stronę bezbronnych, stojących z rękami w górze ludzi. Według innych zrobili to przez pomyłkę.

W końcu urzędnicy zdołali przejść do kontrataku i wyprzeć atakujących z budynku. Po krótkiej wymianie strzałów na ulicy zamaskowani mężczyźni rzucili się do ucieczki. Napad spalił na panewce – zamiast spodziewanego pół miliona złotych grupie udało się zdobyć zaledwie 3232 zł 15 gr. I to w dodatku w bilonie!

Tragiczny bilans

Opisana wyżej scena nie rozegrała się na amerykańskim Dzikim Zachodzie, ale w Gródku Jagiellońskim w Galicji Wschodniej. 30 listopada 1932 r. 11-osobowa bojówka Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów zaatakowała tamtejsze urząd pocztowy i urząd skarbowy. Według Ukraińców była to brawurowa akcja ekspropriacyjna, której celem było zdobycie funduszy na dalszą walkę z polskim okupantem. Według Polaków był to zwykły, ordynarny napad rabunkowy.

Jego bilans był tragiczny. Jeden z młodych Ukraińców zginął na miejscu, a drugi dowłókł się do jednego z sąsiednich budynków – znajdowało się tam mieszkanie ukraińskiego adwokata – gdzie wkrótce skonał z upływu krwi. Bojówkarze podczas walki w urzędzie ranili ośmiu pracowników poczty. Jeden z nich, woźny o nazwisku Kołacz, wkrótce zmarł w szpitalu. Kula przeszła szyję i utknęła w kręgosłupie. Dzielnego obrońcy poczty nie udało się uratować.

Na tym dramat się nie zakończył. Na wieść o jatce w urzędzie pocztowym do Gródka Jagiellońskiego pospieszenie przybył specjalny oddział pościgowy polskiej policji. Funkcjonariusze wspomagani byli

przez specjalnie wytresowane psy tropiące i wyposażeni w karabiny. Obławą kierował osobiście komendant wojewódzki Marian Kozielewski, brat Jana Karskiego, przyszłego kuriera Polskiego Państwa Podziemnego.

W jednej z okolicznych miejscowości patrol policji natknął się na dwóch uciekających Ukraińców. Wezwani do zatrzymania się mężczyźni w odpowiedzi otworzyli ogień. Jeden policjant padł trupem na miejscu, drugiemu OUN-owcy przestrelili brzuch. Wkrótce obaj uciekinierzy zostali schwytani, a w kolejnych dniach policji udało się wyłapać innych napastników.

Trafili oni do więzienia we lwowskich Brygidkach, a potem pod sąd. Proces z napięciem śledziła cała Polska. Reporterzy sądowi ze szczegółami cytowali obszernie zeznania świadków i oskarżonych. Oto fragment zeznań Euzebiusza Kohmana, księgowego urzędu skarbowego, który feralnego dnia spotkał się oko w oko z napastnikami. Opublikował je na pierwszej stronie „Dziennik Białostocki” 19 grudnia 1932 r.

„Zobaczyłem w pokoju dwóch ludzi – zeznawał Kohman. – Ten, który stał na wprost mnie, podniósł rewolwer i mierząc do mnie w pierś, wystrzelił dwukrotnie. Drugi, który stał za plecami strzelającego, chyłkiem strzelił do kolegi Dębińskiego. Potem obaj cofnęli się za drzwi. Natychmiast podbiegłem do drzwi i przekręciłem klucz w zamku. Usiło-

wałem uniemożliwić bandytom dostęp do kasy, w której znajdowało się 54 000 złotych gotówką.

Ostrożnie uchyliłem drzwi, ale bandyta stał, jak czarny manekin, z rewolwerem wymierzonym w nasze drzwi. Wobec tego co rychlej przekręciłem klucz w zamku i zwróciłem się do kolegi Dębińskiego. On siedział przy biurku, nie ruszając się. Mówił tylko cicho:

– Nie mogę oddychać, słabo mi.

Gdy napił się wody, włożył rękę z tyłu na plecy pod marynarkę i poczuł coś ciepłego. Wyjął rękę i zobaczył na palcach krew. Wówczas rzekł:

– Jestem ranny.

Na to odparłem:

– Zobaczę, może i ja jestem ranny.

Odwinąłem lewy rękaw – nic. Prawy natomiast zboczony był krwią. Zobaczyłem, że mam rękę przestreloną. Potem oglądając dalej ciało, stwierdziłem ranę mięśnia jamy brzusznej, pod palcami wyczułem nawet kulę”.

Dalej reporter „Dziennik Białostocki” relacjonował:

„W tem miejscu urzędnik sądowy składa na stole sędziowskim kulę wyjętą z ciała Kohmana, a jednocześnie wyjaśnia:

– Kaliber 7,35.

Przewodniczący:

– Daniłyszyn, jaki miał pan rewolwer wtedy?

Ku zdziwieniu wszystkich Daniłyszyn odpowiada po ukraińsku:



Na ławie oskarżonych, od lewej: Daniłyszyn, Biłas oraz Zurakowskyj FOT. NAC

– Nie wiem, nie znam się na broni.
– To samo pytanie kieruje przewodniczącą do Biłasa. Ten odpowiada bez zająknięcia:

– Kaliber 6,75.

Prokurator:

– Skąd Biłś tak dobrze zna się na broni? Czy tak często strzelał pan przedtem?

– Znam się na broni, ale nie strzelałem nigdy”.

Atakowi na pocztę w Gródku Jagiellońskim sporo miejsca poświęciła również podziemna prasa Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Chociaż oczywiście pisała na ten temat w zupełnie innym tonie.

„Te rewolucyjne akty – donosił »Juna« – uderzają we wszystkie ugodowe mrzonki, wytwarzają w duszach mas wrogość i nienawiść do okupanta i kopią nieprzebytą przepaść między nami i nimi”.

W dwóch procesach zapadły wyroki od kary śmierci do dwóch lat więzienia. Dwóch najmłodszych uczestników akcji – w tym gimnazjalista! – zostało uniewinnionych. W grudniu 1931 r. stracono natomiast Dmytra Daniłyszyna i Wasyla Biłasa. Obaj mieli już na koncie poważne – i w dodatku idiotyczne – przestępstwo.

Otóż 29 sierpnia 1931 r. w pensjonacie sióstr bazyliańek w Truskawcu zastrzelili Tadeusza Hołówkę. W polskiego posła wpakowali sześć pistoletowych kul, a następnie uciekli. Wówczas policji nie udało się ich wytropić, wpadli dopiero rok później w Gródku. Dlaczego nazwałem ten zamach idiotycznym?

Ponieważ Tadeusz Hołówko był największym przyjacielem Ukraińców zasiadającym w polskim Sejmie.

W 2018 r. – dzięki dotacji uzyskanej od władz obwodu lwowskiego – grecko-katolicki ksiądz i patriotyczny aktywista Mychajło Hredil nakręcił niezwykle spektakularny i dynamiczny film o akcji w Gródku. Film ten nosi tytuł... „Niezlomni”. Ukraińcy traktują bowiem młodych bojowników OUN, którzy dokonali ataku na polską pocztę, dokładnie tak samo jak Polacy młodych żołnierzy AK, którzy dokonywali ataków na banki i urzędy Generalnego Gubernatorstwa.

Wzorem Piłsudskiego

Wszystko zaczęło się po zakończeniu krwawej polsko-ukraińskiej wojny o Galicję Wschodnią, która toczyła się w latach 1918–1919. Jak wiadomo, Wojsko Polskie wyszło z tych zmagani zwycięskie i wyrzuciło ukraińską armię za rzekę Zbrucz. Dla ukraińskich patriotów załamanie ich dążeń niepodległościowych było wielką klęską, polskie rządy w Galicji i na Wołyniu uważali oni za okupację.

W efekcie w 1920 r. oficerowie byłej Armii Halickiej powołali do życia konspiracyjną Ukraińską Organizację

Wojskową (UOW). Była ona wzorowana na założonej przez Józefa Piłsudskiego Polskiej Organizacji Wojskowej. Różnica polegała na tym, że POW walczyła z Rosją o niepodległość Polski, a UOW walczyła z Polską o niepodległość Ukrainy. Metody – przynajmniej na początku – były jednak z grubsza takie same.

Zamachy na urzędników i policjantów, napady na ambulanse pocztowe i urzędy. Do tego akty sabotażu i dywersji.

Palenie stogów siana, zrywanie linii elektrycznych, wysadzanie w powietrze mostów. Tak jak Piłsudski w swojej walce z Rosją szukał oparcia w służbach wywiadowczych Austro-Węgier, tak jego ukraińscy naśladowcy szukali oparcia w służbach Republiki Weimarskiej. UOW współpracowała blisko z Abwehrą.

Ataki, takie jak w Gródku Jagiellońskim, do złudzenia przypominał zaś dokonany w 1908 r. przez Piłsudskiego i innych bojowników Organizacji Bojowej PPS skok na rosyjski pociąg pocztowy pod Bezdanami.

Na prawdziwy paradoks zakrawa więc to, że pierwszy poważny atak terrorystyczny UOW wymierzony był w... Józefa Piłsudskiego. A więc człowieka, który dla ukraińskich bojowników stanowił wzór do naśladowania.

25 września 1921 r. Marszałek w towarzystwie wojewody Stefana Grabowskiego opuścił gmach lwowskiego ratusza. Gdy obaj dygnitarze wsiadli do otwartej limuzyny, z tłumu wystąpił młody żołnierz UOW Stepan Fedak „Smok”. W jego rękę błysnęła lufa pistoletu. Rozległ się huk wystrzału. W sumie „Smok” oddał w stronę siedzących trzy strzały.

Jedna kula gwizdnęła nad głową Marszałka, pozostałe dwie – na szczęście niegroźnie – pokiereszowały wojewodę. Zamachowiec został schwytany i omal nie zlinczowany przez tłum lwowiaków. Stanął przed sądem, który skazał go na sześć lat więzienia. Sam marszałek Piłsudski zabiegał o łagodny wyrok, w efekcie młody Ukrainiec wkrótce opuścił więzienie na mocy rządowej amnestii.

Z biegiem lat Ukraińska Organizacja Wojskowa coraz bardziej się radykalizowała. Do szeregów organizacji dołączyło bowiem młode pokolenie zdeterminowanych i gotowych na wszystko działaczy. Patriotów zastąpili nacjonaści na czele ze Stepanem Bandera i Romanem Szuchewyczem. I to oni zaczęli nadawać ton grupie, która na przełomie lat 20. i 30. została wchłonięta czy raczej przeopczwarzyła się w Organizację Ukraińskich Nacjonalistów (OUN).

Staroświecką ideą zbrojnej walki o wolność zastąpiła idea „permanentnej rewolucji”. Zafascynowani włoskim faszyzmem młodzi nacjonaści rzucili hasło: „Ukrainy dla Ukraińców” i bezkompromisowej walki nie tyle z państwem polskim, ile z polsnością. Walkę



tę planowali prowadzić wszelkimi dostępnymi metodami. Bez sentymentów, kompromisów i moralnych hamulców.

Dążący do totalnej konfrontacji z Polską członkowie OUN najbardziej obawiali się polsko-ukraińskiego kompromisu. Zakopanie topora wojennego między obydwojema narodami byłoby bowiem równoznaczne z odcięciem

im tleniu. Paliwa, które dla OUN-owców stanowiła nienawiść mas ukraińskich do polskiego rządu i administracji.

Dlatego właśnie OUN zwalczała wpływy nastawionego ugodowo Ukraińskiego Zjednoczenia Narodowo-Demokratycznego (UNDO) i dokonywała zamachów na Ukraińców uznawanych za „kolaborantów”. Dlatego też z rąk ukraińskich zamachowców zginął Tadeusz Hołówko. Na szczęście nacjonalistom nie udało się zgładzić wojewody wołyńskiego Henryka Józewskiego. Liberała o szerokich horyzontach, który starał się rozładować konflikt i pozyskać Ukraińców dla Rzeczypospolitej.

15 czerwca 1934 r. członek OUN Hryhorij Maciejko zamordował natomiast szefa resortu spraw wewnętrznych Bronisława Pierackiego. Do tragedii doszło na ulicy Foksal w Warszawie. Gdy minister wysiadł z limuzyny i skierował się do Klubu Towarzystwa, ukraiński zabójca zaszedł go od tyłu i bez ostrzeżenia wpakował mu dwie kule w tył głowy. Chociaż policja podjęła pościg, to zabójcy udało się uciec z miejsca zbrodni.

Pacyfikacja Galicji

Zamachy i akcje sabotażowe dokonywane przez ukraińskich nacjonalistów wywoływały radykalną odpowiedź państwa polskiego. Po fali antypaństwowych wystąpień, do których doszło w 1930 r., marszałek Piłsudski zarządził przeprowadzenie akcji, której celem miało być uspokojenie terenu. Do historii przeszła ona jako „pacyfikacja Galicji”. Niestety, państwo polskie zdecydowało się zastosować zasadę odpowiedzialności zbiorowej wobec niewinnej ludności cywilnej.



Adwokat Grabiński, postrzelony podczas napadu w Gródku Jagiellońskim FOT. NAC

Biorące w niej udział siły policyjne i wojskowe zastosowały drakońskie środki. Doszło do szerokich aresztowań wśród ukraińskich działaczy niepodległościowych, na ukraińskie instytucje posypały się kary administracyjne. Najbardziej pożałowania godne wydarzenia rozegrały się jednak na prowincji.

Polscy żołnierze i policjanci wkroczyli do wiosek, w których dokonywali brutalnych pobić, rekwizycji i aktów wandalizmu. Kolbami karabinów łamali nogi koniom i bydłu, zalewali mąkę naftą, niszczyli ziarno. Darli na strzepy pościel, tłukli garnki, rozbijali piece. Doszło przy tym do wielu ciężkich pobić, niektóre były ze skutkiem śmiertelnym.

Wyjątkowo brutalnie polscy policjanci i żołnierze pastwili się nad księżmi greckokatolickimi, działaczami społecznymi i członkami ukraińskiej inteligencji. Na przykład we wsi Hładki napadniętej 24 listopada 1930 r. jednego z obywateli skatowano kijami, a po każdym piątym uderzeniu kazano mu krzyżeć: „Niech żyje Polska! Niech żyje Piłsudski!”.

„Przyjechała do Nowej Wsi koło Podwoleńsk karna ekspedycja – wspominał świadek – w składzie około 130 policjantów z karabinami, bagnetami, rewolwerami oraz »najmodniejszą bronią« – pałkami. Po wizycie na miejscowym posterunku grupy policjantów poszły do karczmy, aby się trochę posilić i nabrać wigoru.

Około godziny ósmej wieczorem, będąc trochę pod gazem, zaczęli rewidować chatę za chatą, zamieszkaną przez Ukraińców. Rewizja, a raczej pogrom polegał na tym, aby zniszczyć wszystko. W Domu Ludowym, gdzie mieści się czytelnia »Proswity«, porąbali siekierami podłogę, scenę, krzesła, szafy z książkami, książki

podarli, pocięli kurtynę i dekoracje, pokiereszowali siekierami ściany, zniszczyli wszystkie portrety, w tym Tarasa Szewczenki.

Następnie przeprowadzono rewizję u miejscowej inteligencji. Bijąc pałkami i kolbami, policjanci wykrzykiwali: »Ty kabanie, bandyto, chcesz Ukrainy? Budujesz Ukrainę? Będziesz buntował chłopu ru-

skiego przeciwko Państwu polskiemu, będziesz palił sterty pańskie? Pokażemy ci, jak palić sterty! Chcesz Ukrainy, to marsz za Zbrucz! Skatujemy cię tak, że żyć nie będziesz i nie umrzesz«.

Symbolem „pacyfikacji Galicji” stały się słynne „tulipany”. Czyli młode ukraińskie dziewczęta, które Polacy wieszali do góry nogami. Ich kolorowe sukienki opadały w dół, co miało do złudzenia przypominać wspomniane kwiaty.

Z kolei w reakcji na zabójstwo ministra Pierackiego rząd Leona Kozłowskiego na mocy specjalnego rozporządzenia stworzył obóz odosobnienia w Berezie Kartuskiej. Trafiło do niego wielu czołowych działaczy OUN na czele z Romanem Szuchewiczem. Placówka ta cieszyła się ponurą sławą. Służący w niej strażnicy-sadyści pastwili się nad osadzonymi i szargali ich godność osobistą. Więźniów bito po twarzy i okładano pałkami. Kazano im wykonywać wyczerpujące ćwiczenia fizyczne. A opornych zamykano w karcerach.

W 1935 r. odbył się proces kierownictwa OUN. Na ławie oskarżonych zasiadło kilkunastu czołowych działaczy organizacji. Wszyscy zostali uznani za winnych. Przywódca OUN – Stepan Bandera – jako główny prowodyr zabójstwa polskiego ministra usłyszał wyrok śmierci, zamieniony na karę dożywotniego więzienia.

Lata 30. przypominały więc błędne koło ślepego terroru i równie ślepego kontrterroru. Kolejne ataki dokonywane przez OUN prowokowały polskie władze do brutalnych działań represyjnych. Działania te zaś wywoływały w ukraińskim społeczeństwie wzrost nienawiści do Polski i pchały kolejnych młodych Ukraińców do antypaństwowych wystąpień. I tak w kółko. Aż wreszcie nadeszła wrześnie-wa katastrofa...

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Scena z filmu „Lista Schindlera” Stevena Spielberga FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Tomasz Stańczyk

Zagłada / Słynni Żydzi uratowani przez Polaków

**/ Pomocy Żydom
towarzyszył lęk przed
groźną za to śmiercią.
Nie zawsze go
przezwyciężano.
Dlatego Żydzi musieli
często zmieniać ukrycie**

Gene Gutowski (1925–2016) – producent filmowy, współpracownik Romana Polańskiego, z którym zrealizował filmy „Matnia”, „Wstręt” i „Pianista”

Pochodził ze zasymilowanej rodziny żydowskiej wyznania chrześcijańskiego, służył do mszy. „Byłem małym polskim patriotą, gorliwym harcerzem” – napisał w autobiografii „Od Holocaustu do Hollywood”. Nazywał się wtedy Witold Bardach. We wrześniu 1939 r. rodzina Bardachów, zamieszkała w Rawie Ruskiej, usiłowała przedostać się do Rumunii. Niedaleko granicy ich auto zostało zarekwirowane przez jakiegoś dygnitarza. Gutowsky zawrócił i zatrzymali się we Lwowie, gdzie mieszkali dziad-

Z getta do „aryjskich” domów

kowie Witolda. Na początku niemieckiej okupacji kilkunastoletni Witold Bardach zdobywał tam metryki chrztu dla swojej rodziny „za odpowiednio wysoki datka na kościół”. Niestety, nikomu oprócz niego nie uratowały życia. Szkolny kolega Ukrainiec, spotkawszy go w tramwaju, zaczął krzyczeć, że jest Żydem i zabierze go na policję. Witoldowi udało się uciec. Bał się jednak kolejnego takiego spotkania. Postanowił wyjechać do Warszawy. „Ponieważ dworzec kolejowy był szcze-

gólnie obserwowany, bilet kupiła mi pewna życzliwa Polka, wieloletnia gospodyni w rodzinnym domu mojego ojca”.

W Warszawie, już pod nazwiskiem Gutowski, spotkał się z ciotką Stasią, Polką – była żoną stryja. Znalazła mu pokój u swojego przyjaciela. Stracił go jednak, gdy przez kilka dni przechowywał w szafie kuzyna, który uciekł z transportu do obozu na Majdanku. Właściciel mieszkania był oburzony, że Gutowski narażał tym jego życie. Gutowski próbo-

wał wyostać ze Lwowa młodszego brata Romana. Prosił o to ciotkę. „Nie zrobiła tego i dopiero później wyznała mi, że jako łączniczka generała Grota-Roweckiego otrzymała po jego aresztowaniu zakaz odbywania jakichkolwiek podróży i narażania się na niebezpieczeństwo. Aż do dnia śmierci wiedziała, że nigdy jej tego nie wybaczyłem”. Jego brat nie przeżył wojny. Popęłił wraz ze stryjem samobójstwo. Niemniej Gutowski po wojnie utrzymywał bliski kontakt z ciotką.

Dzięki dobrym dokumentom i świetnej znajomości języka Gutowski znalazł zatrudnienie w warsztatach Junkersa na Okęciu, remontujących samoloty. Dwukrotnie uniknął aresztowania, co groziło zdemaskowaniem go jako Żyda.

Został oskarżony w miejscu pracy o sfalszowanie podpisu pracownika i wzięcie jego wypłaty. Niemiec, szef straży przemysłowej, dał mu wybór: albo nie przyzna się i wówczas zajmie się nim gestapo, albo się przyzna i zostanie oddany w ręce granatowej policji, która zrobi w jego mieszkaniu rewizję. Gutowski wybrał drugą możliwość, mimo że w domu miał wykradzione z warsztatów lotnicze nadajniki radiowe, które przekazywał Armii Krajowej, oraz broń. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności dyżurnym policjantem był ojciec jego przyjaciółki Kasi. Początkowo jednak sytuacja była dramatyczna. Policjant wsiedlił się, że zamiast usiąść do wielkanocnego śniadania, musi przeszukać pokój Gutowskiego, i powiedział, że wezwie gestapo, żeby uwolnić się od tego obowiązku. Córka ubłagała go, by tego nie robił, i napisał raport, że niczego podejrzanego nie znalazł. Gutowski wspominał policjanta: „Okazało się, że nie był mimo wszystko złym człowiekiem. Poczęstował mnie wódką i kazał spływać. Wypiłem jego zdrowie oraz zdrowie jego córki, a potem pobiegłem do domu przez obsadzone kartoflami pola. Była to najmilsza Wielkanoc w moim życiu”.

Niemcy domyślili się jednak, że Gutowski wynosi nadajniki radiowe. Dziewczyna, która mieszkała w tym samym domu co on, ostrzegła go, że niemiecka policja wpadła do jego mieszkania. Musiał szukać schronienia. Pobiegł do mieszkania innej swojej przyjaciółki, Hani. Drzwi otworzyła mu jej matka. „Zdyszany z wysiłku głosem wyjaśniłem doktor R. całą sytuację i spytałem, czy mogę zatrzymać się u niej choć na



Roman Polański i Gene Gutowski

FOT. AP/EAST NEWS

krótki czas, dopóki nie minie zamieszanie. Okazała się szlachetną i dzielną kobietą. Narażając siebie i dzieci, oznajmiła, że mogę u niej zostać, dopóki będę potrzebował schronienia. Ocalili mi w ten sposób życie, zyskując moją wielką wdzięczność. Nasza przyjaźń trwała ponad pięćdziesiąt lat, aż do jej śmierci”.

(Na podstawie książki Gene Gutowskiego „Od Holocaustu do Hollywood”, Kraków 2004)

Roma Ligocka (ur. 1938 r.) – scenograf, kostiumolog, malarka i pisarka

Teofila Liebling z kilkuletnią Romą uciekły z krakowskiego getta. Granatowy policjant szantażysta odstąpił od przekazania ich w ręce gestapo za biżuterię. Teofila bezskutecznie pukała do drzwi różnych znanych jej Polaków. Odmówił pomocy lekarz, który operował jej brata. „Ja mam żonę i dzieci, rozumie pani” – powiedział. Wreszcie dotarli do mieszkania pani Kiernikowej, która niegdyś pracowała u rodziców Teofili. Nie chciała przyjąć pod swój dach Żydówek. „Nie ma mowy, żadnych obcych – mówi pani Kiernikowa. – Jakbyśmy jeszcze nie dość miały kłopotów”. Musiała jednak ustąpić pod presją swojej matki i córki – Manueli.

Roma Ligocka napisała o Manueli, że była „aniołem z blond włosami”. Manuela zajęła się serdecznie małą Romą,

nazwała ją Poziomką, bawiła się i czytała jej książki. Dla postronnych Teofila miała być kuzynką Manueli, która przyjechała z córką z Rzeszowa.

Mimo przyjaznej postawy babci i wnuczki pani Kiernikowa czterokrotnie kazała Teofilę i jej córeczkę opuścić mieszkanie, głównie w obawie przed częstymi niemieckimi kontrolami. Jedną z nich przeżyły, dosłownie i w przenośni, dzięki temu, że Roma odmówiła w obecności Niemców wyuczony pacierz.

Czterokrotnie też Teofila i Roma wracały do mieszkania Kiernikowej i były przyjmowane. Ostatni raz, gdy nie udał się ich wyjazd do Warszawy. Na krakowskim dworcu skrajnie osłabioną i chorą matką Romy zainteresowała się kobieta, która uznała, że trzeba wezwać lekarza. Mogło to grozić odkryciem żydowskiej tożsamości Teofili i Romy. Uciekły więc z dworca.

„Otwiera pani Kiernikowa.

– Poziomka! – mówi zaskoczona.

A potem widzi mamę. – Na litość boską! Teofila...! Bierze mamę pod rękę i wypycha nas do mieszkania”.

Kuzynka Teofili, która ukrywała się u narzeczonego Polaka, zaproponowała, że wynajmie on na swoje nazwisko mieszkanie i wszyscy zamieszkają razem. „A ty w końcu nie możesz nieustannie siedzieć tym Kiernikom na karku. Wiesza o tym dobrze” – powiedziała Teofila.

Roma Ligocka wspomniała, że gdy zapadła decyzja o opuszczeniu dotychczasowego schronienia, na twarzy pani Kiernikowej widać było widoczną ulgę, natomiast babcia trzymała ją długo w ramionach, a Manuela powiedziała, żeby Roma ją odwiedziła. „Wiedziałam, że ona rzeczywiście będzie za mną tęsknić”.

W postłowie do książki Roma Ligocka napisała: „Autorka, mając świadomość, iż nigdy nie była i nie będzie w stanie wyrazić w dostateczny sposób swej wdzięczności wobec całej rodziny Kierników, pragnie tą książką przyczynić się do tego, by przetrwała pamięć o ludziach, którzy gotowi byli narażać własne życie, by ocalić życie innym”. Swoją autobiografię napisała po obejrzeniu filmu „Lista Schindlera” Spielberga, gdy w postaci dziewczynki w czerwonym płaszczyku odnalazła siebie.

(Na podstawie książki Romy Ligockiej „Dziewczynka w czerwonym płaszczyku”, Kraków 2001)

Natan Gross (1919–2005) – reżyser, pisarz, współtwórca izraelskiego przemysłu filmowego

Był synem znanego krakowskiego właściciela sklepów z porcelaną, kryształami i lampami. Po zamknięciu i likwidacji krakowskiego getta ukrywał się wraz z matką i rodzeństwem w Krakowie, a później w Warszawie. W Krakowie w ciągu czterech miesięcy mieszkali w 14 miejscach. Musieli zmieniać je z powodu strachu swoich gospodarzy przed donosem, szantażami lub przed niemieckimi kontrolami. Natan Gross pisał we wspomnieniowej książce „Kim pan jest, panie Grymek?”, że „papierowi Aryjczycy” starali się, na wszelki wypadek, zmieniać mieszkania, w których się ukrywali, co trzy miesiące. Była to jednak najczęściej teoria, gdyż nie było takich możliwości.

O przetrwaniu Natana Grossa i jego rodziny zdecydowały zarówno przedwojenne znajomości z Polakami, jak i pomoc przypadkowo spotkanych ludzi. Natan Gross często podkreślał głęboką religijność osób niosących pomoc Żydom. Taką osobą była pani Kapiasowa, nauczycielka, która udzieliła schronienia Natanowi Grossowi i jego bratu Jerzykowi, choć sama ledwo wiązała koniec z końcem. Musieli jednak opuścić jej mieszkanie, gdyż sąsiad – policjant, „wyjątkowy drań” – dawał Kapiasowej



Roma Ligocka

FOT. ARTUR BARBAROWSKI/EAST NEWS

do zrozumienia, że wie o ukrywających się u niej Żydach.

Grossowie spieniężali wartościowe rzeczy u rodziny Sroków, by mieć na życie. Natan Gross wspominał, że kupując „okazyjnie”, wierzyli, że pomagają Żydom. „I rzeczywiście, ale nie mogli przemoc swojej natury i zapłacić np. więcej, wiedząc, że jesteśmy w potrzebie i żadnych dochodów nie mamy. [...] Targowali się o każdy grosz. Co nie znaczy, że po ubiciu interesu pani Srokowa nie wsuwała Matce jakiejś paczki z kiełbasą i owocami »dla dzieci«. Jako dobra Polka i katoliczka wierzyła, że dobre uczynki są gdzieś zapisywane i nie zostaną zapomniane w chwili Ostatecznego Rachunku”.

Dzięki sprzedaży obrazu Maurycego Gottlieba Grossowie mogli kupić polskie kenkarty. Jednak ci, którzy je załatwiali, podeszli do sprawy lekceważąco. Natan dostał kenkartę na osobę Franciszka Grymka, 10 lat starszego od niego, i by zniwelować różnicę, musiał zapuścić wąsy.

Po ucieczce z getta Natan i Jerzyk skierowali się właśnie do Sroków. „Srokowie nie zawiedli naszych nadziei”. Jednak ze schronienia w piwnicy musieli zrezygnować, gdyż sąsiedzi zaczęli zwracać uwagę na hałasy z niej dochodzące. „Pan Sroka wołał, żebyśmy sobie już poszli i nie narażali go więcej”. Matka znalazła miejsce u Stasi Gawron, która później przyjęła jej córkę („Miała złote serce i rozumiała sytuację: Nic się nie stało! Jest miejsce dla matki, będzie i dla córki”), a potem także synów. Ryzyko-

wała bardzo, gdyż jej sublokatorem był niemiecki żołnierz. Grossowie nie mogli więc tam długo przebywać.

Gdy Natan z bratem pojechali do Warszawy i nie mogli znaleźć rodziny, zaproponowały im mieszkanie trzy siostry-szmuglerki. „Mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że nie spotkałem zanieczyszczonych ludzi w Warszawie, a równie zanieczyszczonych niewielu” – wspominał je Gross. W Warszawie zetknęli się z szantażystami, którym musieli oddawać pieniądze. Jednych Gross nazwał „wielkodusznymi”, gdyż z 500 zabranych, po protestach, że zostaną bez grosza, oddali 200 zł, przestrzegając, by nie kręcili się za dużo po mieście, bo jak znowu się spotkają, to tak tanio nie będzie. Poradzili też, jak się zachowywać na ulicy, jak zmienić uczesanie, by nie rzucać się w oczy.

Herszta innych szantażystów – policyjnych agentów Natan Gross zmieczył, odwołując się do jego matki, pytając, czy byłaby zadowolona, gdyby się dowiedziała, że wyprawia ludzi na śmierć. Ostatecznie szantażysta zadowolony się zabraniami tygodniówki, dwoma płaszcami i marynarką. Okazało się, że braci zadenuncjowała sąsiadka na posterunku policji. Powiedziano jej tam: „A co panią to obchodzi? To także ludzie. Zresztą niech pani zgłosi to na Szucha”. Sąsiadka nie miała jednak ochoty na wizytę w budynku gestapo. Natomiast agentów nasał komisarz policji. Może, jak przypuszczał Gross, z obawy, by nie wyszło na jaw, że odmówił przyjęcia donosu, a może z chęci zysku.

W kolejnym schronieniu wsparciem dla Natana i Jerzyka byli dozorca Kozłowski i jego żona. „Zyskaliśmy oddanych przyjaciół w dozorcostwie Kozłowskich, zwłaszcza gdy dowiedzieli się o nas prawdy”. Jednak bywało i tak, że musieli zmieniać ukrycie, gdyż sąsiedzi, „dobrzy ludzie”, niedwuznacznie dawali do zrozumienia, iż powinni opuścić ich kamienicę. Czasami ostrzegali, że w domu są donosiciele. Gdy się wyprowadzali, Kozłowska powiedziała: „Jeśli kiedykolwiek będziecie bez mieszkania, w ciężkim położeniu, przyjdźcie do nas. Zawsze będzie tu na was czekało łóżko i miska”. Dzięki polskiej pomocy Grossowie: matka, dwóch synów i córka, przeżyli niemiecką okupację.

(Na podstawie książki Natana Grossa „Kim pan jest, panie Grymek”, Kraków 1991)

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Piotr Semka

Dzielny belgijski pilot złamał rozkaz i na własną rękę dokonał brawurowego nalotu na siedzibę gestapo. Dostał nagane. A zaraz potem wysokie odznaczenie bojowe

Avenue Louise w Brukseli to dziś prestiżowa ulica bogatych kamienic i biur. Jeden z wysokościowców z lat 30., zbudowany w eleganckim stylu art déco, był świadkiem akcji, która zachwyliła Belgów w czasie hitlerowskiej okupacji.

76 lat temu syn belgijskiego patrioty zamężonego w brukselskim gestapo postanowił na własną rękę zemścić się na hitlerowskich oprawcach. Jego czyn przeszedł do historii stolicy Belgii.

10 maja 1940 r. Wehrmacht runął na Belgię. Dla Hitlera był to kolejny po ataku na Polskę test skuteczności blitzkriegu – wojny opartej na szybkich działaniach kolumn pancernych przy przygniatającej przewadze w powietrzu.

Armia belgijska – słaba i uzbrojona w przestarzałe uzbrojenie – miała niewiele czołgów i samolotów. 22 belgijskie dywizje piechoty nie mogły się równać poziomem wyszkolenia i uzbrojenia z jednostkami niemieckimi.

Niemieckie oddziały spadochronowe z zaskoczenia zajęły belgijski Fort Eben-Emael, który miał blokować przed Wehrmachtem przeprawę na rzece Mozie i chronić Kanał Alberta. Niemieckiej przewadze technicznej pomagał też ślepy traf. Dowódca sił francuskich broniących Belgii, gen. Gustave Billotte, zginął w samym środku kampanii w wypadku samochodowym. Pech chciał, że śmierć Bilotte'a nastąpiła tuż po jego



Grafika przedstawiająca powietrzny atak na siedzibę gestapo w Brukseli. Obok: Distinguished Flying Cross FOT. ARCHIWUM

1943 r. / Jean de Selys Longchamps

Powietrzna szarża na gestapo



Jean de Selys Longchamps
i samolot Hawker Typhoon

FOT. WIKIPEDIA

■ spotkaniu z francuskim głównodowodzącym Maxime'em Weygandem i dowódca nie zdążył przekazać Belgom planów skoordynowania działań.

W szeregi belgijskie wkraść się chaos. Panikę wywołała szybkość poruszania się czołówek pancernych Wehrmachtu – zjawisko dobrze znane polskim dowódcom we Wrześniu '39. 16 maja Niemcy bez walki zdobyli Brukselę.

Całkowite zajęcie ziem belgijskich udało się Niemcom 28 maja, czyli 18 dni po ataku. Był to i tak lepszy wynik niż w przypadku Holendrów, którzy załamani bombardowaniem Rotterdamu poddali się po trzech dniach.

Okupacja „na miękko”

Znacznie bardziej gorzkie dla Belgów było jednak rozejście się dróg między rządem a władcą. O ile rząd belgijski zdołał sprawnie przedostać się do Wielkiej Brytanii, by kontynuować opór, o tyle król Belgów – Leopold II – jako głównodowodzący sił belgijskich podpisał kapitulację i został wzięty pod niemiecką kontrolę.

Był to jaskrawy kontrast z postawą ojca Leopolda – króla Alberta I, który przez cztery lata I wojny światowej walczył u boku Francuzów, stając się

symbolem belgijskiego honoru i woli poświęcenia.

Leopold III umieszczony przez Niemców w królewskim pałacu w Laaken zgodził się

na spotkanie z Hitlerem 19 listopada 1940 r. Co prawda młody władca nie dał się namówić do udziału w budowie „nowej Europy”, ale sam fakt zgody na spotkanie nie przyniósł monarsze zaszczytu. Nie mając wiedzy o stopniu uległości Leopolda, belgijski rząd na uchodźstwie uznał go za niezdolnego do sprawowania rządów.

Wielu ludzi w Europie, pamiętających skalę oporu Belgów w I wojnie światowej, było teraz zaskoczonych szybkim końcem walk i postawą belgijskiego monarchy. Dlaczego Leopold III nie zadbał odpowiednio wcześniej o wyjazd do Anglii? Tak było z norweskim królem Haakonem V i królową Holandii Wilhelminą, którzy potem z Londynu zagrzewali swoje narody do walki.

Niemcy wyciągnęli wnioski z poprzedniej okupacji Belgii. Wówczas niemieccy dowódcy polowi przy byle okazji rozstrzeliwali cywili, widząc wszędzie sabotażystów. Niemieckie więzienia zapełniły się wtedy więźniami karanymi surowo za najmniejszy objaw sprzeciwu wobec kajzerowskich porządków.

Teraz Niemcy unikali demonstracyjnego terroru. Starano się Belgów zjednywać „lekką” okupacją i nie faworyzować Flamandów kosztem Walonów.

Nie oznacza to, że brutalnych działań nie było. Prowadzono je bez rozgłosu, ale bezwzględnie. Gestapo wybrało na swoją siedzibę nowoczesny 10-piętrowy wysokościowiec przy wspomnianej już Avenue Louise 273.

O tym adresie szybko zaczęto w Brukseli mówić z poczuciem grozy. Ten szczególnie adres wymieniano w audycjach Radia BBC dla okupowanej Belgii jako symbol zbrodni niemieckiej okupacji.

Kawaleryjski pomysł

Adres brukselskiej centrali gestapo i wieści o tym, co tam wyprawiano z belgijskimi patriotami, szybko dotarły do uszu młodego lotnika belgijskiego walczącego w siłach RAF.

Ów pilot nosił długie nazwisko: baron Jean Michel P.M.G. de Selys Longchamps. Urodzony w 1912 r., wyrastał w legendzie bohaterskiej walki Belgów i ich króla w I wojnie światowej.

W czasie kampanii 1940 r. był kawalerzystą I Pułku Rozpoznawczego. W końcu maja znalazł się wraz z Anglikami w okrążeniu pod Dunkierką, ale nie udało mu się dostać na brytyjskie statki – Brytyjczycy ewakuowali przede wszystkim swoich żołnierzy. Zatrzymany przez władze Vichy i osadzony w obozie koło Montpellier, ucieka z petainowskiej niewoli i poprzez Marsylię oraz Gibraltar przedostaje się do Anglii. Tutaj zgłasza

się do lotnictwa i po przeszkoleniu trafia w wrześniu 1941 r. do 609. Dywizjonu RAF. Anglicy korzystali z dobrej znajomości przez Belgów rodzinnego kraju i wysyłali ich na bombardowania instalacji wojskowych, które Niemcy w nim założyli. Longchamps latał na samolotach Hawker Typhoon, które łączyły cechy myśliwca z lekkim bombowcem. Samolot był idealny do krótkich akcji nad Belgią, czyli z punktu widzenia Anglików – „za miedzą”. Loty odbywały się na niskiej wysokości, aby zmylić niemieckie radary na brzegach kanału La Manche.

W końcu 1942 r. belgijski pilot dowiaduje się, że jego ojciec baron Raymond Charles Michel Ghislain de Sélys-Longchamps, również oficer kawalerii, został aresztowany i był torturowany przez gestapo w jego brukselskiej siedzibie.

20 stycznia 1943 r. Belg dostaje rozkaz zbombardowania węzła kolejowego w Gandawie. Nikt z dowódców Longchamps nie wiedział, że młody arystokrata „przy okazji” planuje dla siebie dodatkowe zadanie.

W czasie powrotu z udanej akcji Longchamps odłączył się od drugiego pilota i poleciał do Brukseli. Odnalazł wysokościowiec, w którym mieściła się placówka gestapo, i zaczął ostrzeliwać budynek z powietrza.

Parokrotnie nadlatuje nad wieżowiec, zatacza kolejne kręgi w powietrzu i za każdym razem ostrzeliwuje z broni pokładowej kolejne piętra hitlerowskiej centrali terroru.

W sensie wojskowym akcja nie była oszałamiająco skuteczna. Jak po wojnie sprawdzono, atak spowodował śmierć tylko czterech Niemców, choć dwóch z nich było wysokiej rangi. Od kul Longchamps zginęli szef brukselskiej SD – SS-Sturmbannführer Alfred Thomas oraz zastępca szefa SS i policji na Belgię – Mueller. Dwunastu gestapowców zostało rannych. Longchamps przed odlotem wyrzucił z samolotu cały worek małych flag Belgii i Wielkiej Brytanii, które specjalnie dla niego wykonali uczniowie z belgijskiej szkoły w Londynie. Nieniepokojeni przez niemieckie myśliwce – cała akcja odbyła się błyskawicznie – odważny Belg udał się w podróż powrotną w kierunku Anglii.

Gdy wrócił na macierzyste lotnisko Manston, czekali na niego już jego wściekli brytyjscy dowódcy. I trudno było im się dziwić. Samowola w czasie



Pomnik Jeana de Sélys Longchamps w Brukseli FOT. WIKIPEDIA

akcji bojowej w każdym wojsku uznawana jest za skandaliczną niesubordynację. Longchamps został zdegradowany i w marcu 1943 r. przeniesiony do dywizjonu nr 3. Pilot bez skutku bronił się, wskazując, że zaproponował brytyjskim zwierzchnikom wykonanie podobnej akcji parę miesięcy wcześniej, ale nie doczekał się ani akceptacji, ani sprzeciwu Brytyjczyków. Belgijski rząd w Londynie szybko się zorientował, że powietrzna szarża Longchamps może przynieść Belgom podobny prestiż, jaki Czechom i Słowakom przyniosła udana misja zgładzenia Reinharda Heydricha w Pradze.

Powoli przekonano Brytyjczyków, że wyczyn młodego Belga warto nagłośnić.

W samej Brukseli atak na gestapo był tematem rozmów od dawna. Audycje BBC o Longchampsie szybko je wzmocniły. Wielu mieszkańców belgijskiej stolicy zaczęło nagle wybierać na miejsce spacerów Avenue Louise, oglądając z daleka ślady zniszczeń.

W ramach częściowej rehabilitacji Brytyjczycy przyznali niesforemu pilotowi 31 maja 1943 r. wysokie odznaczenie: Distinguished Flying Cross. Krzyż przyznawany jest za „czyn lub czynny męstwa, odwagi lub poświęcenia w obliczu wroga w czasie aktywnych działań w powietrzu”.

Longchamps stał się słynny. Obok belgijskich asów myśliwskich RAF – Jeana Offenberga, Counta Ivana du Monceau de Bergendala czy Maurice’a Balasse’a – Longchamps został symbolem woli

walki Belgów. Brytyjczycy też chętnie nagłaśniali wyczyny swoich belgijskich sojuszników zaniepokojeni lansowaniem przez hitlerowców innego Belga – kolaboranta Léona Degrelle’a – jako wzoru odwagi w krucjacie Europy przeciw bolszewizmowi.

Gestapo, obawiając się kolejnych ataków, przeniosło swoją siedzibę paręset metrów dalej, wybierając kamienicę zasłoniętą od strony ulicy gęstymi drzewami. Te środki ostrożności były pośrednim hołdem złożonym skuteczności młodego straceńca.

Longchamps nie dożył wyzwolenia swojej ojczyzny. 16 sierpnia 1943 r., czyli siedem miesięcy po swoim brukselskim wyczynie, jego samolot wracający z bombardowania Ostendy rozbił się w czasie lądowania na lotnisku RAF w Manston.

Przez pierwsze parę dekad po wojnie jego czyn był słynny i powszechnie znany. Belgia, która nie miała zbyt wiele głośnych akcji przeciw Niemcom, dbała o pamięć o odważnym lotniku.

W 50. rocznicę ataku na placu przed dawnym gmachem gestapo Aeroklub Belgii ufundował pomnik Longchamps. Samym gmachem gestapo jako miejscem o wadze historycznej zainteresowano się znacznie później. Dopiero w 2014 r. władze Brukseli ogłosiły, że piwnice – dawne miejsca tortur gestapo – winny być objęte pełną ochroną konserwatorską w celu ocalenia napisów, które wyryli w tynku belgijscy bohaterowie ruchu oporu.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

1952–2000 / Krwawe wyczyny Željka Ražnatovicia „Arkana”

Kibol serbskim watażką

Željko Ražnatović „Arkan”

FOT. MILOJUB JELESJEVIC/AP/EAST NEWS



Arkadiusz Karbowski

Zaczynał jako przywódca chuliganów jednego z belgradzkich klubów piłkarskich. Potem założył bojówkę, która dokonała wielu zbrodni wojennych

Historia zna wiele przypadków, kiedy osoby z przestępczego kryminalnego półświatka podczas wojen wyrastały na narodowych bohaterów. Tak też stało się z Željkiem Ražnatovićem „Arkanem”, serbskim kryminalistą, liderem kibiców Crvene Zvezdy (Czerwonej Gwiazdy), najbardziej utytułowanego jugosłowiańskiego klubu piłkarskiego. Ražnatović urodził się 17 kwietnia 1952 r. w położonej w Słowenii małej miejscowości Brežice. Przed rozejściem się rodziców rodzina Ražnatovićów często zmieniała miejsca zamieszkania, co było wynikiem kolejnych wojskowych przydziałów ojca, będącego pułkownikiem jugosłowiańskiego lotnictwa i byłym komunistycznym partyzantem. Jak przystało na zawodowego wojskowego, wychowywał on swego syna twardą ręką, często stosując wobec niego kary cielesne. Nie na wiele te metody wychowawcze się zdały, bo Željko już jako 13-latek wszedł w kolizję z prawem, dokonując rozboju na kobiecie. Za ten czyn trafił do zakładu karnego dla małoletnich. Kiedy wyszedł, pomimo sugestii ojca oczekującego na wstąpienie syna do marynarki wojennej, Željko wyjechał do Francji.

Tam dokonał kilku włamań i kradzieży, za co został aresztowany i deportowany do Jugosławii. Skazano go na trzy lata pozbawienia wolności. Karę odbywał w ciężkim więzieniu w Valjevie. Tam wykazał się po raz pierwszy talentami przywódczymi, tworząc więzienny gang. W 1972 r. wyjechał do Europy Zachodniej. Będąc na emigracji, poznał kilku pochodzących z Jugosławii przestępców kryminalnych, posiadających kontakty z jugosłowiańską komunistyczną służbą bezpieczeństwa UDBA (Uprava Državne

Bezbednosti). Nie wiadomo, czy sam Ražnatović ich nie miał, choć pytany o tę kwestię wielokrotnie zdecydowanie temu zaprzeczał. Spędzone przez niego na Zachodzie lata mogłyby z pewnością stanowić kanwę scenariusza jakiegoś kryminalnego filmu. Swoją przestępczą działalność Ražnatović zainaugurował w Belgii, dokonując napadu na bank. Ujęty przez policję, trafił z wyrokiem 10 lat pozbawienia wolności do więzienia Vlierviers, skąd po sześciu latach pobytu udało mu się zbiec.

Wolnością nie cieszył się zbyt długo, bo po kilku miesiącach aresztowała go policja holenderska. Miał już wtedy na koncie kolejne dwa rabunki w Szwecji i trzy w Holandii. Za te czyny sąd holenderski wymierzył mu karę siedmiu lat pozbawienia wolności. Również tego wyroku nie odbył w całości, uciekając z więzienia. Swoją przestępczą procedurę kontynuował w Szwecji, gdzie dokonał 20 włamań i siedmiu napadów na banki. Potem przeniósł się do Niemiec. W strzelaninie, w którą się tam wdał z policjantami podczas napadu na sklep jubilerski, odniósł niegroźną ranę. Umieszczono go w szpitalu, skąd uciekł. Szczęście mu nie dopisało podczas pobytu w Szwajcarii. W tym kraju został zatrzymany przez policję podczas rutynowej kontroli drogowej. Z więzienia w Torbergu, dokąd trafił, uciekł 27 kwietnia 1983 r. Ponieważ był już wtedy poszukiwany przez Interpol jako jeden z najgroźniejszych przestępców, postanowił wrócić do kraju. Oceniając swoiste „europejskie tournée” Ražnatovicia, jeden z jugosłowiańskich kryminalistów Goran Vuković powiedział: „Z nas wszystkich on okradł najwięcej banków”.

Na boisku i poza nim

Powrót do Jugosławii nie skłonił Ražnatovicia do zarzucenia uprawiania przestępczego procederu. Jego łupem padł jeden z zagrzebskich banków. Na

ladzie jednej z kas zostawił dwie różne będące charakterystycznym znakiem dokonywanych przez niego napadów. Na trop przestępcy dość szybko wpadła milicja. W strzelaninie „Arkan” ranił dwóch cywilnych funkcjonariuszy, chcących go aresztować. Gdyby był zwykłym obywatelem komunistycznego państwa, zapewne otrzymałby za ten czyn stosowny wyrok. Jednak musiał mieć wówczas bardzo wpływowych mocodawców, skoro zaledwie po 48 godzinach znalazł się na wolności. Czując, że posiada żyłkę do biznesu, „Arkan” wraz z Žiką Živaciem i „Tapim” Maleševićem został właścicielem znanej dyskoteki Amadeos w Belgradzie. Sukcesy w branży rozrywkowej pozwoliły mu żyć na coraz wyższym poziomie. Widziano go często jeżdżącego po jugosłowiańskiej stolicy luksusowym różowym cadillakiem. Dążenia do posiadania nieograniczonej ilości gotówki zbiegły się z pasją piłkarską.

Wyrazem owego zainteresowania

było utworzenie klubu kibica Crvene Zvezdy, który nazwał Delilje (Junacy). Junacy szybko podporządkowali sobie inne fankluby Czerwonej Gwiazdy. Ich członkowie musieli zaakceptować zasady narzucone przez „Arkana”. Zasadniczo sprowadzały się one do prowadzenia zdrowego trybu życia oraz uprawiania sportu, szczególnie sztuk walki. Wprowadzone

zmiany bardzo przypadły do gustu działaczom sportowym, którzy mianowali „Arkana” szefem ochrony klubu. Trzeba przyznać, że dzięki niemu zmianie uległa także oprawa meczów, nabierając coraz bardziej profesjonalnego charakteru.

Jednak poza zainteresowaniami sportowymi sam „Arkan” i kibice Czerwonej Gwiazdy zaczęli coraz bardziej skupiać swą uwagę na polityce, czego wyrazem było jawne odwoływanie się do tradycji serbskiego nacjonalizmu. Idee nacjonalistyczne przez lata tłumione i spychane w niebyt przez oficjalną federalistyczną propagandę państwa jugosłowiańskiego na przełomie lat 1980 i 1990 zyskiwały coraz większą popularność. Wzrastające napięcia między Serbami a Chorwatami i towarzyszące im emocje znajdowały





Jeden z „Tygrysów Arkana” kopie ciała zastrzelonych

FOT. ARCHIWUM

■ ujsie na ulicach i stadionach. Do serbsko-chorwackich starć doszło 13 maja 1990 r. przed meczem Crvene Zvezdy z Dynamem Zagrzeb i podczas niego. Był to sygnał wskazujący na postępującą radykalizację nastrojów, dokonującą się w obrębie każdej z grup narodowych.

Dominacja takich tendencji w konsekwencji musiała doprowadzić do uruchomienia procesu dezintegracji struktur państwa. Dla polityków problemem nie do rozwiązania stała się kwestia bezkonfliktowego przeprowadzenia owego procesu. Na terenie dążącej do ogłoszenia niepodległości chorwackiej republiki zamieszkiwała stosunkowo liczna mniejszość serbska. Członkowie tej społeczności nie wyrażali woli zamieszkiwania w tworzącym się państwie chorwackim, jako obywatele pozbawieni pełni praw, co – jak twierdzili – zostało usankcjonowane w proponowanych zapisach konstytucyjnych. Ich negatywny stosunek do powstającego państwa chorwackiego wiązał się także z pamięcią o prześladowaniach, którym poddawano Serbów w latach 1941–1945 w niepodległym państwie chorwackim.

Dlatego gdy 25 czerwca 1991 r. Chorwacja ogłosiła niepodległość, podobną deklarację ogłosili Serbowie z – będącej częścią Chorwacji – Serbskiej Republiki Krajiny (w jej skład wchodziła także Slawonia). Stało się jasne, że Chorwacja nie będzie mogła zaaprobować faktu secesji jednej czwartej swojego terytorium, a zdominowane przez Serbów władze w Belgradzie nie pozostawią samym sobie kraińskich rodaków. Jedynym wyjściem było sięgnięcie po rozwiązanie siłowe. Tereny ogarnięte konfliktem szybko znalazły się w serbskich rękach, co wynikało ze

słabości militarnej Chorwatów. Obszarów spornych ze strony chorwackiej broniły pozbawione ciężkiej broni formacje policyjne oraz paramilitarne. Serbowie, utrzymując pełną kontrolę nad JNA (Jugoslovenska Narodna Armija), dysponując czołgami, samolotami, helikopterami i artylerią, mieli nad swymi przeciwnikami przygniatającą przewagę.

Jednak z biegiem czasu JNA zaczęły dotyczyć procesy charakterystyczne dla armii złożonych głównie z żołnierzy poborowych. Odmowa służby, brak chęci i woli walki były bólami trapiącymi federalną armię. Serbscy decydenci szybko skonstatowali, że do ofensywnych działań planowanych przez sztabowców potrzebne są raczej formacje ochotnicze, w których stopień zmotywowania żołnierzy będzie znacznie większy niż żołnierzy poborowych. Stąd do walki zaczęto kierować oddziały paramilitarne.

Tygrysy „Arkana”

W Serbii do tych najbardziej znanych należały odwołujące się do tradycji czetnickiej (serbska partyzantka monarchistyczna z czasów II wojny) Beli Orlovi – Białe Orły (nazwa pochodziła od używanej symboliki) oraz Serbska Gwardia Ochotnicza. Tę ostatnią jednostkę powołali do życia 10 października 1990 r. kibice klubu Crvena Zvezda. Na czele SGO stanął Željko Ražnatović „Arkan”. Nieoficjalnie Serbską Gwardię Ochotniczą nazywano „Tygrysami „Arkana””. Liczba wolontariuszy SGO wahała się od 300 do 500 żołnierzy. Natomiast podczas całej wojny przewinęło się przez tę formację ok. 10 tys. osób, z których blisko 50

poległo. Początkowo poważnym problemem arkanowców był brak wyszkolenia wojskowego.

Sprawę udało się rozwiązać dzięki zaciągnięciu się do SGO Milorada Ulemka, weterana francuskiej Legii Cudzoziemskiej, w której szeregach służył, walcząc w Czadzie, Bejrucie, Gujanie Francuskiej i Iraku. Nabyte w Legion Etrangere doświadczenie przekazał, szkoląc z dobrymi efektami serbskich ochotników. Postać Milorada Lukovicia (Ulemek zmienił swoje nazwisko na Luković) stała się znana szerszej opinii publicznej w 2003 r., kiedy to został on oskarżony i skazany na 40 lat więzienia za współudział w zabójstwie premiera Serbii Zorana Djindžicia. W czasie gdy „Legija” (pseudonim Lukovicia) szkolił arkanowców, ich dowódca w październiku 1990 r. przybył do miasta Knin. Podczas pobytu, 29 listopada 1990 r., został on aresztowany przez policję chorwacką i osadzony w więzieniu. Za nielegalne przekroczenie granicy otrzymał wyrok 20 miesięcy pozbawienia wolności. Zwolniono go w czerwcu 1991 r., podobno dzięki sumie miliona marek zachodniemieckich, wypłaconych przez rząd federalny władzom w Zagrzebiu.

Wkrótce wybuchła serbsko-chorwacka wojna i arkanowcy rozpoczęli w niej swój udział od uczestnictwa w walkach o miasto Vukovar. Miasto bronione przez szczupłe siły 2 tys. obrońców (według innych źródeł 4,5 tys.) z chorwackiej Gwardii Narodowej atakowały 36-tysięczne połączone oddziały wojsk federalnych i serbskich formacji paramilitarnych. 18 października bojówkarze SGO zdobyli strategiczne, górujące nad miastem silosy zbożowe. Umieścili na nich karabiny maszynowe oraz działka przeciwlotnicze i ostrzeliwali przemieszczających się po ulicach, a widocznych jak na dłoni obrońców miasta. Miesiąc później po zaciętych i krwawych walkach, podczas których sam „Arkan” został lekko ranny, chorwacki Stalingrad – jak pisano o Vukovarze – padł. Zdobywcy ewakuowali z miasta wszystkich cywili.

Na farmę Ovčara wywieziono także 261 (czasami podawana jest liczba 264) pacjentów ulokowanych w miejscowym szpitalu. Jednostki żandarmerii JNA pozostawiły ich tam, w rękach żołnierzy z jednostki o nazwie Leva Supoderica, będącej formacją paramilitarną Serbskiej Partii Radykalnej kierowanej przez Vojislava Šešelja. Jej członkowie na rozkaz

dowódcy Miroljuba Vujovicia, skazanego później za ten mord w Serbii na karę 20 lat więzienia, dokonali egzekucji Chorwatów (wśród zamordowanych było kilku Serbów, Węgrów i Francuz). Była to pierwsza tak duża masakra dokonana w Europie od czasów II wojny światowej.

W 1992 r. konflikt bałkański objął swym zasięgiem również Bośnię i Hercegowinę. W szeregach serbskich sił walczących z muzułmanami i Chorwatami znalazły się także „Tygrysy »Arkan«”. Bojówkarze z Serbskiej Gwardii Ochotniczej uczestniczyli w bojach pod Bijeliną, Brćkiem i Zvornikiem. W 1995 r. pojawili się w okolicach Sanskiego Mostu, Banja Luki i Prijedoru, dopuszczając się tam zbrodni wojennych. 20 września 1995 r., we wsi Trnova, rozstrzelali 12 muzułmanów. Dzień później podobna dokonana przez nich egzekucja, tylko na większą skalę, pochłonęła życie 65 osób (w tym dwóch kobiet). W czasie pobytu w Sanskim Moście siedzibą dowództwa SGO był hotel Sanus. Stamtąd wychodziły patrole przetrząsające miejskie zaułki w poszukiwaniu bośniackich cywili. Zatrzymywanych doprowadzano do hotelu i poddawano ich przesłuchaniom, które prowadził „Arkan” lub wyznaczeni przez niego żołnierze. Przesłuchania połączone były często z biciem.

Kulą w oko

W październiku 1995 r. Serbowie wycofali się z Sanskiego Mostu, a samo miasto zostało zajęte przez Armię Bośni i Hercegowiny. Podpisane 14 grudnia 1995 r. w Paryżu porozumienie zakończyło wojnę w Bośni. Cztery miesiące później, w kwietniu 1996 r., oddziały Serbskiej Gwardii Ochotniczej rozwiązano. Željko opromieniony sławą bohatera wojennego zajął się biznesem. Zaczął handlować bronią i paliwami. Zainteresowanie piłką nożną skłoniło go do kupna klubu piłkarskiego FK Obilić, który w sezonie 1997/1998 zdobył mistrzostwo serbskiej superligi. Według niektórych owe sukcesy „Arkan” osiągnął nie tyle dzięki dobrej grze swych piłkarzy, ile dzięki zastraszaniu zawodników drużyn przeciwnych.

W działalność klubową zaangażowana była także żona „Arkana” – Ceca Ražnatović, niezwykle urody piosenkarka turbofolkowa. Ceca od najmłodszych lat śpiewała na lokalnych weselach oraz gościnnie występowała na koncertach zespołów folkowych. Zauważona przez akordeonistę Mirka Kodica, dzięki niemu nagrała swoją pierwszą płytę pt. „Cvetak Zanovertak”. Singiel z tej płyty rozszedł się w nakładzie 60 tys. egzemplarzy. Stanowiło to przełom w jej karierze. W 1993 r. Ceca poznała Željka Ražnatovicia. Dwa lata później, 17 stycznia 1995 r.,

objęła ona prezesurę piłkarskiego klubu FK Obilić, kiedy UEFA ze względu na jego przeszłość chciała zablokować udział klubu w europejskich rozgrywkach piłkarskich. Na wysokim poziomie utrzymywała się popularność Ceca jako piosenkarki. Potwierdzała ją obecność na koncertach tysięcy fanów. Na jednym z nich, zorganizowanym w Niszu, zgromadziło się ich aż 80 tys. Z kolei w innym wydarzeniu muzycznym z jej udziałem pojawiło się 150 tys. ludzi.

W miarę upływu czasu, który mijał od zakończenia wojen na Bałkanach, coraz bardziej palącą sprawą stawał się problem popełnionych w trakcie ich trwania zbrodni wojennych. Do osądzenia sprawców został powołany Międzynarodowy Trybunał Karny dla byłej Jugosławii. Jedną z osób, przeciwko którym został sporządzony akt oskarżenia, był Željko Ražnatović. „Arkan” publicznie krytykował działalność trybunału, wskazując, że nie ma on jurysdykcji do sądzenia obywateli Jugosławii. Pojawiały się jednak nieoficjalne informacje, że były dowódca SGO był gotów współpracować z trybunałem. Nie jest wykluczone, że jeśli jego zabójstwo miało charakter polityczny, to te informacje być może skłoniły polityków czy dowódców, obawiających się konsekwencji owej współpracy, do podjęcia decyzji o jego likwidacji.

Ostatecznie Željko Ražnatović nie stanął przed sądem, bo 15 stycznia 2000 r. padł ofiarą zamachu. Tego dnia „Arkan” przebywał w hallu w hotelu Intercontinental w Belgradzie z kilkoma przyjaciółmi. Akurat gdy wypełniał kupon zakładów sportowych, o godz. 17.05, podszedł do niego 23-letni Dobrosław Garvić, policjant przebywający tego dnia na urlopie (według innej wersji na zwolnieniu lekarskim), i oddał do niego serię strzałów. Jedna z kul trafiła Ražnatovicia w oko. Pomimo podjętej niemal natychmiast akcji ratunkowej „Arkan” zmarł. Jego pogrzeb zgromadził 10 tys. ludzi, którzy przyszli oddać mu hołd. Željko Ražnatović dla pewnej części serbskiego społeczeństwa, pomimo swoich zbrodni oraz przestępstw, pozostał wcieleniem narodowego bohatera.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Piosenkarka Ceca Ražnatović, żona „Arkana”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

wyszła za niego za mąż. Uroczystość weselną transmitowaną przez jedną ze stacji telewizyjnych zorganizowano z niezwyklej rozmachem. Pan młody po swojej ślubną wybrankę pojechał w asyście wozów pancernych do odległej 300 km od Belgradu miejscowości Žitotradi. Potem cały orszak weselny wrócił do Belgradu. Dużym wzięciem cieszył podany podczas uroczystości gościom tort ważący 70 kg.

Ceca nie była pierwszą żoną „Arkana”. Z poprzednich związków formalnych i nieformalnych miał siedmioro dzieci. W nowym związku urodziło mu się kolejnych dwoje. Żona „Arkana” nie była tylko piosenkarką, lecz także bliskim powiernikiem w prowadzonych przez niego interesach. Na prośbę „Arkana”



Mikołaj Iwanow

/ Polacy w 1921 r. dobrowolnie wyrzekli się Mińska. W kolejnych latach bolszewicy dokonali tam rzezi

Pochód 3 Maja wypada bardzo pięknie. Olbrzymi wąż ze sztandarami rusza z placu przed kościołem na Złotej Górze w górę po ulicy Zacharzewskiej. »Niech żyje wojsko polskie« – wołają z balkonów panie, ocierając łzy. Oprócz wojska suną szkoły polskie: uczniowie z gimnazjum profesora Mariana Massoniusa i uczennice z gimnazjów im. Emilii Plater i pani Witwińskiej. Suną rozmaite organizacje, jak na przykład Towarzystwo Ochrony Zabytków, zwane krótko »Zabytkami«. Sunie świeżo utworzony oddział skautów, których jeszcze nie nazywano harcerzami... Życie polskie płynie w Mińsku wartko. Szkoły, towarzystwa, teatr, dwie gazety. Rada Polska Ziemi Mińskiej – nieoficjalny parlament i nieoficjalna »egzekutywa« polskości w Mińszczyźnie – urządzuje, kieruje, udziela wskazówek, zasiada...».

Tak wyglądało życie w dzisiejszej stolicy niepodległej Białorusi w 1917 r., w tym krótkim, zaledwie ośmiomiesięcznym okresie rzeczywistej demokracji w Rosji między dwiema rewolucjami: lutowej i październikowej (bolszewickiej). Opisał to jeden z najwybitniejszych polskich pisarzy emigracyjnych, rodowity mińszczanin Michał Pawlikowski. Według niego polskość Mińska prawie niczym nie różniła się od polskości Wilna. Polacy stanowili w tym miejscu elitę intelektualną, duchową i nawet polityczną. W Mińsku w okresie zaborów zawsze burmistrzem miasta był Polak. Białorusini, tak jak Litwini w Wilnie, stanowili jedynie kilka procent ludności. Większością byli Żydzi, natomiast Polacy dominowali duchowo i politycznie.

Kiedy w czerwcu 1919 r. miasto odbiły z rąk bolszewickich wojska polskie, wydawało się, że Polska powróciła tu na zawsze. Tym bardziej że sami bolszewicy



1920 r. /

Wrzód

na rozmowach pokojowych w Mikaszewiczach w 1919 r. proponowali dopiero co odrodzonej Polsce włączenie całej Mińszczyzny w skład państwa polskiego. Granica wzdłuż rzeki Berezyny miała przebiegać 80 km na wschód od Mińska.

Wkraczające wojsko polskie mińszczanie witali wręcz entuzjastycznie. Józef Piłsudski wydaje odezwę „Do mieszkańców byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego”, w której czytamy: „Chcę Wam dać możliwość rozwiązania spraw wewnętrznych, narodowościowych i wyznaniowych tak, jak sami sobie życzyć będziecie, bez jakiegokolwiek gwałtu lub nacisku ze strony Polski”. Euforia z po-

wodu wyparcia bolszewików i końca ich krwawych eksperymentów zapanowała wśród wszystkich prawie mieszkańców Litwy historycznej.

Euforia trwała jednak niedługo. Pochód Piłsudskiego na Kijów w 1920 r. wspólnie z wojskami petlurowskimi Ukraińskiej Republiki Ludowej zakończył się porażką. W jej konsekwencji załamał się front i na Białorusi. Latem 1920 r. bolszewicy powrócili. Klęska armii Tuchaczewskiego pod Warszawą w sierpniu 1920 r. doprowadziła do ponownego odwrócenia ról. W pościgu za Armią Czerwoną 12 października polski żołnierz ponownie triumfalnie wkroczył



Polska delegacja na rozmowy pokojowe z bolszewicką Rosją FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Polska kapitulacja przed bolszewikami

miński

do Mińska, niosąc zbawienie ludności od terroru komunistycznego.

Przegrane zwycięstwo

Wydawało się, że Mińszczyzna, ojczyzna Stanisława Moniuszki i wielu innych wybitnych Polaków, w której odsetek ludności katolickiej (przeważnie Polaków) znacznie przewyższał odsetek Polaków, np. na Polesiu lub Wołyniu, będzie polska. Nawet według danych sowieckich – już po zawarciu pokoju

ryskiego i wyjeździe znacznej części miejscowej szlachty – odsetek Polaków w tzw. Białoruskiej Sowieckiej Republice Socjalistycznej przewyższał 10 proc. W Mińsku Polaków było jeszcze więcej. Nie przypadkiem bolszewicy zdecydowali się na początku lat 20. proklamować język polski jako jeden z państwowych w tej sowieckiej republice.

Wszystko wskazywało na to, że również rząd Lenina, zagrożony nowym natarciem białych armii gen. Piotra Wrangla na południu, nie sprzeciwi się włączeniu Mińszczyzny do odrodzonego państwa polskiego. „Trzeba się mniej targować – pisał z Moskwy do swych

ryskich negocjatorów ludowy komisarz spraw zagranicznych RSFSR Gieorgij Cziczerin – nasze zadanie polega na tym, by zmusić Polaków do zawarcia pokoju, nawet za cenę znacznych ustępstw z naszej strony”.

Sprzeciw natomiast przyszedł z zupełnie nieoczekiwanej strony. „Wyciąłem wrzód miński” – ta słynna wypowiedź głównego polskiego negocjatora w Rydze Stanisława Grabskiego po podpisaniu umowy pokojowej odzwierciedla jedynie zewnętrzną stronę tragedii tysięcy naszych rodaków pozostawianych w wyniku ryskich pertraktacji na łaskę bolszewików.

Zwycięstwo odniesione na polu bitwy zostało zmarnowane. Polscy delegaci, wśród których przeważali narodowi demokraci Romana Dmowskiego, nawet nie próbowali dociskać bolszewików, mimo że reprezentowali stronę zwycięską. W rozmowach prywatnych członkowie delegacji bolszewickiej przyznawali, że wskazówki Lenina pozwalały oddać Polsce granicę nawet do Dniepru. Moskwa zamierzała zapłacić Polsce za swoją klęskę i za umożliwienie skoncentrowania wszystkich sił Armii Czerwonej przeciwko wojskom białych na terytorium I Rzeczypospolitej między Dźwiną a górnym Dnieprem.

Historia rezygnacji Polski ze swych „dalszych kresów” stała się dramatyczna w połowie października 1920 r. Kiedy walki na froncie wojny polsko-bolszewickiej jeszcze trwały, a żołnierze polscy ponownie znajdowali się w Mińsku, u naczelnika państwa polskiego marszałka Józefa Piłsudskiego zjawiała się delegacja Rady Polskiej Ziemi Mińskiej. O czym rozmawiano? O tym, jak ratować polski Mińsk.

W skład delegacji Rady Polskiej Ziemi Mińskiej wchodził: Jerzy Osmołowski, Czesław Krupski i inni. Zwrócili się oni do naczelnika państwa z prośbą, aby wyraził zgodę na swoistą powtórkę wileńskiej „rebelii Żeligowskiego” na Mińszczyźnie. Wbrew ustaleniom zawartym w preliminarzach pokojowych plany „buntowników” przewidywały zajęcie Mińszczyzny przez oddziały gen. Lucjana Żeligowskiego i proklamowanie Rzeczypospolitej Mińskiej. Wobec możliwości kontrofensywy Armii Czerwonej swoistą gwarancją jej trwałości miały stać się ogłoszenie Józefa Piłsudskiego prezydentem tego niewielkiego państwa

Województwa: mińskie, mścisławskie, połockie i witebskie na mapie z XVIII w.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA



■ na okres 10 lat i zawarcie sojuszniczej konwencji wojskowej z Polską. Plany te nie doczekały się realizacji z powodu – jak sądzimy – zgłoszenia osobistego weta przez Józefa Piłsudskiego.

Udawania rewolty własnych żołnierzy i skierowania ich przeciwko słabym Litwinom nie można porównać z podobnym zagranem wobec bolszewików. Walcząca na wielu frontach w tym momencie Armia Czerwona liczyła ok. 4 mln żołnierzy. Nawiasem mówiąc, o szansach realizacji planu tworzenia Rzeczypospolitej Mińskiej (lub Litwy Południowej) pośrednio może świadczyć to, że w tym samym okresie niepowodzeniem zakończyła się próba białoruskich oddziałów gen. Stanisława Bułaka-Bałachowicza utworzenia na zajętej przez nich części południowo-wschodniej Białorusi niepodległej „białoruskiej republiki chłopskiej”. Armia Czerwona wyparła bałachowców z powrotem do Polski, gdzie zostali internowani, mimo że od ponad roku dzielnie walczyli razem z wojskiem polskim

w obronie jej niepodległości odrodzonej Rzeczypospolitej.

Tragedia Polaków

Stosunek państwa polskiego do Polaków na dalszych kresach w pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości kształtował się pod wpływem kłęski koncepcji federalistycznej Józefa Piłsudskiego. Rachuby naczelnika państwa polskiego i jego zwolenników na odbudowę państwowości polskiej w granicach historycznych sprzed roku 1772 na zasadach federacji Litwy, Łotwy, Ukrainy i Białorusi zawiodły. Oznaczało to zepchnięcie na margines roli polskości na dalszych kresach w polskiej polityce wschodniej.

Koncepcja federalistyczna przewidywała wysunięcie mniejszości polskiej na jedno z głównych miejsc w wieloetnicznym społeczeństwie kresowym. Patriotycznym obowiązkiem tej mniejszości miało być jednoczenie owego społeczeń-

stwa kresowego w jego lojalności wobec odradzającego się państwa polskiego. Polakom kresowiakom miało przypadać niełatwe zadanie wskrzeszania demokratycznych tradycji I Rzeczypospolitej, postaw tolerancyjnych i otwartych wśród ludności kresowej. Niedawna wielkomocarstwowa i nacjonalistyczna polityka caratu, gnębiąca interesy wszystkich mniejszości (co prawda z różnym nasileniem), teoretycznie na zasadzie kontrastu powinna była stać się bardzo sprzyjającą podstawą do realizacji takiej koncepcji.

Polacy, mieszkańcy dalszych kresów, odebrali pokój ryski jako prawdziwą tragedię narodową. Wielu z nich musiało pozostawić bolszewikom dorobek całego życia i ratując własne życie, przeprowadzić się do Polski. Michał Pawlikowski z rodziną znaleźli się w Wilnie. Jak pisze w swych wspomnieniach, rana spowodowana umową ryską nie mogła u niego zagoić się przez cały okres międzywojenny. Czytamy w jego „Wojnie i sezonie”:

„Zgrzeszyliśmy – wszyscy razem i każdy z osobna – krótkowzrocznością, małodusznością, tchórzliwym milczeniem, brakiem wyobraźni politycznej. Nasi statysci ówczesni w Warszawie i Rydze zgrzeszyli od nas więcej, że postawienie w niemłą rolę kozłów ofiarnych stworzyli całą doktrynę ratowania czoł żańbionych w Rydze.

Apologetycy ryscy chętnie się racją stanu i »wstrzemięźliwością«. Oddanie bez walki wielkiego terytorium z kilku milionami mieszkańców poczytane zostało za wielką mądrość polityczną. A wszak każde cofnięcie się jest porażką! To tylko w prozie artystycznej istnieje figura poetycka o lwie, który się cofa dla nabrania przestrzeni do skoku. Przede wszystkim w życiu żaden lew się nie cofa: po prostu skacze i dierży zdobycz, chyba że mu ktoś mocniejszy odbierze tę zdobycz siłą. Po drugie nikt z nas nie zamierzał »skoczyć«. A jednak obłudny i płaksywy mit o naszej »wstrzemięźliwości« nie tylko pokutował w okresie dwudziestolecia, lecz ostał się – a nawet rozwinął – do naszych czasów. Ostał się bowiem z tragiczną poprawką, że z linii traktatu ryskiego cofamy się już na »linię Curzona«”.

Roman Dmowski i jego zwolennicy wyjaśniali powód ustępstw ryskich tym, że Polska nie będzie w stanie spolonizować tak dużej liczby mniejszości narodowych. Tłumaczyli to tak, jakby zapomnieli o pra-

Kościół św. Szymona i św. Heleny w Mińsku. Poniżej: karykatura białoruska „Precz z traktatem brzeskim” FOT. WIKIMEDIA COMMONS/PRACAR



wie miliony Polaków za granicą ryską. Według Pawlikowskiego był to krok w kierunku strasliwej tragedii, która do dziś nie może znaleźć należnego jej miejsca w polskiej pamięci historycznej:

„Czy pomyśleliśmy o tych, których nie trzeba było polonizować, bo byli już od wieków spolonizowani, o tej dzielnej, twardej, pracowitej szlachcie zagrodowej i zaściankowej, o tym milionie Michniewiczów, Tumilowiczów, Huszczów, Kandybów, Szpilewskich, Czarnyszewiczów i tylu, tylu innych, którzy w pierwszej kolejce poszli pod nóż lub na tułaczkę do tundr Karelii lub kopalń Uralu? Bez echa i rozgłosu, bez rozdzierania szat przez obłudną prasę, bez łezk współczucia ze strony różnych obrońców praw człowieka, bez opieki UNRR-y czy UNO, powędrowały setki tysięcy tych pierwszych w dziejach współczesnego świata »displaced persons« na śmierć i poniewierkę. Opustoszały zagrody, zaścianki i »okolice« – zrównane z ziemią lub zamienione w kołchozy.

Nie oskarżajmy naszych ówczesnych dyplomatów ryskich. Zawinieliśmy wszyscy, bo wszyscy milczeliśmy. Głupsi wśród nas przyjęli traktat ryski jak gołębicę trwałego pokoju. Mądrzejsi – jako dopust Boży, który jednak zsyłał czasową »pieriedyszkę«. Ale Mądrzejsi milczeli. Milczała prasa, milczał sejm. A gdy w dniu ratyfikacji traktatu padło w sejmie – nie z trybuny – lecz z galerii! – straszne słowo »Kain«, zbyto ją drwiną lub gorszym od drwiny milczeniem”.



Na koniec przypomnijmy jedynie, że cały okres międzywojenny to niekończąca się sowiecka kompania odpolszczenia „dalszych kresów” I RP. Najpierw Polaków próbowano sowietyzować, zakładając dla nich polską sowiecką autonomię w postaci dwóch rejonów autonomicznych potocznie zwanych „Marchlewszczyzną” i „Dzierżyńszczyzną”. A później, kiedy to się nie udało, bo Polacy mimo ogromnych wysiłków komunistów pozostali wierni Kościołowi katolickiemu i polskości tradycyjnej, przyszedł czas na totalne represje. Apo-

geum prześladowań Polaków stała się operacja polska przeprowadzona w latach 1937–1938. W wirze tego bezprecedensowego ludobójstwa w ramach tzw. wielkiego terroru zginęło co najmniej 200 tys. Polaków, w większości rozstrzelanych w znany z Katynia współczesnym Polakom sposób – strzałem w tył głowy. Na odtrąconych przez samych Polaków dalszych kresach, za ryską nieprzeprowadzoną granicą, zginęło 10 razy więcej ludzi niż w Katyniu. Korzenie tej tragedii są bezsprzecznie w Rydze.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

„Nietykalni” /

Prohibicja

Gangsterzy oraz policjanci w Chicago

Kadr z filmu „Nietykalni”
Briana De Palmy

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

i Al Capone

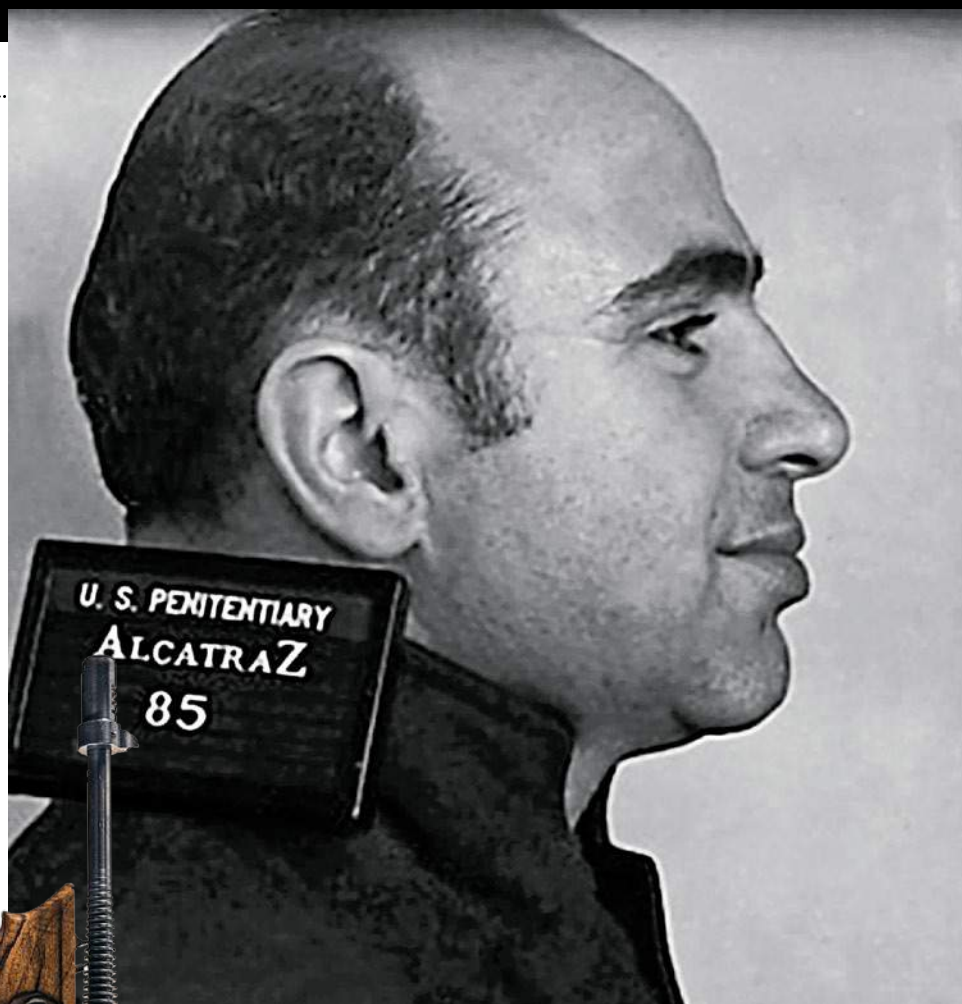


Jakub Ostromecki

Reżyser Brian De Palma potrzebował herosa, który z kilkoma towarzyszami przeciwstawi się złu o twarzy Ala Capone

Jest koniec lat 30. Szef chicagowskiego półświatka Al Capone siedzi rozparty w pokoju hotelowym, cierpliwie poddając się zabiegom golibrody. Wokół jak pieski uwijają się dziennikarze, sypiąc komplementami i żarcikami. Ogon kręci psem: drugie co do wielkości miasto USA rządzone jest przez mafię zarabiającą gigantyczne sumy na nielegalnym handlu alkoholem. Do Chicago zostaje wysłany Eliot Ness, agent Biura Prohibicji, z misją rozbicia gangu i pochycenia mafiosów, którzy mogliby zeznawać przeciw Alowi Capone. Prawy, nieprzekupny, unikający jednocześnie rozlew krwi. Kochający żonę i ojciec oraz, oczywiście z racji swojej pracy, abstynent.

Ness zaczyna słabo. W skrzyniach w rozbitym przez policję magazynie zamiast bourbona leżą parasolki. Frustrację agenta oprócz owej wpadki powoduje ordynarne łapownictwo mundurowych. Ness montuje więc ekipę Nietykalnych. W jej skład wejdą: wysłużony irlandzki stójkowy, włoski prymus pośród policyjnych strzelców oraz niepozorny księgowy w wielkich okularach. Zasadzki na transporty i naloty na bimbrownie budzą wściekłość mafijnych bossów. Capone najpierw próbuje przekupić Nessa, potem grozi jego rodzinie, zabija jednego z agentów i świadka koronnego. Nieustępliwy Ness pochwyli jednak księgowego mafii i skłoni go do



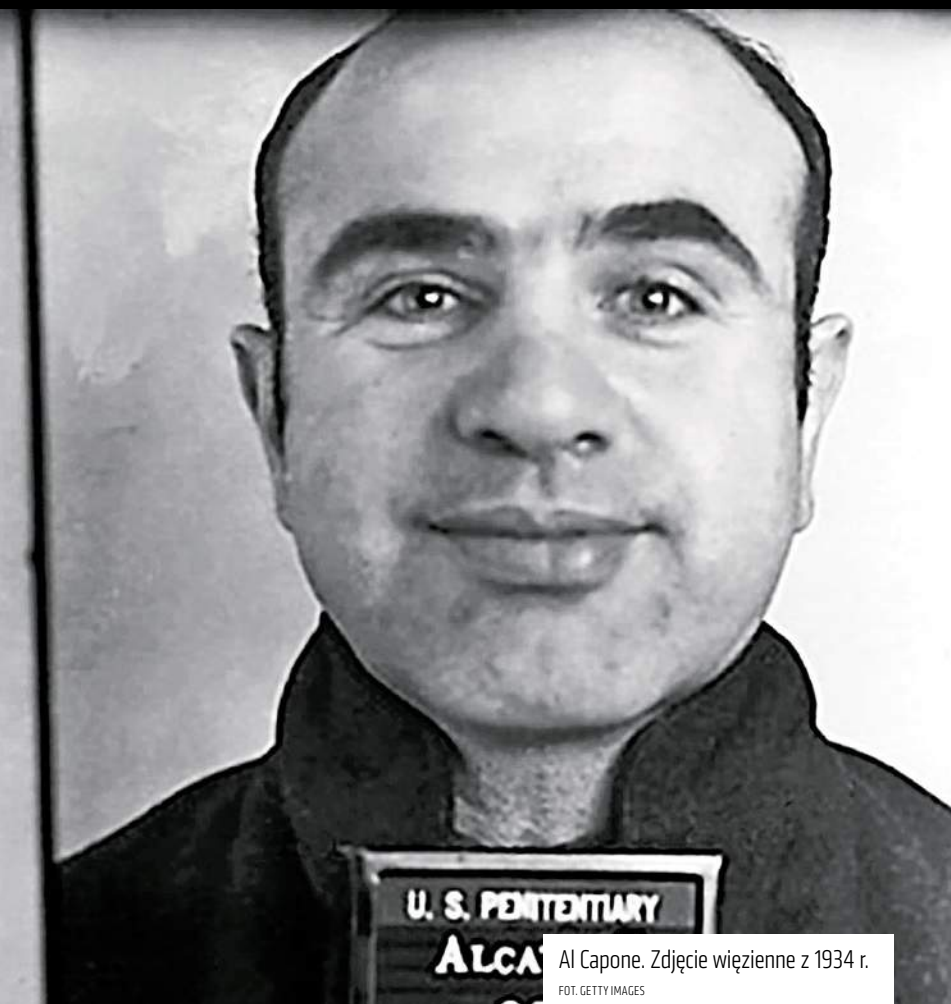
zeznać. Gdy sędzia szykuje już dla Ala Capone wyrok, na dachach chicagowskich wieżowców trwa walka Nessa z głównym wykidajką gangu – Frankiem Nittim. Gangster zginie, z czego Ness – uważający, że miejsce przestępcy jest w więzieniu – wcale nie jest zadowolony.

Trybik w maszynie

Brian De Palma potrzebował prawdziwego herosa, który sam z kilkoma tylko towarzyszami przeciwstawi się złu. I taki jest w filmie „Nietykalni” nakręconym w 1987 r. Prawdziwy Eliot Ness, nie ujmując mu zasług, był jednak tylko częścią federalnej maszyny, która wsadziła Capone za kratki. Jak powszechnie wiadomo, Capone nie został skazany za kierowanie

grupą przestępczą czy nielegalny obrót alkoholem, ale za przestępstwa podatkowe. Była to zasługa Franka Wilsona, agenta Biura Dochodów Wewnętrznych Departamentu Skarbu. Działał on równolegle do Nietykalnych i naprawdę nie podlegał Nessowi. To właśnie Wilson zwerbował kilku informatorów z gangu Ala Capone. Potrafił zjednać sobie faceci z półświatka w przeciwieństwie do Nessa, który był zbyt kostyczny, oficjalny i czuć było od niego praworządność na kilometr. Reżyser na podstawie dokonania Wilsona stworzył postać Oskara Wallace’a. Grający go Charles Martin Smith jest łudząco podobny do oryginału. Pamiętano nawet o wadzie wzroku. W filmie ów niepozorny księgowy, inaczej niż w rzeczywistości, ginie z rąk bandytów przebranych za policjantów.

Jak wyglądała zatem prawdziwa działalność Nessa? W latach 1927–1928 wraz z innymi agentami Biura Prohibicji tropił bimbrowników w Chicago Heights. Agenci szli na rympał i rozpoczęli serię rajdów na meliny. Zysk był z tego mierny, ale amerykańscy prokuratorzy wpadli na dość prosty pomysł. Jeśli wzorem Chicago Heights zintensyfikować najścia na



Al Capone. Zdjęcie więzienne z 1934 r.

FOT. GETTY IMAGES

terenie kontrolowanym przez Capone, to mogłoby się to odbić na finansach gangu, naruszyć jego potęgę i doprowadzić do pójścia części bandytów na współpracę z nieskorumpowaną częścią wymiaru sprawiedliwości. Tak powstała ekipa, która stała się inspiracją dla twórców filmu. W latach 1930–1932 Ness zakładał podsłuchy telefoniczne w melinach, spelunach i burdelach. Rozmowy, które dzięki temu udało się uchwycić, dotyczyły rzeczywiście nielegalnej dystrybucji alkoholu, ale nie nadawały się wówczas na materiał dowodowy. Z tonu ludzi Capone dało się wyczuć pewną nerwowość. Była to jedyna pociecha. Capone był na tyle przejęty utratą zysków, że zaproponował Nessowi, oczywiście przez pośredników, potężną łapówkę. Bardzo możliwe, że wyglądało to podobnie jak w wyobrażeniu De Palmy, gdzie arogantki grubas pracujący dla gangu wparowuje do kanciapę Nessa mieszczącej się w komendzie policji.

Gdy w filmie Ness wraz z policjantami szczykuje się do staranowania bramy magazynu z nielegalnym alkoholem, nagle jak z podziemi wyrasta dziennikarz z aparatem fotograficznym i lampą

błyskową, grożąc spaleniem całej akcji. W filmie Ness jest skonfundowany natrętem, ale w rzeczywistości agent miał olbrzymie „parcie na szkło” i zapraszał dziennikarzy na organizowane przez siebie naloty. W jednym z nich, 25 marca 1931 r., w Cicero rzeczywiście użyto pługa. Był to akurat nalot bardzo „owocny” – w majestacie prawa zniszczono tysiące litrów piwa.

Filmowemu Nessowi walka z bandytami nie przychodzi łatwo. Pod domem pojawiają się przestępcy, grożąc rodzinie. Giną lub zostają ranni najbliżsi współpracownicy. Jak jednak pisze o ekipie Nessa i Wilsonie Jonathan Eig, autor monografii Capone: „Nawet w swych nieco ubarwionych relacjach uczciwie przyznali, że pracując nad tą sprawą, nigdy nie mieli poczucia, że ryzykują życie”. Zupełnie inaczej wyglądał los informatorów. Eddie O'Hare, organizator psich wyścigów pracujący dla gangu, na krótko przed wyjściem Capone z więzienia został zastrzelony w swoim samochodzie.

De Palma kręcił film akcji, musiał zatem bardzo podkoloryzować działania Nietykalnych. Do fikcji należą zatem najbarwniejsze sceny filmu: udana

zasadzka na konwój z whisky na granicy kanadyjskiej, mord świadka koronnego w skorumpowanym komisariacie oraz strzelanina na dworcu, w wyniku której ujęto księgowego gangu.

Rola Nessa w walce z Capone była na tyle duża, że w 1935 r., już po odwołaniu prohibicji, został szefem policji oraz straży pożarnej w Cleveland i kandydował na burmistrza tego miasta. Wbrew wizerunkowi utrwalonemu przez De Palmę Ness nie był jednak dobrym mężem. Zdradzał żonę, a w połowie lat 30. okazało się, że alkohol, z którym walczył przez wiele lat, sam zaczął nad nim zwyciężać. Ness pod koniec życia był już nałogowcem.

Rozprawa

Rozprawa uwieczniona w filmie nie była pierwszą w życiu Capone. Przed oskarżeniem o przestępstwa podatkowe mafioso odsiedział rok za nieprzepisowe obchodzenie się z bronią. W lutym 1931 r. sądzono go za obrazę sądu. Prokuratorzy wiedzieli, że się wymiga, ale oskarżenie to było tylko odwróceniem uwagi od przygotowywanych w tajemnicy zarzutów cięższego kalibru.

Proces Ala Capone ciągnął się wiele miesięcy, toteż De Palma musiał powyciągać z sądowej batalii najciekawsze fragmenty i odpowiednio je udramatyzować. Dość ogólnikowo potraktował moment, kiedy to – ku osłupieniu zarówno adwokatów, jak i prokuratora – sędzia Wilkerson nie uznał ugody między prawnikami, zasądzając Capone 11 lat. Z dużą dokładnością zrekonstruował jednak scenę zmiany ławy przysięgłych. Ławnicy, którzy mieli zeznawać na procesie Capone, byli oczywiście przekupieni, o czym sędziego poinformował nie Ness, ale agent Wilson, czerpiący z kolei wiedzę od swojego informatora O'Hare. Wilkerson powołał nowych ławników pochodzących z małych miasteczek i przedmieść zamieszkałych przez klasę średnią, gdzie wciąż wierzono w zbawczą moc prohibicji. Jak określił ich jeden z dziennikarzy: „Oracze żyznej ziemi z odciskami na dłoniach, małomiasteczkowi sklepikarze, mechanicy i urzędaszy”. Nie uświadczylibyś tam Włocha ani spragnionego piwa robotnika.

Na sali sądowej rzeczywiście pojawił się człowiek z bronią. Był to Phil Andrea, ■

ochroniarz Capone. Zamiast Nessa dopadł go jednak Mike Malone – agent skarbowy z ekipy Wilsona. Obyło się bez strzelaniny i gonitwy po dachach. Złapany tłumaczył się, że jest zastępcą komornika sądowego, ale okazało się, iż dawno temu stracił tę posadę. Zabrano mu broń i bandyta dostał sześć miesięcy za obrazę sądu.

Chicago przestępców

Wielu dziennikarzy punktowało De Palmę za fantazjowanie przy kreacji Eliota Nessa i przeinaczenia całego śledztwa w sprawie Capone, zapominając jednocześnie o tym, jak ważne jest tło owej historii, czyli pograżone w bezprawiu Chicago. Korupcja jest tu równie wysoka co drapacze chmur. Od Capone biorą wszyscy – zwykli posterunkowi, burmistrz, sędziowie i przysięgli. Dno zepsucia osiąga w filmie komendant policji. Za jego przyzwoleniem do budynku komisariatu, gdzie przebywa najważniejszy dla śledztwa świadek koronny, przenikają gangsterzy w przebraniu policjantów. Prawdziwi policjanci, którzy mieli eskortować skruszonego przestępcę, leżą już martwi na tylnym podwórzu. Przebrani gangsterzy przejmują świadka od niczego niepodjęrzwającego Nessa, wchodzą z nim do windy i kilka sekund później likwidują go. Komendant patrzy z okna swojego gabinetu na ciała swoich podwładnych na dziedzińcu. Kilka kieliszków, potężna łapówka i zwykły strach pozwalają mu dość szybko pozbyć się wyrzutów sumienia.

Rozpasanie mafii odbija się na życiu zwykłych obywateli. Bandzior Capone wysadza w powietrze knajpę, której właściciel odmówił kupna nielegalnego i do tego kiepskiej jakości alkoholu. W eksplozji ginie mała dziewczynka. Na stacji kolejowej w strzelaninie z rąk bandytów giną postronni przechodnie.

Czy drugie wówczas co do wielkości miasto USA mogło sięgnąć takiego dna? Porównując dzieło De Palmy z realiami historycznymi, trzeba odpowiedzieć na trzy pytania: „Jaki był rzeczywiste poziom zepsucia władz i służb?”, „Jak chętnie mafia podnosiła rękę na policjantów i prokuratorów?” oraz „Jak dalece owo zepsucie było uciążliwe dla przeciętnego mieszkańca Chicago?”.



Wystarczy zajrzeć do dowolnego opracowania na temat kryminalnej historii miasta, aby stwierdzić, że przynajmniej w jednej kwestii De Palma nie przesadza. „Od momentu nadania praw miejskich w 1837 r. Chicago było systematycznie zwodzone na złą drogę, łupione i poniżane przez niezliczoną hordę sprzedajnych polityków, najemnych biznesmenów i sadystycznych gangsterów. Nic się tu nie zmieniło od 130 lat” – pisał Ovid Demaris w książce „Captive City”. Wtórował mu John Landesco, autor „Organized Crime in Chicago”: „Gangsterzy nie przesadzali, gdy mówili, że nie widzieli jeszcze uczciwych wyborów”.

Autor odnosi się tu między innymi do kampanii wyborczej do rady miasta, która w jednym z okręgów skończyła się 30 ofiarami śmiertelnymi. W czasie jednej z awantur między zwolennikami demokratów i republikanów pobito policjanta. W kampanii wyborczej w 1928 r. domy sędziów i prokuratorów „zbyt gorliwie” stojących po stronie prohibicji obrzucane były bombami. Jonathan Eig konkluduje: „Skorumpowani prawnicy przekupywali skorumpowanych policjantów, by zeznawali zgodnie z ich życzeniem przed skorumpowanymi sędziami. [...] Prohibicja sprawiła, że nawet najbardziej rzetelni urzędnicy nie mogli pracować uczciwie”. Nawet jednak w tej otchłani zepsucia nikt nie pozwolił sobie na to, by strzelać do policjantów na komisariacie.

Jak ów bandytyzm odczuwał przeciętny mieszkaniec miasta? Eig opisuje sytuację drobnych przedsiębiorców: „Jeśli na przykład ktoś prowadził zakład naprawy kas sklepowych i odmówił wstąpienia do lokalnego zrzeszenia tej branży lub nie złożył zamówienia na piwo u gangstera,

który wymagał lojalności, ewentualnie poskarżył się policji na odór bimbrowni sąsiada, musiał liczyć się z tym, że do mieszkania lub lokalu przez okno może wpaść bomba domowej roboty”. Szczytem rozpasania bandytów było... bombardowanie konkurencji. W 1926 r. gdzieś w Illinois jeden z gangów dokonał nalotu bombowego na siedzibę wrogiej firmy. To jedyny do dziś nalot bombowy w historii kontynentalnych USA, w którym zginęli cywile. Porachunki te odbiły się na kosztach życia – nastąpił kilkakrotny wzrost składek na ubezpieczenie mienia od kradzieży i zniszczenia.

Eig podaje jednak: „Większość mieszkańców Chicago przywykła do pewnego poziomu przestępczości pod warunkiem, że może kupić piwo”. Miasto miało potworną opinię, ale gangsterzy wrosli w jego pejzaż: „Dostarczali piwo, a to wystarczało, by wielu Amerykanów trzymało ich stronę. Społeczeństwo postrzegło wielkich przemysłowców i handlarzy alkoholem jako ambitnych, nawet jeśli nie do końca postępujących moralnie, ludzi interesu”. Pamiętajmy, że to właśnie w latach 20. polityka „państwa minimum, które nie przeszkadza ludziom w bogaceniu się”, została w USA podniesiona do rangi dogmatu i głoszona przez kolejnych prezydentów.

Przyzwyczajeni jesteśmy do widoku korupcji i biedy trzymających się za ręce. De Palma uchwycił jednak sytuację, która jest wyjątkiem od tej zasady. Są lata 20., miasto rządzone jest przez gang, a w dzielnicy klasy średniej przed każdym skromnym domkiem stoi samochód. Rzecz wówczas nie do pomyślenia w zdecydowanej większości miast europejskich, gdzie przestępczość była niższa niż w USA. Eig konkluduje: „Trudno wyrokować, czy w latach 20. przeciętny Amerykanin był mniej bezpieczny niż w okresie przed prohibicją. W tamtych czasach rząd nie kompilował jeszcze ogólnokrajowych statystyk na temat przestępczości. W jednym badaniu oszacowano, że w okresie prohibicji liczba morderstw i napadów wzrosła o 37 proc. [chodzi o książkę D.E. Kyviga pt. »Daily Life In United States 1920–1940« – przyp. red.]. Inne badania dowiodły jednak, że ta rzekoma fala zbrodni jest mitem i że Amerykanie mogli cieszyć się długotrwałym spadkiem liczby ciężkich przestępstw, który trwał aż do lat 60.”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Średniowiecze / Historia pewnej nienawiści

Eugène Delacroix
„Zdobycie
Konstantynopola”

FOT. ARCHIWUM

Krzyżowcy kontra Bizancjum



Łukasz Czarnecki

Krzyżowcy mordowali każdego, kto im się nawinał. Gwałcili kobiety i nie gardzili żadnym łupem

Zainicjowany przez papieża Urbana II na synodzie w Clermont ruch krucjatowy był u swych początków odpowiedzią Zachodu na skierowaną do Rzymu prośbę bizantyńskiego cesarza Aleksego I Komnena o pomoc. Chodziło o zwerbowanie zachodnioeuropejskich wojow-

ników, aby wspomogli Bizantyńczyków w walce z Turkami seldżuckimi. Lekarstwo okazało się gorsze od choroby – przemarsze zdążających do Jerozolimy uczestników kolejnych krucjat przez ziemię Bizancjum, zamiast wzmocnić Cesarstwo, doprowadziły je do upadku.

Kiedy w maju 2001 r. Jan Paweł II odwiedzał Ateny, w stolicy Grecji powitały go murale głoszące, że jest antychrystem. Kilka dni przed wizytą na ateńskich ulicach odbywały się manifestacje przeciwnych przyjazdowi Ojca Świętego prawosławnych mnichów, a w świątyniach kaznodzieje przestrzegali parafian przed papieską perfidią i przypominali cierpienia, których doznali w średniowieczu bizantyńscy przodkowie Greków z rąk krzyżowców. Do owych krzywd Jan Paweł II nawiązał później w trakcie spotkania z będącym głową Greckiego Kościoła Prawosławnego arcybiskupem

Aten – Chrystodulosem, składając na jego ręce przeprosiny za grzechy popełnione przeciwko wschodnim chrześcijanom przez krzyżowców.

Lud i rycerze

W roku 1081 w Konstantynopolu doszło do zamachu stanu. Wyniósł on do władzy energicznego arystokratę z rodu Komnenów, który zasiadł na cesarskim tronie jako Aleksey I. Od zachodniej flanki Bizancjum zagrażali wówczas prowadzący ekspansję w Italii Normanowie, w północnych prowincjach hulali Pieczyngowie, a na wschodzie Turcy seldżuccy prawie całkowicie wyparli Bizantyńczyków z ich małoazjatyckich posiadłości.

Przez pierwsze 14 lat swych rządów Aleksey stawiał czoło kolejnym wrogom, walcząc z nimi zarówno żelaznymi

■ mieczami swych żołnierzy, jak i czerpanymi z cesarskiego skarbcza złotymi monetami.

W tym czasie większość bizantyńskich sił zbrojnych stanowili najemnicy. W drugiej połowie XI stulecia coraz częściej wśród walczących za cesarskie pieniądze wojowników pojawiali się przedstawiciele zachodnioeuropejskiego rycerstwa. Z czasem przybysze z Zachodu zwani przez Bizantyńczyków łacinnikami, Frankami bądź Celtami dali się poznać jako wysokiej klasy specjaliści w wojennym rzemiośle. Z tego też powodu Aleksey I, szukając w połowie lat 90. XI w. źródła mogącego zasilić ludzkie zasoby bizantyńskich sił zbrojnych, zwrócił swój wzrok na Zachód. Cesarscy wysłannicy udali się na dwór papieża Urbana II, by prosić go o pomoc w zwerbowaniu armii bitnych najemników.

Ojcu Świętemu pomysł walki z muzułmańskimi Turkami wyjątkowo przypadł do gustu. Jednak zamiast spełnić prośbę Aleksego i zająć się pośrednictwem pracy dla bezrobotnych rycerzy, Urban II dał ponieść się fantazji i 27 listopada 1095 r. na synodzie w Clermont wezwał chrześcijan do świętej wojny mającej na celu odzyskanie Jerozolimy.

W roku 1096, ku zaskoczeniu oczekującego najemników cesarza, bizantyńskie granice przekroczyło pospólstwo prowadzone przez Piotra Pustelnika. Owa krucjata ludowa dała się już poznać z jak najgorszej strony, gdyż rabowała czasem mijane miejscowości i mordowała Żydów. Na jej widok Aleksey kazał zamknąć bramy stolicy i wzmocnić warty na jej murach. Kiedy Piotr Pustelnik, zwany przez Bizantyńczyków Kuku Piotrem, wraz ze swymi zwolennikami dotarł nad Bosfor, bizantyńskie władze czym prędzej załadowały ich na statki i przewiozły do Azji Mniejszej. Tam historia krucjaty ludowej dobiegła końca, gdyż jej uczestnicy zostali wybiti przez Turków. Jakimś cudem z ogólnego pogromu ocalał Kuku Piotr, który wrócił do Konstantynopola.

Jesienią pod mury stolicy imperium przybyły o wiele lepiej zorganizowane hufce zachodnioeuropejskiego rycerstwa. Przybysze zażądali od cesarza objęcia osobistego dowództwa nad wyprawą przeciwko muzułmanom. Aleksey jednak zastanawiał się, jak skłonić krzyżowców do lojalności względem cesarskiego tronu. Imperator lękał się, że wodzowie poszczególnych kontyn-



Aleksey I przyjmuje Godfryda de Bouillona i towarzyszących mu krzyżowców FOT. WIKIPEDIA

gentów mogą zwrócić się przeciwko Bizancjum i spróbować wykroić sobie na wyzwolanych spod władzy islamu terenach własne władztwa. Jak pokazały miały późniejsze czyny wodza normañskich oddziałów z Italii – Boemunda z Tarentu, obawy te nie były nieuzasadnione. Ostatecznie cesarz odebrał od przywódców krucjaty przysięgi wierności. Gdy formalnościom stało się zadość, bizantyńska flota przewiozła rycerzy na azjatycki brzeg Bosforu.

Początkowo siłom krucjaty towarzyszył oddział cesarskiej armii. Gdy krzyżowcy oblegli pierwsze wielkie miasto na trasie swego przemarszu – Niceę, turecka załoga poddała się właśnie bizantyńskiemu korpusowi, co uchroniło metropolię od grabieży. Kryzys współpracy między łacinnikami a Bizantyńczykami nastąpił dopiero po zdobyciu Antiochii. Zajęcie starożytnego grodu krzyżowcy świętowali krótko, bo wkrótce sami znaleźli się w oblężeniu, kiedy pod miastem stanęły przeważające liczebnie tureckie wojska. Rycerstwo oczekiwało odsieczy ze strony Aleksego I, ta jednak nie nadeszła. Co prawda cesarz ruszył w drogę na czele swej armii, lecz zanim dotarł pod mury Antiochii, w jego obozie pojawiło się kilku dezertów z krucjatowej armii, przynosząc ze sobą fałszywe wieści o zagładzie swych towarzyszy.

W obliczu takich informacji bizantyński imperator wydał rozkaz odwrotu. Rycerzom z Zachodu udało się odnieść zwycięstwo pod Antiochią i rozpuścić oblegające ich tureckie wojsko. Starożytne miasto zagarnął dla siebie Boemund, czyniąc je stolicą nowo powstałego Księstwa Antiochii. Jako że Aleksey nie chciał uznać tego stanu rzeczy, wybuchł między

nimi wieloletni spór. Boemund w roku 1104 wyruszył w tournée po Europie, by werbować wojowników na kolejną krucjatę – tym razem wymierzoną bezpośrednio w Bizancjum. Kiedy jednak ruszył na czele armii przeciwko imperatorowi, poniósł porażkę i został zmuszony do uznania się za cesarskiego lennika. Zło już się jednak dokonało – szeroko propagowany na Zachodzie przez zwolenników Boemunda obraz Bizantyńczyków jako fałszywych chrześcijan, niewiele lepszych od niewiernych, przedał się do zbiorowej wyobraźni łacińskiej.

Gwałty i pieniądze

Kolejna wielka wyprawa krzyżowa wyruszyła z Europy Zachodniej w roku 1147. Była ona odpowiedzią na upadek jednego z państw krzyżowców – Hrabstwa Edessy. W przeciwieństwie do pierwszej ekspedycji brały w niej udział koronowane głowy – rycerstwo francuskie prowadził król Francji Ludwik VII, a niemieckie – Konrad III. Bizancjum władał w tym czasie wnuk Aleksego – Manuel I.

Podobnie jak pół wieku wcześniej droga krzyżowców wiodła przez terytoria bizantyńskie. Niemcy zrobili na Bizantyńczykach szczególnie złe wrażenie, gdyż potrzebną sobie żywność zabierali siłą i łupili mijane miasta oraz klasztory. Dochodziło do aktów wyjątkowego bestialstwa – grupa rycerzy Konrada III puściła z dymem karczmę, w której się zatrzymała, i wymordowała jej gości, bo... Niemcom nie spodobał się pokaz występującego w gospodzie zaklinacza węży.

Lepiej niż ich germańscy sojusznicy zachowywali się Francuzi, jednak po przejściu Niemców nie mogli liczyć na żadną sympatię ze strony mieszkańców. Bizantyńczycy barykadowali się w miastach, a chcącym zakupić jedzenie Francuzom spuszczały z murów żywność w obwiązanych linami koszach. Uczestnicy krucjaty narzekali zresztą, że miejscowi żądają wygórowanych cen, a dostarczane przez nich artykuły spożywcze są „drugiej świeżości”.

Druga krucjata zakończyła się klęską, jednak przegrana krzyżowców nie oznaczała ich zniknięcia z Lewantu. Wciąż istniały: Królestwo Jerozolimy, Księstwo Antiochii i Hrabstwo Trypolis. Na Bliski

Wschód przybywały kolejne grupy wojowników, z których wielu zatrzymywało się w Konstantynopolu. Manuel chętnie werbował ich w szeregi swej armii i administracji. Otoczywszy się znawcami zachodnich obyczajów, potrafił tak prowadzić swoją politykę, że znajdowała ona poklask również wśród łacinników. Z Zachodu pochodzili dwie kolejne żony imperatora, a on sam lubił organizować turnieje rycerskie. Za rządów Manuela stosunki między krzyżowcami a Bizantyńczykami uległy normalizacji, niestety, gdy władca ten zmarł w 1180 r., budowany przez niego gmach mający zapewnić harmonijne współistnienie katolików i prawosławnych zawalił się w gruzy.

Następcą tronu został małoletni Aleksy II żonaty z Agnieszką – córką francuskiego króla Ludwika VII. Nieszczęsny chłopiec długo rządami się nie nacieszył, gdyż władzę szybko przechwycił jego wuj – Andronik Komnen.

Kuzyn Manuela, mający opinię mściwicy i skandalisty, najpierw sięgnął po stanowisko regenta, kiedy zaś poczuł się wystarczająco mocny, rozkazał uduśić małoletniego cesarza cięciwą z łuku, po czym nie zwracając uwagi na to, że był już w związku małżeńskim, pojął za żonę wdowę po zamordowanym, młodszą od siebie o (bagatelka!) 50 lat. Przejęciu władzy towarzyszyły krwawe zbrodnie, wśród których największy rozgłos w chrześcijańskim świecie zyskała masakra katolickich mieszkańców Konstantynopola. Rządy okrutnego Andronika okazały się co prawda iluzoryczne, gdyż już po dwóch latach został obalony i rozerwany na strzepy przez wściekły tłum zgromadzony na hipodromie, ale ludzie Zachodu dobrze zapamiętali rzeź swych ziomków i wypatrywali okazji do zemsty. Ta zaś nadeszła w roku 1204.

Czwartą krucjatę, która wyruszyła w roku 1202, od początku prześladował pech. Najpierw na miejscu zbiórki stawiła się tylko jedna trzecia spodziewanych sił, potem okazało się, że armia nie ma pieniędzy na opłacenie weneckiej floty mającej przewieźć ją do Egiptu. Weneccjanie znaleźli dość pomysłowe rozwiązanie



Jacopo Palma il Giovane „Zdobycie Konstantynopola” FOT. WIKIPEDIA

tego problemu – zaoferowali krzyżowcom, by w ramach zapłaty zniszczyli ich buntowniczą kolonię, nadadriatyckie miasto Zadar. Wodzowie krucjaty przystali na ten układ i tak miecze obrońców chrześcijaństwa splamiła krew ich współwyznawców.

Punkt przełomu

Potem wszystko poszło już błyskawicznie. Gdy krzyżowcy (obłożeni za swój postępek ekskomuniką przez papieża Innocentego III) odpoczywali po rzezi, do ich dowództwa zgłosił się syn obalonego niedawno bizantyńskiego cesarza Izaaka II Angelosa – Aleksy, który wezwał rycerzy krucjaty do pomocy w zdobyciu należnego mu tronu. W zamian obiecywał góry złota i wsparcie trudu krucjatowego. I tak w czerwcu 1203 r. korpus łacinników stanął pod murami Konstantynopola. 18 lipca miasto zostało zdobyte, a towarzyszący krzyżowcom książę ukoronowany na cesarza.

Nadszedł czas spłaty zobowiązań. Początkowo Aleksy Angelos, znany teraz jako Aleksy IV, solidnie spłacał pomoc swych sojuszników. Szybko jednak okazało się, że zasoby skarbcza są na wyczerpaniu. Coraz bardziej rozżalona butą łacinników była też ludność Konstantynopola. W końcu doszło do rewolucji, w wyniku której cesarzem został Aleksy Dukas. Nowy imperator odmówił zaspokajania żądań obozującej pod miastem armii IV krucjaty. W odpowiedzi 9 kwietnia 1204 r. zachodnie rycerstwo zaatakowało stolicę Cesarstwa. Pierwszy szturm

odparto, ale kolejny, który nastąpił trzy dni później, zakończył się triumfem najeźdźców i Konstantynopol upadł.

Krzyżowcy mordowali każdego, kto im się nawinał, gwałcili kobiety i nie gardzili żadnym łupem. Przybyli z Zachodu obrońcy chrześcijaństwa dopuszczali się przy tym tak bluźnierczych ekscesów jak wypróżnianie na ołtarzach prawosławnych świątyń czy urządzenie w kościołach orgii z prostytutkami. W tyle za rycerstwem nie pozosta-

wali księża, zrywający złote ramy z ikon i szabrujący relikwie. Tak oto doszło do punktu przełomu, po którym porozumienie między łacinnikami a Bizantyńczykami stało się niemożliwe. Na ruinach bizantyńskiego imperium zwycięscy krzyżowcy ustanowili własne państwa, takie jak Cesarstwo Łacińskie, Królestwo Tesaloniki czy Księstwo Achai. Organizmy te okazały się iluzoryczne i szybko upadły. Tymczasem w bardziej odległych prowincjach Bizancjum, które nie wpadły w ręce najeźdźców, ukonstytuowały się bizantyńskie rządy na uchodźstwie.

W roku 1261 prawosławna grecka armia odbiła Konstantynopol i Cesarstwo Bizantyńskie odrodziło się jak feniks z popiołów. Było już jednak cieniem samego siebie i przez następne sto kilkadziesiąt lat jego stan posiadania kurczył się na rzecz Turków osmańskich, aż w końcu w połowie XV w. władza imperatorów sięgała nie dalej niż za rogatki ich stolicy. Wówczas widzący, że nie ma już nic do stracenia, cesarski rząd rozpoczął starania o pomoc z Zachodu. Świat katolicki jako warunek jej udzielenia postawił jednak uznanie przez prawosławnych supremacji papieża. To ożywiło pamięć o zbrodniach krzyżowców i wywołało gwałtowne protesty Bizantyńczyków, których duchowi przewodnicy wprost wołali: „Lepszy jest turecki turban niż papieska tiara!”. Nie minęło wiele czasu, a słowo stało się ciałem i w roku 1453 najpiękniejsze miasto średniowiecznego świata zostało podbite przez sułtana Mehmeda II Zdobywcę i przemieniło się w Istanbül – stolicę imperium osmańskiego.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wywiad caratu / Kariera Mojsiejewa-Moszkowa Dolina

Wybitny agent ochrony



Marian Zacharski

/ Ujęcie terrorystki, przejęcie fałszywych rubli, wodzenie za nos agentów niemieckich. Oto sukcesy rosyjskiego wywiadowcy z Wołynia

Mojsiejew-Moszkow Dolin może być najlepszym przykładem, dlaczego po upadku caratu i rozwiązaniu wszechmocnej organizacji wywiadowczej, jaką była ochrona, jej legenda, wspierana ujawnianiem kolejnych dokumentów, nadal żyje i ma się dobrze. Przy dokonywaniu oceny sprawności i skuteczności jej działania warto pamiętać, że ochrona nigdy nie zatrudniała więcej niż tysiąc funkcjonariuszy, z czego 200 z nich służyło w centrali w Petersburgu. Dolin, wywodzący się z Ostropola położonego w pobliżu Równego na Wołyniu, był godnym podziwu wywiadowczym samorodkiem. Inteligentny, spostrzegawczy, mający ogromną łatwość nawiązywania kontaktów i wzbudzania zaufania.

Posiadał też jedną istotną wadę, którą skrzętnie wykorzystał szef biura ochrony w Żytomierzu płk Potocki. Dolin uwielbiał hazard. W roku 1900, pobierając nauki w tym mieście, nawiązał z pułkownikiem współpracę: w zamian za zdobywane

informacje o planowanych działaniach wywrotowych Związku Żydowskiego otrzymywał stosowne rekompensaty, które natychmiast próbował pomnażać w drodze hazardu. Po dwóch latach współpracy z Potockim Dolin został zarekomendowany szefowi oddziału ochrony w Dniepropietrowsku (Jekaterinosław), kpt. Schultzo-wi. Ucieszył się, ponieważ od tego momentu miał zapew-nioną stałą pensję wyno-szącą 100 rubli miesięcznie i stał się najlepiej opłacanym agentem na tym terenie.

Po pewnym czasie Dolin rozpoczął rozpracowy-wanie komunistycz-no-anarchistycznego ruchu, który silnie zaznaczył swoją obec-ność w Dniepropietrow-sku. Celem zbudowania Doli-nowi solidnej legendy został on tymczasowo aresztowany i przekazany do Żytomierza, gdzie miejscowy sąd za drobny politycz-ny występki innej osoby skazał go na krótką odsiadkę.

Fałszywy anarchista

Wiadomość o jego niezłomnej po-stawie i przyjęciu wyroku z honorem szybko rozeszła się wśród dniepropietrowskich anarchistów, którzy zaraz po zwolnieniu z więzienia z radością powitali go w swych szeregach. Na

informacje od Dolina ochrona nie mu-siała długo czekać. Dzięki jego donosom udało się zapobiec większości krwawych przedsięwzięć wywrotowców. W tym czasie szczególną aktywność wykazy-wała Żydówka, z zawodu nauczycielka, Olga Taratuta (w rzeczywistości Elka Ruwinskaja). Ciężyły na niej podejrzenia o udział w ataku bombowym na Cafe Libman w Odessie oraz w przygotowa-niach do zamachów na dowódcę okręgu wojskowego Odessy, zrusyfikowanego Estończyka gen. Aleksandra Kaulbarsa i gubernatora tego regionu, gen. Tołma-





Pracownicy petersburskiej ochrony FOT. WIKIPEDIA

banknotów, ale pozostawił je na miejscu. Bez przeszkód przekroczył granicę imperium i dotarł do Chotyń. Dzięki anarchiście o nazwisku Dudniczenko skontaktował się ze skarbnikiem bankowym, Malajdachem, który w zamian za łapówkę w wysokości 3 tys. rubli zgodził się podmienić tylko 16 tys. fałszywych rubli na prawdziwe. Wrócił po tę kwotę do Kołomyi. Po zrealizowaniu transakcji objęto ścisłą inwigilacją skarbnika, który nieświadomy czyhających zagrożeń doprowadził agentów ochrony do kluczowych w regionie anarchistów. Nastąpiły aresztowania.

Podwójny szpieg

Po roku nowy szef paryskiej ochrony, Aleksander Krasilnikow, oraz oficer prowadzący, płk Erhardt, zdecydowali o uplasowaniu go w Szwajcarii. Jego miesięczna pensja wynosiła 650 franków plus zwrot kosztów podróży na spotkania z anarchokomunistami w Paryżu i Londynie. Po wybuchu wielkiej wojny niespodziewanie pojawiła się okazja wnikięcia w struktury wywiadu niemieckiego i podjęcia działań w charakterze podwójnego agenta ochrony. W trakcie spotkania anarchistów na terenie Szwajcarii tajny wysłannik z Konstantynopola, niejaki Bernstein, wyjawiał Dolinowi, że rząd turecki zobowiązał go do zorganizowania grupy terrorystycznej na terenie Rosji. Zaoferował 50 tys. franków za wysadzenie w powietrze dwóch strategicznych mostów w Rosji europejskiej oraz jednego na Syberii. Dolin zakończył rozmowę stwierdzeniem, że rozejrzy się za stosownym partnerem do wykonania tej roboty.

W tajnym raporcie wysłanym do Paryża wyraził przekonanie, że za propozycją stoi wywiad niemiecki. Szef biura paryskiej ochrony, Krasilnikow, był zachwycony postawą Dolina. Szansa na wprowadzenie w szeregi niemieckiego wywiadu podwójnego agenta była propozycją nie do odrzucenia. Centrala w Petersburgu szybko wyraziła wstępną zgodę na kontynuowanie dialogu, zaznaczając jednak, że agenci pracujący w strukturach anarchorewolucjonistów pod żadnym pozorem nie mogą wejść w skład ewentualnego zespołu sabotażystów oraz że płk Erhardt winien natychmiast pojawić się w otoczeniu Dolina,

pieniędzy, a także nielegalnych publikacji do punktów dystrybucyjnych w Dniepropietrowsku. I tym razem nie zawiodł pokładanych w nim nadziei. Po sześciu tygodniach przywiózł ze sobą listę odbiorców „Buriewiestnika”, podziemnej gazety komunistycznych anarchistów. Idąc po nitce do kłębka, Dolin odkrył miejsca druku tego periodyku na terenie Rosji, składy materiałów propagandowych, tajne schowki z bronią i drogi przerzutu przez granice anarchistycznych działaczy. Sukces był tak wielki, że centrala w Petersburgu zdecydowała o przeniesieniu Dolina na stałe do pracy w placówce ochrony w Paryżu mieszczącej się w dwóch pokojach carskiej ambasady przy rue de Grenelle 97.

Jego nowym szefem był od tego czasu radca stanu Arkady Michajłowicz Harting (prawdziwe nazwisko Abraham Moisiejewicz Hekkelman). Pierwszym zadaniem miało być ustalenie losu 8 tys. rubli zrabowanych przez anarchokomunistów z kasy państwowej w Odessie. Ślady prowadziły do Genewy. Dolin, wspierany w Szwajcarii przez oddelegowanego z Paryża kpt. Andrejewa, wziął udział w zebraniu anarchokomunistów, na którym ustalono, że 3 tys. zrabowanej kwoty ma trafić do Chotyń, by pokryć koszty zamiany wydrukowanych na Zachodzie 49 tys. fałszywych rubli na prawdziwe. Decyzją anarchistów operacja miała pokierować... Dolin.

Bezwzględnie ruszył w podróż. W pierwszym etapie dotarł do Kołomyi w Galicji, gdzie odebrał od starowinki – niejakej Steory Iwańczuk – paczkę z fałszywkami. Zanotował numery

czewa. Dolin podjął się zaaranżowania sytuacji, w której poszukiwana anarchistka „przypadkowo” wpadnie w ręce policji. Wyplacono mu z góry, zgodnie z życzeniem, specjalną premię w wysokości 500 rubli. Na pokwitowaniu podpisał się pseudonimem, nomen omen, Lenin.

Po modelowo przeprowadzonej operacji postanowiono zdyskontować kontakty Dolina wśród wywrotowców i na pewien czas oddelegowano go do oddziału ochrony w Paryżu. Miał tam rozpracować kanały przerzutu broni,



FOT. KRZYSZTOF WIRZYKOWSKI

■ odgrywając rolę asystenta. Do kolejnego spotkania z Bernsteinem doszło w Rzymie. Erhardt przedstawiony został jako towarzysz Michaił, którego wstępnie wyznaczono do roli głównego organizatora sabotażowego przedsięwzięcia. W trakcie rozmowy już po kilku zdaniach znalazło potwierdzenie przypuszczenie oficerów ochrony, że propozycja Bernsteina w rzeczywistości pochodziła od Niemców. Bernstein od lat był dostawcą towarów dla niemieckich wojskowych stacjonujących na terenie Konstantynopola i stąd miał świetne koneksje w ich lokalnej ambasadzie. Jeden z dyplomatów wymógł na nim, aby spróbował nawiązać kontakty z rosyjskimi rewolucjonistami, którzy za godziwe wynagrodzenie podejmą się zadania zniszczenia mostów na Wołdze w Syzranii w obłasti samarskiej, na Jenisieju w okolicach Krasnojarska oraz na trasie kolejowej w pobliżu Bajkału.

Uznając Konstantynopol za niebezpieczny dla funkcjonariuszy ochrony, Erhardt i Dolin zaproponowali Bałkany jako ewentualne miejsce negocjacji z Niemcami. Jednocześnie naciskali na Bernsteina w sprawie szybkich decyzji finansowych. „Mamy czterech towarzyszy w Londynie, którzy tylko czekają na rozkazy udania się do Rosji. Zaplanowaliśmy ich wyjazd drogą północną. Ładunki wybuchowe zakupią na miejscu. Dostaną wszelką pomoc od naszych towarzyszy

pracujących w zakładach amunicji w Jusowce [Jusowka to dzisiejszy Donieck]” – błagował Erhardt.

Kończąc spotkanie, Bernstein oświadczył rosyjskim „rewolucjonistom”, że pieniądze mają zagwarantowane i powinni przystąpić do natychmiastowego działania, bez dodatkowego spotkania. „To będzie najlepsza, najbardziej przekonująca wizytówka waszych rzeczywistych możliwości przeprowadzania operacji sabotażowych”. Na pożegnanie wypłacił Erhardtowi 300 franków na pokrycie kosztów podróży powrotnej do Londynu. Pieniądze te wraz z raportem trafiły do kasy oddziału ochrony w Paryżu.

Erhardt w kolejnych depešach do centrali prosił o operacyjne wsparcie, adres do korespondencji dla Dolina w Rosji celem zapewnienia stałego kontaktu z Bernsteinem oraz przepustki gwarantującej wolność podróży po całym terytorium carskiego imperium. Domagał się także, aby stołeczna gazeta w ściśle oznaczonym czasie opublikowała informację o kryminalnym ataku na most kolejowy. Aby uchronić Niemców od podejrzeń o ich udział w akcji sabotażowej, czego bardzo się obawiają, kilka dni później w tej samej gazecie winien pojawić się anons o aresztowaniu dwóch groźnych kryminalistów, którzy stali za atakiem. Artykuł winien się kończyć stwierdzeniem, że pomimo nadzwyczajnych wysiłków nie udało się aresztować wszystkich niecnych spraw-

ców. Na kolejnym spotkaniu w Rzymie Bernstein został przedstawiony nowemu towarzyszowi, Anatolowi (w rzeczywistości był to agent ochrony ppłk Anton Litwin), który jako doświadczony rewolucjonista i terrorysta „od zawsze” odgrywał rolę operacyjnego asystenta towarzysza Michaiła [płk. Erhardta].

Do pierwszego spotkania z rzeczywistym zleceniodawcą i płatnikiem doszło w Bukareszcie. Przybyły na miejsce oficer wywiadu niemieckiego uzgodnił z „anarchorewolucjonistami”, że na terytorium Rosji wjadą z – jeszcze neutralnej – Rumunii. Otrzymali od niego paszporty operacyjne. Od tej pory Dolin nazywał się René Ralph, a Litwin – Anatolij Linden. Dodatkowo otrzymali fundusze na podróże i pokrycie wydatków miejscowych „rewolucjonistów”, którzy gotowi byli udzielić im wsparcia na operacyjnie trudnym terenie, którym bez wątpienia była carska Rosja. Dolinowi wręczył kolejne 10 tys. franków celem przekazania tow. Michaiłowi. Kwota ta miała sfinansować koszty grupy mającej dotrzeć do miejsc zaplanowanych operacji północnym szlakiem. Za obopólną zgodą Bernstein pozostał jedynym pośrednikiem pomiędzy „anarchorewolucjonistami” a wywiadem niemieckim. Od tego momentu tryby akcji sabotażowych uznano za uruchomione.

Bomby wybuchają

Ludzie wyznaczeni przez centralę ochrony przeprowadzili autentyczne ataki bombowe na wyznaczone cele, które jednak w praktyce wyrządziły znikome szkody. Jednocześnie centrala uruchomiła swoich współpracowników w mediach rosyjskich oraz paryskich, które zgodnie z założeniami opublikowały wysoce przesadzone informacje o groźnych atakach „terrorystycznych”. Początkowa reakcja Niemców była pełna entuzjazmu i wiary w rzetelność działań zatrudnionych „anarchorewolucjonistów”. Jednak po niezbyt długim czasie zażądali natychmiastowego spotkania z Dolinem i Litwinem. Obydwaj mieli w trybie awaryjnym przybyć do Berna, gdzie niecierpliwie czekał na nich wojskowy attaché ambasad niemieckiej mjr Busso Otto Eduard Friedrich von Bismarck. Spełnili to życzenie. Na miejscu złożyli mu szczegółowe sprawozdanie z ataku na dwa mosty oraz fabrykę Ochta specjalizującą



Iłja Riepin „Aresztowanie propagandzisty” FOT. WIKIMEDIA COMMONS

się w produkcji uzbrojenia. Wzmianka o ataku na fabrykę wywołała gwałtowną reakcję Bismarcka, który w twarde słowach oświadczył, że incydent z fabryką Ochta nie był jakimkolwiek aktem sabotażu. „To był świadomie tak zaaranżowany wybuch, aby w żadnym wypadku nie wyrządzić jakichkolwiek strat. Jesteście zwykłymi kłamcami”.

Dolin i Litwin głośno zaprotowali przeciwko oskarżeniu o łgarstwo. Bismarck spokojnym głosem odparł, że zawsze wiarygodne niemieckie źródło informacyjne na terenie Rosji podało, iż wybuch był w pełni kontrolowany przez lokalny aparat bezpieczeństwa. Miał wywołać dużo huków bez jakichkolwiek strat materialnych i ludzkich. Ponieważ rosyjscy „anarchorewolucjoniści” upierali się przy swoim, Bismarck obiecał ponowne sprawdzenie informacji. „Jak otrzymam nowe szczegóły, to wywołam spotkanie” – zakończył rozmowę. Po kilku tygodniach braku łączności z Bismarckiem tym razem Dolin i Litwin zażądali ponownego widzenia, w trakcie którego dowiedzieli się od Niemca, że nie otrzymał nowych szczegółów i stąd w pełni podtrzymuje swoją decyzję o zakończeniu z nimi współpracy. „Nie mieliście i nie macie ochoty na solidną realizację uzgodnionych zadań. Jedyne, na czym wam zależało i zależy, to zarobienie na boku znacznych pieniędzy”.

To ostatnie zdanie upewniło Litwina, że Bismarck nie ma najmniejszego pojęcia o ich związkach z ochroną. Postanowił zaatakować Niemca. Udując totalne rozczarowanie i wściekłość, stwierdził, że może on sobie zatrzymać te swoje pieniądze. „Jesteśmy anarchistami i rewolucjonistami. Jesteśmy tutaj nie dla pieniędzy czy w celu udzielenia pomocy Rzeszy Niemieckiej. Naszym jedynym i niezmiennym celem było i jest zadawanie ciosów tyranii panującej w naszym kraju”.

Totalnie zaskoczony mjr Bismarck przeprosił ich za niestosowne słowa wypowiedziane chwilę przedtem. „Natychmiast wyślę depezę do Berlina z treścią adekwatną do zaistniałej sytuacji”. Kilka dni później, dokładnie 12 czerwca 1915 r., spotkali się ponownie. „Dowództwo w Berlinie zaaprobowало kontynuowanie operacji. Pozwólcie, że przedstawię wam pana Franklina A. Giacominię, który, zgodnie z życzeniem Berlina, będzie na co dzień z panami współpracował. Tą drogą unikniemy w przyszłości kolejnych



zgrzytów i nieporozumień”. Uściski dłoni zakończyły to spotkanie.

Chwilę później doszło do rozmowy między Litwinem, Dolinem i Giacominiem. Ten oświadczył, że jest Amerykaninem wspierającym wysiłki niemieckiej armii i planuje udać się do Petersburga, gdzie koniecznie chciałby spotkać się z pracownikiem Ochty, odpowiedzialnym za przeprowadzony akt sabotażu. Litwin, widząc, co się święci, z miejsca odparł, że nie zna nazwiska tej osoby, ale może zaproponować spotkanie z dr. Naumem Borysowiczem Liachowskim (oczywiście pan doktor był agentem ochrony), który mieszka przy Newskim Prospekcie pod numerem 35. „On jest naszym zaufanym towarzyszem, a jednocześnie wybitnym specjalistą od materiałów wybuchowych. Nie mamy wątpliwości, że on wszystko panu należycie objaśni”. Aby wzmocnić atmosferę tajemniczości, po chwili stanowczym głosem zażądał od rozmówcy, aby w żaden sposób nie doprowadził do zdrady związków wspaniałego towarzysza doktora z anarchokomunistami.

Ton wypowiedzi Litwina zrobił na Giacominiem należyte wrażenie. Dwa dni później przyniósł czek Reichsbanku na kwotę 10 tys. franków. Pieniądze miały wspomóc przygotowania i realizację kolejnych operacji sabotażowych. Tym razem Niemcy zażądali dokonania ataków bombowych na prywatny dom ministra spraw zagranicznych Sergieja Dimitrowicza Sazonowa, putiłowską fabrykę amunicji w Petersburgu oraz kilka kopalń węgla kamiennego w Zagłębiu Donieckim. Tuż przed wyjazdem Giacominię do Petersburga Dolin i Litwin zaznajomili go ze sposobem nawiązania kontaktu z dr. Liachowskim i zapoznali z niezbędnymi hasłami koniecznymi do upewnienia

się co do tożsamości rozmówców. Aby trzymać rękę na pulsie, Litwin również udał się do Petersburga, gdzie zamieszkał w hotelu Siewiernaja. W wysłanym do centrali tajnopisie podał spodziewany dzień przybycia Giacominię oraz opis jego sylwetki. Zaznaczył, że ów zna Petersburg jak własną kieszeń. Poprosił również o wprowadzenie do fabryki Ochta agenta ochrony, który mógł odgrywać rolę radykalnego anarchorewolucjonisty wspierającego od wewnątrz akcje sabotażu.

W Petersburgu Giacomini spotkał się z dr. Liachowskim. Zaczęły także wybuchać kolejne bomby. Pokaz sprawności „anarchorewolucjonistów”, czytaj ochrony, rozpoczął się w domu ministra Sazonowa. Straty były niewielkie. Runęła ściana, którą szybko odbudowano. Kolejna bomba wybuchła w Doniecku, rzekomo unieruchamiając wielką kopalnię na długi czas. Po każdym kolejnym pokazowym wybuchu ukazywały się w prasie francuskiej stymulowane artykuły. Niemcy byli zachwyceni. Wierząc w skuteczność Dolina, nie szczędzili pieniędzy.

Bismarck wpadł na pomysł, aby oprócz kampanii bombowej Dolin zajął się szerzeniem defetystycznej propagandy w szeregach Rosjan. Agent sprytnie zasugerował Niemcowi, że zaproponowane przedsięwzięcie nie mogłoby się udać bez jego aktywnej pomocy, a w tym bez ujawnienia metod już dotychczas stosowanych przeciwko Rosji. O dziwo, Bismarck przystał na te warunki. W czasie kolejnych spotkań ujawnił Dolinowi wiele wymierzonych w carską Rosję tajnych przedsięwzięć służb niemieckich. O szeregu z nich ochrona nie miała pojęcia. W wyniku doskonale prowadzonej przez funkcjonariuszy ochrony operacji opartej na podwójnych agentach Niemcy nie tylko stracili wiele ściśle strzeżonych tajemnic, lecz także mnóstwo pieniędzy. O rzeczywistej roli Dolina Niemcy dowiedzieli się dopiero w marcu 1918 r. w Brześciu Litewskim w trakcie negocjacji z Rosją sowiecką, których owocem było podpisanie traktatu pokojowego.

O tym wiemy na pewno. Nie znamy natomiast dalszych losów Dolina. Ślady urywają się w styczniu 1917 r., kiedy to Dolin wyjechał do Rosji celem przeprowadzenia kolejnej operacji zleconej przez niemiecki wywiad. Niektórzy twierdzą, że popełnił samobójstwo. Brak twardych dowodów otwiera furtkę do niekończących się spekulacji. © Wszelkie prawa zastrzeżone

XIX/XX w. / Wolta ideowa Tadeusza Grużewskiego

Groźny miraż pansławizmu



Marek Gałęzowski

**/ Pod pięknymi hasłami
o zjednoczeniu Słowian
kryły się imperialne
zakusy Moskwy**

Kilka lat przed wybuchem I wojny światowej w petersburskim mieszkaniu Władysława Żukowskiego, przemysłowca i pośła polskiego do rosyjskiej Dumy, doszło do spotkania w sprawie stanowiska, jakie Polacy powinni przyjąć wobec akcji neosłowiańskiej, czyli idei zjednoczenia Słowian pod rządami rosyjskimi. Początkowo, w czasie obiadu, prowadzono rozmowę na tematy niepolityczne, przezykaną anegdotami – jak wymijająco wyraził się jeden z uczestników – „odpowiednimi w towarzystwie męskim”. Następnie przy kawie politycy reprezentujący Koło Polskie w Dumie rozpoczęli dyskusję o problemie będącym przyczyną spotkania. Nie starali się oni przekonać zaproszonych przedstawicieli



RYS. KRZYSZTOF WRZĄKOWSKI

strony przeciwnej do swoich przekonań, do wspierania akcji panslawistycznej rosyjskiego zaborcy. Chcieli jedynie, by na czas rozpoczętych zabiegów dyplomatycznych zaprzestali oni ich zwalczania.

Przeciw kapitulacji

Posłom do rosyjskiego parlamentu odpowiedział Władysław Studnicki, który na zebraniu występował jako redaktor czasopisma „Votum Separatum”. Stanowczo uznał wszelkie działania propagujące panslawizm za szkodliwe, gdyż służyły one do „przeobrażenia narodu polskiego w materiał etnograficzny, słowiański, na rzecz Rosji”. Wbrew opinii adwersarzy Studnicki uważał, że „zakończenie akcji [przez władze carskie] nastąpi po dokonanych samobójstwie narodowym”. Dlatego, jak stwierdzał, „nie widzimy żadnej korzyści narodowej w zaniechaniu walki z akcją groźną dla samowiedzy narodowej”.

Ta wypowiedź w liczbie mnogiej mogła wydawać się nieco zaskakująca, gdyż Studnicki, ten samotny filar irredenty polskiej, jak nazwał go Tomasz Nałęcz, zwykle działał w pojedynkę. Tym razem jednak przybył w towarzystwie Tadeusza Grużewskiego, jednego z publicystów piszących do „Votum Separatum”.

Uzasadniający wzięcie udziału w akcji „słowiańskiej” politycy Koła Polskiego – narodowcy i konserwatyści – zwracali uwagę, że społeczeństwo polskie znajduje się pod władzą Rosji w bardzo ciężkich warunkach, nie mogąc uzyskać nawet samorządu. „Nie tylko sprawy polskiej, ale bieżących spraw gospodarczych i kulturalnych nie możemy ruszyć z martwego punktu. Otóż siłą motoryczną szeregu tych spraw jest akcja słowiańska” – przekonywał Żukowski. „Czy możemy uzyskać koncesje dzięki akcji słowiańskiej, czy nie – to przyszłość okaże. Nie ryzykujemy, właściwie nie mamy co ryzykować. Za kilka mów, rezolucji i oświadczeń uzyskamy, bardzo być

może, koncesje narodowe” – dodawał Jan Harusewicz.

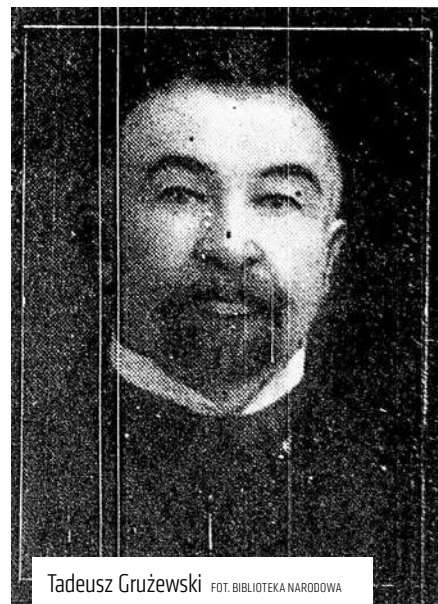
Zaproponowaną taktykę gwałtownie zaatakował jednak Grużewski: „Czego chcecie? – zawołał. – Obrócić sztandary narodowe na użytek gospodarski! Zrobi się z nich ścierki, a potem mają wrócić one znowu do godności sztandarów! Dewastujecie skarb świadomości narodowej, samą ideę narodową czynicie zbrukaną i ubogą. Czy będzie ona żywotna, gdy przyjdą wypadki wymagające poświęcenia i ofiary? To, co – pozornie – nie kosztuje nic, może kosztować całą przyszłość narodową. Wystawiacie na wiatry słowiańskie, niweczące polskość, nasze ziemie historyczne: Litwę i Ruś”.

W odpowiedzi na te słowa Władysław Grabski, 15 lat później premier polskiego rządu, wypowiedział głośną wkrótce opinię programową: „Nasze ziemie historyczne są już tylko historią i niewiele nas winny obchodzić. Wolę jedną parafię w Poznańskim niż cały powiat nowogrodzki”. Na to replikował Studnicki: „Nie wiem, jak oblicza wartość parafii poznańskiej p. Grabski i jak szacuje wartość naszego wschodu. Ale kto ma dać w zamian za jeden powiat wschodu jedną parafię w Poznańskim? Akcja słowiańska to akcja rezygnacji, nie zaś zdobyczy. [...] Zwalczamy akcję [panslawistyczną] i bezwzględnie wszystkich tych, którzy ze strony polskiej wezmą w niej udział. Czyj łeb wyłoni się z bagna słowiańskiego, uderzymy weń z całą siłą, z całą bezwzględnością”. W tej sytuacji rozmówcom pozostało pożegnać się, nie osiągnąwszy porozumienia.

Towarzysząc Studnickiemu w opisanym spotkaniu Tadeusz Grużewski jeszcze niedawno znajdował się w tym samym obozie co Grabski i Harusewicz. Urodzony w 1870 r. był sześć lat młodszym od Romana Dmowskiego, trzy lata od Józefa Piłsudskiego i Studnickiego. W 1898 r. został członkiem Ligi Narodowej, a rok później rozpoczął współpracę z jej głównym czasopismem politycznym – „Przeglądem Wszechpolskim”. Przez cały kilkuletni okres ukazywania się tego miesięcznika był jednym z czołowych jego publicystów, pisującym pod pseudonimem Topór. Szybko też zyskał w obozie narodowodemokratycznym rangę jego głównego specjalisty od spraw rosyjskich. Władysław Bułhak, znawca myśli politycznej tego środowiska, zauważył, że „najczęściej i najbar-

dziej kompetentnie pisywał o sprawach rosyjskich Tadeusz Grużewski, zdolny i płodny publicysta”.

Z racji zasiadania w redakcji „Przeglądu Wszechpolskiego” Grużewski nie tylko blisko współpracował z redaktorem



Tadeusz Grużewski FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

naczelnym pisma i jednocześnie liderem ruchu narodowego Romanem Dmowskim, lecz także zaprzyjaźnił się z nim. Znajomość zakończyła się w chwili, kiedy Grużewski zerwał z Narodową Demokracją w czerwcu 1907 r. Zdecydował o tym sprzeciw wobec prorosyjskiego kursu politycznego, jaki wówczas przyjął obóz narodowy.

Krótko przed tym Grużewski zaczął publikować w pismach wydawanych przez Studnickiego. „Pisarz świetny, myśliciel poważny, umysł do głębokiego wiercenia każdej kwestii usposobiony, przede wszystkim analityk. Pióro cięte i dowcipne” – tak ocenił go ten wybitny pisarz polityczny. W następnych latach Grużewski, „przekonany zwolennik ruchu niepodległościowego”, jak nazwał go Michał Sokolnicki, politycznie związał się z grupą innych byłych działaczy Ligi Narodowej – tzw. Frondą – którzy powołali Związek Niepodległościowy.

Później był jednym z założycieli powstałego w tym kręgu w lipcu 1914 r. tajnego Związku Patriotów, po rychłym wybuchu I wojny światowej opowiadającego się za walką o niepodległość po stronie Niemiec i Austro-Węgier. Nadal blisko współpracował ze Studnickim, ■

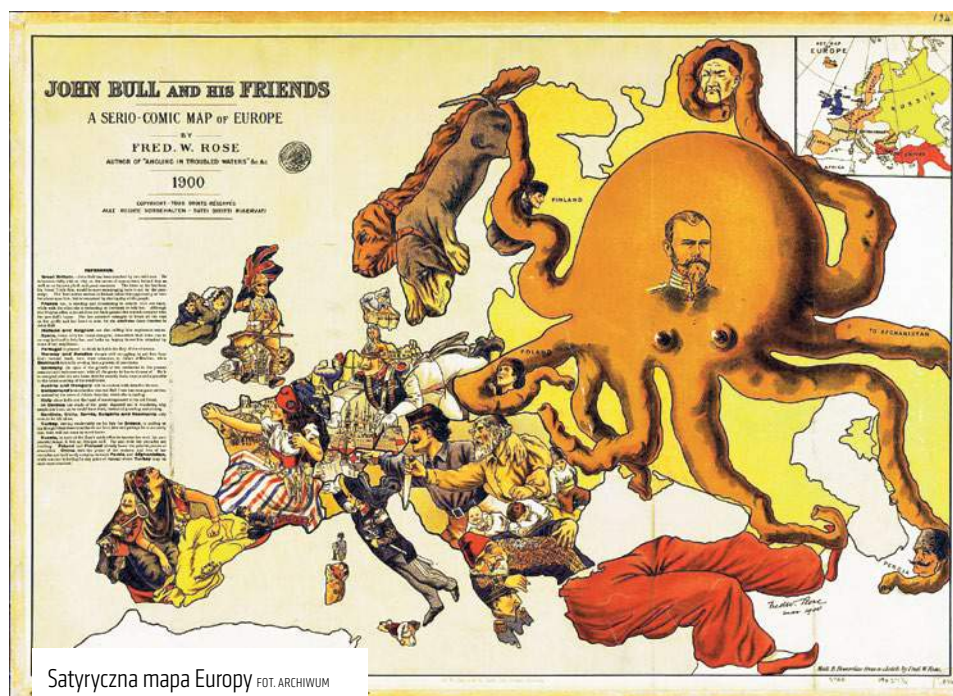
■ w 1916 r. wraz z nim zakładając Klub Państwowców Polskich. Publikował w czasopiśmie „Naród a Państwo”, organie tej niewielkiej organizacji aktywistów, jak nazywano zwolenników współpracy z państwami centralnymi przeciw Rosji.

Analiza Rosji

W swojej publicystyce Gruzewski zajmował się przede wszystkim problematyką współczesnego państwa rosyjskiego, publikując w pierwszych latach XX w. swoje najważniejsze prace poświęcone tej tematyce. Najobszerniejszą była „Państwowość rosyjska”, w 1902 r. opublikowana w kilku częściach w „Przeglądzie Wszechpolskim”, a dwa lata później w wydaniu książkowym.

Przeprowadziwszy szczegółową analizę wewnętrznych problemów Rosji (Wilhelm Feldman w swoich „Dziejach polskiej myśli politycznej” pisał, że „daje on [Gruzewski] po Henryku Kamieńskim najlepszą w publicystyce polskiej analizę psychologii Rosji”), sformułował prognozę, że jeżeli Rosja nie wyjdzie zwycięsko z wojny z Japonią, „to stanie przed okresem burz, przewrotów, głęboko sięgających wstrząśnień: żadne oko nie zdoła dzisiaj przeniknąć, dokąd i jak daleko mogą ją one zaprowadzić, jedno tylko zdaje się być wykluczone – spokojny, organiczny rozwój”. Jak wiadomo, wojna z azjatyckim cesarstwem zakończyła się upokarzającą klęską monarchii Mikołaja II. W tym momencie rozpoczął się proces, który przewidywał polski pisarz.

Liczne spośród przenikliwych spostrzeżeń autora „Państwowości rosyjskiej” dotyczących zarówno polityki władz rosyjskich, jak i ich radykalnych, rewolucyjnie nastawionych przeciwników, zbieżnego u jednych i drugich stosunku do kultury i cywilizacji europejskiej ćwierć wieku później z wielką erudycją zostały rozwinięte i uzasadnione w wielkim dziele Jana Kucharzewskiego. Musiał on znać twórczość Gruzewskiego, a najpewniej także osobiście samego „Topora”. Obaj działali w Narodowej Demokracji i mniej więcej w tym samym czasie oraz z tych samych powodów z nią zerwali, obaj publikowali w pismach Studnickiego. A jednak nazwiska Gruzewskiego nie znajdziemy w żadnym z siedmiu tomów „Od białe-



Satyryczna mapa Europy FOT. ARCHIWUM

go caratu do czerwonego”. Co prawda, Kucharzewski urwał swoje dzieło na czasach panowania Aleksandra III, gdy rozważania Gruzewskiego zaczynały się od tego momentu w dziejach Rosji. To jednak nie tłumaczy tego zadziwiającego pominięcia.

Refleksja nad współczesnym państwem rosyjskim, jego ustrojem politycznym i życiem społecznym, relacjami rządzącymi z rządzonymi, polityką

Cieszył się mirem wśród młodzieży zarzewiackiej, która po zerwaniu z ruchem narodowym utworzyła Polskie Drużyny Strzeleckie

zagraniczną i formułowanie prognoz dotyczących ekspansji imperium carów nie wyczerpywały tematyki prac Gruzewskiego. Interesował się polityką globalną – wszechświatową, jak ją ówczesnie nazywano. Pisał o polityce polskiej w dobie niewoli ze szczególnym uwzględnieniem relacji polsko-rosyjskich czy raczej wpływu niewoli rosyjskiej na postawy polityczne społeczeństwa polskiego, o postawach politycznych

Polaków, poczynawszy od upadku Rzeczypospolitej, a skończywszy na pierwszych latach XX stulecia. Znajdziemy w jego refleksji poglądy dotyczące państwa, ustroju politycznego i relacji jednostki ze zbiorowością w podejmowaniu decyzji politycznych, a także uwagi odnoszące się do znaczenia tradycji i postępu w rozwoju narodowym.

Krytycznie początkowo odnosił się do idei walki zbrojnej o niepodległość Polski: „Program powstańczy uważamy w chwili obecnej za nadzwyczaj szkodliwy: u inteligencji, nie mając żadnego oparcia w rzeczywistości, otwiera on drogę błędzie i frazeologii, jakich przykłady zbyt często oglądamy, odwraca uwagę od pracy realnej, która właśnie szuka sobie dróg działania poza akcją zbrojną; wśród ludu program powstańczy wytwarza przesadne nadzieje natychmiastowe, po których przyjść musi niepożądana reakcja. Należy przejąć się myślą walki i pracy legalnej i nielegalnej, nauczyć się ją prowadzić stale, hartować w niej i zaprawiać ogół tą drogą, wzmacniając się wewnątrz, dezorganizować i osłabiać politykę rządów zaborczych, zmuszając je nawet do ustępstw [...]. Wchodzimy w fazę stałego uporczywego męstwa, które jedynie może naprawdę zwyciężyć”.

W chwili narodzin irredenty polskiej w zaborze austriackim zmienił te poglądy, wspierając ją swoim piórem. Wiado-

mo, że cieszył się dużym autorytetem wśród wywodzącej się z ruchu narodowego młodzieży zarzewiackiej, która po zerwaniu z tym obozem utworzyła Polskie Drużyny Strzeleckie.

O demoralizującej naród niewoli

W myśli polskiej irredenty najciekawsze wydawały się teksty Gruźewskiego, w których przedstawił konsekwencje niewoli rosyjskiej. Szczególnie podkreślał jej negatywne oddziaływanie na rozwój narodowy społeczeństwa polskiego, przekonująco uzasadniając pogląd, że „panowanie rosyjskie zaszczerpiło w nas kulturę nieodpowiedzialności i hodo- wało ją w ciągu długich dziesięcioleci [...] Trzeba nareszcie zrozumieć fakt, że długa niewola stwarza w swych ofiarach patologiczną ideologię i że głównymi ry- sami niewolniczej psychologii są niezdol- ność do samodzielnego czynu i głęboka obłądka wewnętrzna”.

Nie podzielał złudzeń co do możli- wości zmiany polityki rosyjskiej wobec Polaków. Wszak nawet „liberalni Moska- le godziliby się na autonomię Polski, ale pod warunkiem, że oni będą jej stróża- mi, opiekunami i ekspertami, że Polacy nie będą z niej korzystali w sposób, któ- ry by zasługiwał na naganę tych opieku- nów”. Dążąc w przeszłości do panowania nad narodem polskim, „świadomie lub nieświadomie dążyli do tego, ażeby mu odebrać wszelkie pierwiastki przewagi moralnej oraz wyższej kultury i zrobić z niego bierną masę, której łatwo na- rzucić niewolę. Dwa narzędzia, którymi posługiwał się najazd moskiewski jesz- cze za czasów niepodległej formalnie Rzeczypospolitej – to postrach i korup- cja [...]. To wszystko urabia podwładnych na masę niewolniczą i wytwarza w niej stosowne nałogi. Chroniczny strach jest czymś upadającym, do czego wstyd się przyznawać. I oto za cnotą niewolników idzie też w tropy głęboki fałsz: wmawia- ją oni w siebie i w innych, że czynią to lub tamto nie z bojaźni, lecz z przekonania”. Reasumując, niewola rosyjska „była to stopniowa degradacja społeczeństwa – zduszenie, wyeliminowanie i wyko- ślawienie jego wyższych pierwiastków, przystosowanie do warunków niewolni- czej egzystencji”.

Dlatego przekonanie, „jakoby Moskale nie byli dla nas niebezpieczni, gdyż sto- ja na niższym stopniu kulturalnym i ulegają pod tym względem naszemu wpły- wowi”, uznawał Gruźewski nie tylko za niedorzeczne, lecz także za bardzo niebezpieczne. „W tym optymistycznym zapatrywaniu, ignorującym ogrom doko- nanej dewastacji moskiewskiej, widzimy właśnie wymowny przykład moralnego i umysłowego przystosowania do istnie- jącego stanu, do niewolniczego bytowa- nia”. Wszak, co zdecydowanie podkreślał autor „Państwowości rosyjskiej”, „musi- my raz wreszcie zrozumieć, że rząd ro- syjski i żywiłowo, i świadomie dąży do tego, aby nam odebrać zasadnicze cechy społeczeństwa cywilizowanego”. Wśród skutków jego oddziaływania wymie- niał: atomizację społeczną, niezdolność



Mikołaj II FOT. WIKIPEDIA

do działań zbiorowych, zanik poczucia godności i odrębności narodowej; „wyja- ławia [ono] umysłowość naszą, słowem spycha naród do roli plemienia”.

Pisma Tadeusza Gruźewskiego są świadectwem, jak temuż niewolnicemu bytowaniu przeciwdziałał on swoim słowem, jak precyzyjnie wskazywał jego demoralizujące konsekwencje: „Na pod- łożu niewolniczej psychologii rodzą się bujnie niewolnicze myśli i zapatrywania. Wszystkie one na ogół zmierzają do reha- bilitacji niewoli; nieraz nawet pod pozo-

rem lekceważenia usiłowano panowanie rosyjskie uwolnić od najbardziej uzasad- nionych i najcięższych oskarżeń. O ile chętnie w szerokich kołach rozprawiano o ucisku moskiewskim, o nienasyconej chciwości i rusyfikacyjnych pomysłach czynowników, o tyle skwapliwie omijano przykry, lecz nieporównanie ważniejszy temat – moralny upadek społeczeństwa, jako rezultat długotrwałego, deprawują- cego jarzma. Właśnie ulubionym przesąd- dem inteligencji polskiej było twierdzenie, że władza moskiewska w naszym kraju jest niewątpliwie przykra i uciążliwa, lecz nie może wywierać większego wpływu, a tym mniej urabiać uczuć, instynktów, myśli i wyobrażeń naszego społeczeń- stwa. To wszystko rozwija się rzekomo niezależnie od władzy moskiewskiej i całego systemu regulowanych przez nią stosunków” – pisał ku przestrodze.

Po odzyskaniu niepodległości Polski Tadeusz Gruźewski pracował jako urzęd- nik Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, a po przejściu na emeryturę wykładał w Wyższej Szkole Dziennikarskiej. Nadal zajmował się publicystyką polityczną (pisał m.in. do związanego z piśmudczyka- mi „Głosu Prawdy” i „Epoki”), aczkolwiek nie opublikował już żadnej tak obszernej pracy jak w okresie pierwszych lat XX stulecia. Zmarł po ciężkiej chorobie, rok przed wybuchem II wojny światowej.

Kilka lat temu prace Gruźewskiego zostały wznowione w wyborze Prze- myśława Dąbrowskiego w serii „Biblio- teka Klasyki Polskiej Myśli Politycznej” wydawanej przez krakowski Ośrodek Myśli Politycznej. Warto poznać zawar- te w nich poglądy tego znakomitego pisarza politycznego, który u progu XX w. zauważał: „W sądach o Rosji skłonni jesteśmy zanadto iść za opinią europejską, zapominając o tym, że na Zachodzie właściwie mało znają naszych wschodnich sąsiadów. Wielu autorom [...] zbywa wprost na zdolności pochwycenia znamiennych rysów psychiki rosyjskiej, zwłaszcza zbiorowej, na odczuciu całej przepaści duchowej, dzielącej państwo carów od cywilizacji europejskiej [...] My, Polacy, mamy z wielu względów więk- szą łatwość badania i rozumienia Rosji niż np. Niemcy albo Francuzi, mamy też większą potrzebę dokładnej pod tym względem znajomości”.

Autor jest doktorem habilitowanym, profesorem Uczelni Łazarskiego.



Maciej Rosalak

/ Uderzenie z Kosmosu doprowadziło do zagłady mastodontów i prehistorycznych Indian

Potop opisany w Biblii, który wydarzył się pod koniec pierwszej połowy VI tysiąclecia p.n.e., miał wpływ (również dosłowny!) na bliskowschodnie cywilizacje. Obecnie uczeni szukają potwierdzenia hipotez dotyczących poprzednich potopów, których z pewnością „było wiele” – jak mówił egipski kapłan w platońskim dialogu „Timajos”. Istotny dla nas jest zwłaszcza ten, który bezpośrednio poprzedzał czarnomorski potop „biblijny”.

Ów poprzednik odsłonił zapewne oglądane dziś przez nas białe klify Dover, a być może zniszczył też Atlantydę, kolebkę pracywilizacji na naszym kontynencie, czym zakończyłem artykuł „Jak Brytania stała się wyspą” w numerze 73. „HDR”. Zawarłem w nim opis wielkiego potopu, do którego oczywiście nie doszłoby, gdyby wcześniej masy wody nie zostały zmagazynowane w olbrzymich lodowcach, jakie powstają na Ziemi w okresach oziębienia. Jak jednak ok. 12 850 lat temu (inaczej mówiąc, ok. 10 850 r. p.n.e., czyli na początku XI tysiąclecia p.n.e.) doszło do nagłego, a tak dotkliwego oziębienia naszej planety, że możemy mówić o wystąpieniu małej epoki lodowcowej?

Zimny dryas

Epokę tę określono także jako zimną fazę młodszego dryasu albo – bardziej przystępnie – ostatni epizod ostatniego zlodowacenia. Dryas to dębik ośmiopłatkowy (*Dryas octopetala*), który rośnie w tundrze i na obszarach górzystych, w klimacie polarnym. Dlatego więc pyłek owej krzewinki znajdowano w osadach sprzed niemal 13 tysięcy lat w rejonach odległych od strefy podbiegunowej?

Otóż właśnie w tamtym czasie doszło do nawrotu epoki lodowcowej. Koniec tej

12,8 tys. lat temu / Ostatni epizod ostatniego zlodowacenia

Kometa, lód i potop

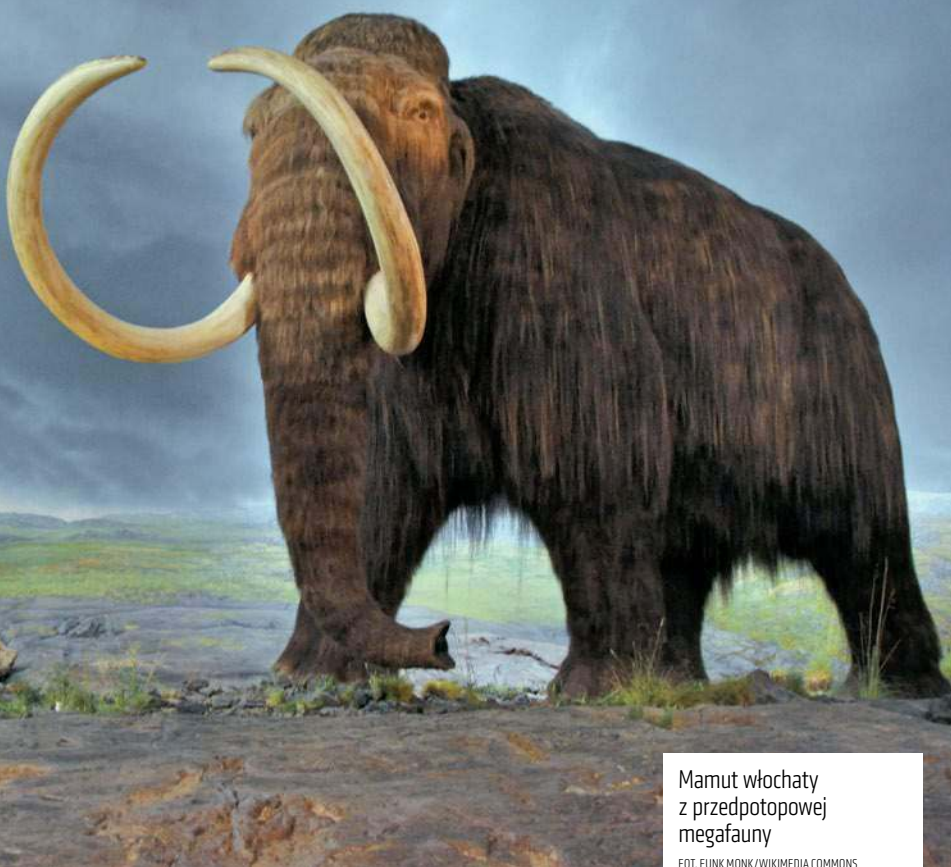
zimnej fazy młodszego dryasu nastąpił ok. 11 650–11 700 lat temu, a więc trwała ona nieco nawet dłużej niż państwo polskie. Przez ponad 10 wieków poprzedzających ocieplenie epoki holocenu mróz szybko ogarniał rozległe północne i południowe połacie obu Ameryk, północnej Azji i Europy, pokrywając je lądolodem oraz wywołując transgresje lodowców górskich.

Transgresja to przyrost masy lodu większy od jego ubytku podczas topnienia, co powoduje, że jezory lodowe stale posuwają się naprzód, a lodowe rumowisko, pełne porwanych skał i piasku, wylewa się z górskich dolin. Zjawisko to wystąpiło w Alpach, Pirenejach, Apeninach, na Wyspach Brytyjskich, w Skandynawii i Tatrach, ale także np. w Tybecie i Chile.

O mrozie, który wówczas zapanował na Ziemi, świadczą analizy rdzeni lodowych wydobytych na Grenlandii. Otóż w okresie młodszego dryasu temperatura spadała tam aż o 15 st. C, a na całym globie obniżyła się 5–7 st. C. Mimo że temperatura miała wartość charakterystyczną dla okresów maksymalnego

zlodowacenia, lodowce nie osiągnęły jednak tak wielkich rozmiarów. Fakt ten wynikał z dużej rozpiętości temperatur zimy i lata w dryasie. Ponieważ właśnie lato ma większy od zimy wpływ na powiększanie i zmniejszanie lodowców, zlodowacenie tego okresu nie dorównało glaciałom plejstocenu o najdalszym zasięgu.

Skutki dla życia na Ziemi były jednak dotkliwe i niewątpliwie wpłynęły na losy wspólnot ludzkich. Ostatni epizod ostatniego zlodowacenia, a następnie wielka odwilż i wielki potop doprowadziły do wymarcia kilkudziesięciu gatunków zwierząt, zwłaszcza wśród licznej wcześniej megafauny. Zniknęły gatunki mastodontów i mamutów, szczególnie zaś imponujący rozmiarami i kłami mamut włochaty. W jego ślady poszły nosorożec włochaty i tygrysy szablozębne, naziemne leniwe wielkości słoni i ważące tonę pancerniki z ogonami zakończonymi maczugą. Do zaniku wielkich roślinożerców przyczyniły się zapewne w jakiejś mierze polowania ludzi, ale praprzyczynę stanowiły zmiany klimatyczne.



Mamut włochaty z przedpotopowej megafauny

FOT. FUNK MONK/WIKIMEDIA COMMONS

wspólnot ludzkich na Bliskim Wschodzie. O ich istnieniu przekonują m.in. wykopiska na terenie dzisiejszego Izraela (Hayonim, El-Uad, Rosz Zin, Rosz Hore-sza). Świadczą one o tzw. wyjściu z jaskiń do obozowisk otwartych. Zimniejszy i bardziej suchy klimat miał powodować konieczność stosowania wyższej niż dotąd kultury rolnej polegającej już nie na zbieractwie, lecz na celowej pielęgnacji roślin. W Izraelu odkryto też dowód na udomowienie psa, znajdując (Ein Malla-ha) pochowane razem szczątki człowieka i psiego szczeniaka sprzed 12 tys. lat.

Zarówno rolnicy z Bliskiego Wschodu, jak i myśliwi oraz zbieracze z Europy nie mieli oczywiście najmniejszego pojęcia o istnieniu Paleoindian za wielką wodą na zachodzie. O tym, jak jedni i drudzy, nieświadomi istoty ogólnoswiatowych zmian klimatycznych, ponosili ich skutki, przekonują badania szwajcarskiego przyrodnika Louisa Agassiza. Stwierdził on istnienie w interesującym nas okresie ogromnego jeziora (nazwanego później jego imieniem) w Ameryce Północnej. Rozlewało się ono na obszarze 134 tys. km kw. przed czołem lądolodu, na pograniczu dzisiejszych USA i Kanady, na południowy zachód od Zatoki Hudsona i na północny zachód od Wielkich Jezior. Nadmiar wody spływał z niego rzekami i – zapewne – wymienionymi akwenami do Atlantyku, aż wreszcie do oceanu wylało się całe jezioro – 9,5 tys. km sześć!

Według hipotezy innych uczonych z 1976 r. taka ilość lekkiej słodkiej wody na długi czas spowolniła lub odwróciła bieg słonowodnego Prądu Zatokowego, niosącego ciepło Europie, i stała się główną przyczyną oziębienia na półkuli północnej. Bardziej spektakularną przyczynę zapanowania wielkiego chłodu – opartą na dokonanych 30 lat później odkryciach – podał uczony z Uniwersytetu w Berkeley, Richard Firestone, w 2007 r. Jego zdaniem ostatni epizod ostatniego zlodowacenia spowodowało potężne uderzenie z Kosmosu.

Kometa Clovis

Firestone wraz ze swym zespołem badaczy odkrył mianowicie sferule i nanodiamenty w warstwach osadów sprzed niemal 12,9 tys. lat. Odkrycie poruszyło go, gdyż sferule są mikroskopijnymi kuleczkami szklawa, które powstają

Paleoindianie, którzy zasiedlili Amerykę

FOT. DE AGOSTINI/GETTY IMAGES



Tym tłumaczy się też zniknięcie w Ameryce pradawnej kultury, nazwanej od miejsca pierwszego znaleziska na terenie Nowego Meksyku kulturą Clovis. Rozwijała się ona 13 tys. lat temu na terenie właściwie całej Ameryki, o czym świadczą stanowiska w Wirginii, Massachusetts, na Alasce, w Meksyku i Ameryce Środkowej. Często wśród kości zwierząt upolowanych przez Paleoind-

dian znajdowano obrobione narzędzia kamienne, z których szczególnie liściaste groty strzał i dzid wymagały sporych umiejętności. Jeśli zniknęły z powodu nagłych zmian klimatu, to co wywołało owo oziębienie?

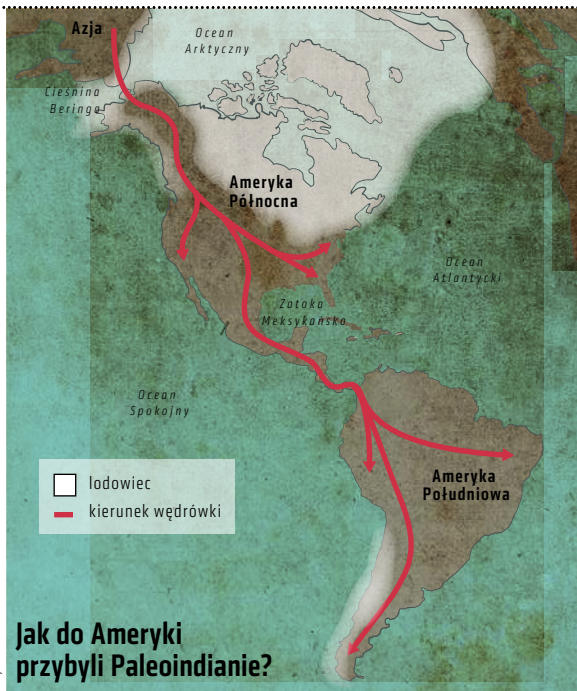
Niektórzy uczeni w ochłodzeniu światowego klimatu lat 12 850–11 650 upatrują również przyczynę rozwoju rolnictwa i wykształcenia się osiadłych

■ ze skał roztopionych podczas uderzenia meteorytu. Znaleziono przez Firestone'a zawierały mikrocząstki żelaza, krzemionki i irydu, który niemal nie występuje na Ziemi poza tym przynoszonym na nią w ciągu milionów lat przez komety, asteroidy i meteory. Drobinę diamentów – nanodiamenty – są również przynoszone z Kosmosu (ich nazwa pochodzi od jednostki miary – nanometru – czyli jednej milionowej milimetra). Odkrycia były tym bardziej interesujące, że dokonano ich na 10 spośród 12 stanowisk badawczych. Na jednym z nich znajdowano zarazem artefakty kultury Clovis...

Ponieważ wiek osadów oraz początek lodowcowego okresu młodszego dryasu nakładały się na siebie, Firestone wysnuł prosty wniosek: oziębienie zostało wywołane przez nieproszzonego, kosmicznego gościa. Nad powierzchnią Ziemi – prawdopodobnie nad dzisiejszą Kanadą – rozerwała się kometa. Eksplozja poruszającego się z prędkością 50 km/s ciała niebieskiego wytworzyłaby temperaturę sięgającą 2000 st. C – wystarczającą do topienia ziemskiej powierzchni. Pyły wywołane eksplozją zasnułyby atmosferę, ograniczając światło słoneczne do tego stopnia, że na naszym globie zapanowałoby długotrwałe ochłodzenie.

Nagłe zmiany klimatu zaskoczyły nieprzygotowane na to zwierzęta i nieprzygotowanych ludzi. Po tysiącu lat, gdy wraz z opadnięciem pyłów nastąpiło ocieplenie, nadejść musiała kolejna katastrofa: topnienie lodowców, podniesienie licznych obszarów lokalnymi potopami. Jeśli jakieś gigantyczne zwierzęta oraz ludzie kultury Clovis przeżyli w Ameryce kataklizm kosmicznego uderzenia oraz lody młodszego dryasu, to teraz walczyliby o życie z wielką powodzią...

Jak każda nowa teoria, również odkrycia i wnioski Firestone'a wywołały niedowierzanie i protesty w środowisku paleoarcheologów. Todd Surovell z Uniwersytetu Wyoming powtórzył badania kolegi z Berkeley na siedmiu stanowiskach kultury Clovis i w 2009 r. ogłosił, że żadnych sferul tam nie było. Jednak Malcolm LeCompte z Elizabeth City State University we współpracy z Albertem Goodyearem (Uniwersytet Karoliny



Południowej) wykazali na łamach „Proceedings of the National Academy of Sciences” błędy metody Surovella. Otóż szukał on sferul pod artefaktami kultury Clovis, a nie zadał sobie trudu poszukiwań wokół nich. Artefakty działały zaś jak tarcze ochronne znajdującej się pod nimi gleby. – Tam, gdzie Surovell nie znalazł sferul, my doszukaliśmy się setek, a nawet tysięcy – oświadczył LeCompte. Przeświadczenie o uderzeniu z Kosmosu jako przyczynie ostatniego epizodu ostatniego zlodowacenia podzielał naukowcy z Uniwersytetu Harvarda z Michaiłem Petaevem na czele.

Ślady kosmicznego impaktu sprzed – jak dokładnie uściślono – 12 835 lat odkryto na czterech kontynentach, w 12 krajach, w 30 miejscach. Wprawdzie nie znaleziono krateru – miejsca uderzenia komety czy asteroidy – ale, jak wiadomo choćby z badań nad tzw. meteorytem tunguskim, który rozerwał się nad Syberią w 1908 r., krater wcale nie musi powstać. Ci, którzy jednak szukają krateru, sądzą, że prawdopodobnym miejscem katastrofy jest – dziś wysychające – jezioro Cuitzeo w środkowym Meksyku, na którego dnie także odnaleziono stopione skały i nanodiamenty.

Powrót na Atlantydę

Im więcej archeolodzy, geolodzy i astrofizycy – a także paleontolodzy,

hydrologi, klimatolodzy i badacze innych pokrewnych dziedzin nauki – dowiadują się o tym intrygującym przedśmionku historii, jakim był okres między XIII a IX tysiącleciem, tym bardziej nasuwają się pytania, na które odpowiedzi powinni udzielić historycy. Dla tych, którzy są przygotowani jedynie do krytycznej oceny źródeł pisanych, to oczywiście ciągle za mało.

Przyjmując jako bezsporny fakt wybuch Wezuwiusza w 79 r. n.e. nie tyle ze względu na wykopaliska w Pompejach, ile na opis erupcji wulkanu, podczas której zmarł Pliniusz Starszy, a opisał ją – na prośbę Tacyta – Pliniusz Młodszy.

Gorzej z wydarzeniami, których nikt nie opisał. Wtedy dostosowuje się do nich znane przekazy, dotyczące całkiem innych zdarzeń, i powstaje taka narracja badaczy dziejów, jaką słyszałem podczas studiów na temat Atlantyd. Ponieważ nie wiedzieli, co zrobić z platońskim przekazem o jej istnieniu i zagładzie, z nader uczonymi minami przypisali ją do wybuchu znanej wulkanicznej wyspy greckiej: Thery, zwanej dziś Santorynem, leżącej w archipelagu Cyklady. Założyli przy tym, że Platon – wybitny umysł, obywatel ateńskiego narodu żeglarszy – nie odróżniał Morza Śródziemnego od Atlantyku ani nie wiedział, co to są gibraltarskie Słupy Heraklesa.

Przypomnijmy, że Platon zapisał to, co mówił Timajos, a co ten usłyszał od swego przodka Kritiasa, a ów z kolei od samego Solona, ateńskiego mędrca i prawodawcy, któremu informacje o Atlantydzie przekazali egipscy kapłani. Egipski kapłan – zwracając się do Greka – tak opisuje położenie Atlantyd:

„Pisma nasze mówią, jak wielką niegdyś państwo wasze złamało potęgę, która gwałtem i przemocą szła na całą Europę i Azję. Szła z zewnątrz, z Morza Atlantyckiego. Wtedy to morze tam było dostępne dla okrętów. Bo miało wyspę przed wejściem, które wy nazywacie Słupami Heraklesa. Wyspa była większa od Libii [czyli północnej Afryki] i od Azji [czyli Anatolii] razem wziętych. Ci, którzy wtedy podróżowali, mieli z niej przejście do innych wysp. A z wysp była droga do całego ładu, leżącego naprzeciw, który ogranicza tamto prawdziwe morze.

[...] Otóż na tej wyspie, na Atlantydzie, powstało wielkie i podziwu godne mocarstwo pod rządami królów, władające nad całą wyspą i nad wieloma innymi wyspami i częściami lądu stałego. Oprócz tego, po tej stronie tutaj oni panowali nad Libią aż do granic Egiptu i nad Europą aż po Tyrrenię [zapewne Toskanię]. Cała potęga zjednoczona próbowała więc raz jednym uderzeniem ujarzmić wasz i nasz kraj i całą okolicę Morza Śródziemnego.

[...] Później przyszły straszne trzęsienia ziemi i potopy i nadszedł jeden dzień i jedna noc okropna – wtedy całe wasze wojsko zapadło się pod ziemię, a wyspa Atlantyda tak samo zanurzyła się pod powierzchnię morza i zniknęła. Dlatego i teraz tamto morze jest dla okrętów niedostępne i niezbadane; bardzo gęsty muł stanowi przeszkodę – dostarczyła go wyspa, zapadająca się na dno”.

W innym miejscu dialogu dowiadujemy się natomiast o czasie wydarzenia:

„Dziewięć tysięcy lat minęło, odkąd podanie przekazało wojnę między tymi, co mieszkali poza Słupami Heraklesa, a tymi wszystkimi, co po naszej stronie”. Zwraca uwagę nie tylko umiejscowienie Atlantydy w czasie i przestrzeni, lecz także wspomnienie Atlantydy jako „morza prawdziwego” oraz „ziemi, która je ogranicza całkowicie”, a „naprawdę i najsłuszniej może się nazywać lądem stałym”. A cóż to innego, jeśli nie Ameryka?

Bajka? Mit bez znaczenia źródłowego? Coraz bardziej przekonująco brzmi teoria o wielkiej kulturze megalitycznej, która już przed 11 tysiącleciami rozwijała się w zachodniej Europie i która stamtąd – nie odwrotnie! – docierała do krain basenu Morza Śródziemnego. Znamy ją przede wszystkim ze słynnych ogromnych głazów Stonehenge w południowej Anglii, ustawionych w intrygujący krąg – prawdopodobnie o znaczeniu astro-nomiczno-mistycznym – 5 tys. lat temu. Wcześniej o 400 lat od Wielkiej Piramidy Cheopsa w Gizie... A przecież jeszcze starsze, bo sięgające 7 tys. lat wstecz, są megality w Bretanii i na Półwyspie Iberyjskim. 6 tys. lat liczą megality na Malcie.

Jak piszą Krzysztof Kowalski i Zygmunt Krzak („Echa Atlantydy”): „Cały kompleks najbardziej zasadniczych pomysłów, takich jak kosmiczno-religijna koncepcja świata odzwierciedlonego w górze kosmicznej i kręgach, przejawiający się manifestacjami tej

miary, co piramidy i zikkuraty – istniał na Zachodzie, zanim powstały pierwsze bliskowschodnie cywilizacje. W »turystycznym« pojmowaniu starożytności nie ma nic bardziej egipskiego niż piramidy i nic bardziej babilońskiego niż zikkuraty, i te właśnie elementy wydają się być pożyczkami z kręgu kultur megalitycznych...”.

Właśnie prof. Zygmunt Krzak z Instytutu Archeologii i Etnologii PAN, autor fundamentalnych dla nauki dzieł „Megality Europy” i „Megality świata”, w fascynujący sposób ujął kwestię Atlantydy: „Archeologia przyznaje prospektorom [niem. poszukiwaczom] megalitycznym status specyficznej cywilizacji nadmorskiej,

a następnie – potopu. W numerze 73. „HDR” pisałem o powstaniu Cieśniny Kaletańskiej po przełamaniu kredowej zapory przez wody wzbierające w Morzu Północnym. Pamiętajmy, że w okresie dryasu nasz Bałtyk był słodkowodnym Jeziorem Lodowym o znacznie niższym poziomie wód od dzisiejszego morza i dopiero po ociepleniu klimatu oraz ustąpieniu lądolodu skandynawskiego w okresie między 10 a 9 tys. lat temu wypełnił się wodą do tego stopnia, że – jako Morze Yoldiowe – uzyskał połączenie z Morzem Północnym.

Po zakończeniu ostatniego zlodowacenia poziom oceanu światowego podniósł się o 100 m. Pod wodą znalaz-



Wizja uderzenia asteroidy w glob ziemski

FOT. DON DAVIS/NASA/WIKIMEDIA COMMONS

skiej, penetrującej wybrzeża, lecz nie ma jasnego poglądu w sprawie rodowodu tych żeglarzy. Wrysowanie Atlantydy w mapę starożytnego świata rozjaśniłoby tę kwestię. Zniknęłoby wrażenie, że pojawili się nagle i jak gdyby znikąd. Można by traktować ich jako spadkobierców dawnego centrum, którzy przechowali idee oraz część umiejętności mieszkańców zaginionej oceanicznej wyspy”. Pozostaje oczywiście pytanie, gdzie szukać śladów tej wyspy. Bezsporna odpowiedź jest kwestią czasu, odpowiednich środków oraz profesjonalnych uczonych i poszukiwaczy.

Problem Atlantydy wpisuje się w pasjonujące zagadnienie prehistorii ludzkich cywilizacji okresu ostatniego epizodu ostatniego zlodowacenia,

zły się wielkie lądy na Pacyfiku. Jeden – zwany przez badaczy Sunda – miał łączyć Indochiny i wyspy Indonezji. Drugi – Sahul – wraz z wyspami Nowej Gwinei, Australii i Nową Zelandią tworzył prawdopodobnie jeden kontynent. Pole do wysunięcia hipotezy o istnieniu prehistorycznej kultury, podobnej do zachodnioeuropejskiej cywilizacji megalitycznej, otworzyły badania japońskiego geologa prof. Masaakiiego Kimury nad kamiennymi formacjami zatopionymi w pobliżu wyspy Yonaguni. Zdaniem profesora głazy tworzyły konstrukcję tarasów i schodów o długości 200 m i wysokości 25 m. Siegała by dachu dzisiejszego ośmiopiętrowego bloku mieszkalnego...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Studenckie żarty w przerwie
ćwiczeń Legii Akademickiej.
Zdjęcie z 1938 r. FOT. NAC

/ Polscy żołnierze nie tylko przelewali krew za ojczyznę. Znajdowali również czas na żarty i psoty

II wojna / Nowa książka Zbigniewa S. Siemaszki

Humor w Wojsku Polskim

Nic tak nie szkodzi historii jak zadęcie, brak dystansu do samego siebie i poczucia humoru. Niestety, wszystkie te cechy często występują w naszej historiografii. W efekcie wiele książek, które dotyczą – wydawałoby się – ciekawych tematów, zamiast zainteresowania wywołuje tylko dłuuuuże ziewnięcie.

Dlatego z taką przyjemnością przeczytałem książkę najwybitniejszego polskiego historyka emigracyjnego Zbigniewa S. Siemaszki. Przyjemnością? Nie, to za mało powiedziane. „Wojsko od podszewki” czytałem przez pół nocy, raz po raz wybuchając śmiechem, co spotkało się w końcu ze zdecydowaną reprimendą ze strony reszty domowników. Daj, człowieku, wreszcie pospać!

Książka to zbiór kapitalnych anegdot dotyczących armii II Rzeczypospolitej i Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Autor wiele z nich zna z autopsji, sam bowiem był żołnierzem armii gen. Władysława Andersa, a potem stacjonował w Wielkiej Brytanii. Dość już jednak tego gładzenia. Oto garść przykładów, które pozwolą państwu poznać klimat „Wojska od podszewki”.

Przed komisją poborową stał Żyd przechrzt. Lekarz wojskowy nałożył okulary, przypatrzył mu się dokładnie i powiedział:

– Coś tu jest nie w porządku. Albo włóż spodnie, albo zdejm krzyżyk.

Panie Pułkowniku!

W ostatnią niedzielę, po sumie, ja i moja koleżanka Lusja poznałyśmy na rynku sierżanta Onoszko. Poszliśmy na spacer nad rzekę. Rozmawialiśmy o kulturze i sztuce. W pewnym momencie sierżant Onoszko powiedział:

– Dość tych bzdur, przystąpmy do sprawy zasadniczej.

I zdjął pas główny.

Kiedy sierżant Onoszko gwałcił moją koleżankę Lusję, ja wołałam o ratunek. Sierżant Onoszko powiedział:

– Nie krzycz, stara małpo, bo i na ciebie kolej przyjdzie.

Panie Pułkowniku, sierżant Onoszko obraził mnie na honorze, bo nie jestem ani stara, ani małpa! Proszę Pana Pułkownika o wymierzenie najwyższego wyroku sprawiedliwości.

Pozostają z głębokim szacunkiem dla Pana Pułkownika.

Magda.

Na poligonie Pohulanka pod Świącianami oficer kontraktowy, Gruzin, kierował ogniem artylerii w obecności całego szeregu dygnitarzy wojskowych z gen. Dąb-Biernackim na czele, który bardziej niż inni przyłączał się do wydawania rozkazów. Wreszcie Gruzin miał już tego dość:

– Panie Gienierale, tieper strielanie, opierdalanije proszu potom.

Dąb-Biernacki uśmiechnął się i przestał przeszkadzać w dowodzeniu.

Metody leczenia były rozmaite.

Pewnego dnia wyjątkowo wielu żołnierzy zgłosiło się na izbę chorych. Lekarz pułkowy kazał swemu sanitariuszowi zrobić zbiórkę chorych i po odebraniu raportu zakomenderował:

– Do dwóch, odlicz!

Kiedy odliczyli, lekarz zwrócił się do sanitariusza:

– Jedynkom rycynę, a dwójkom aspirynę – i odmaszerował do swej kancelarii.

Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że jeden z żołnierzy pod jedynką cierpiał na ślepą kışkę i zmarł na skutek zaaplikowanej rycyny.

Ktorego roku generał Marian Przewłocki [były zawodowy oficer carskiej armii] przemawiał na akademii 3 Maja. Podobno zaczął w ten sposób:

– Tak, znaczysia w tysionc siemsoł diwiendiesionc piontym roku Polsku padieliłi. Jednu paławinu wzeli Giermancy, jednu Awstrijcy, a jednu my. Tfu, Russkie wzeli.

Jednego z kaprali spóźniającego się na poranne zbiórki po hulaszczych wieczorach w Cape Town [Kapsztadzie] witał Andrzej Ciemman refrenem:

– A z białego tatki i czarnej matki będę dzieci w kratki.

Młoda Szkotka miała boyfrienda Polaka, który pracował w magazynie wojskowym i od czasu do czasu przynosił jej w prezencie puszkę konserw, a przydzał mięsa na książeczki, czyli Ration Book, był skromny.

Kiedys zmarznięta Szkotka wróciła z randki do domu, stanęła tyłem do palącego się kominka, podciągając nieco spódnice, żeby lepiej ogrzać się. Zgryźliwa, stara ciotka zwróciła jej uwagę:

– Uważaj, bo spalisz swoją Ration Book.

W owych czasach oficerów było wielu, a szeregowych na wagę złota. W związku z tym, na jednej z odpraw oficerskich, generał Kukiel wydekłamował profesorskim, cichym głosem:

– Proszę panów, z żołnierzami trzeba się żyć, trzeba umieć powiedzieć: psiakrewn!

Do Komendy Uzupełnień Nr 1 w Kinghorn przyjechał transport „pestek” (Polska Służba Kobiet) ze Środkowego Wschodu. Kazano im znowu stawać przed komisją i spisywano ewidencję od początku. Na pytanie:

– Stosunek do służby wojskowej? – jedna z „pestek”

odpowiedziała:

– Czasamy. I to tylko z panamy oficeramy.

Porucznik Bidowaniec chciał koniecznie młodzieńców wychowywać, stosując metody nie ściśle wojskowe, ale – jak uważał – ojcowskie. Tym razem wybór padł na Szumskiego, który chodził rozchełstany, spóźniał się i starał wymigać od porannej gimnastyki, w czasie której żołnierze mieli na sobie tylko strój gimnastyczny, niezależnie od pogody. Szumski zaczął się poprawiać, więc porucznik Bidowaniec chełpił się:

– Nawet z Szumskiego zrobię żołnierza.

Jednak te przechwałki były przedwczesne, bo Szumski znowu spóźnił się na zbiórkę. Bidowaniec był przybity i zaczął złamanym głosem:

– Szumski, jak ojciec do ciebie mówię – ale dokończ już energicznie: – No, k... twoja mać!

Porucznik Bidowaniec kupił sobie szczeniaka wyszukanej rasy. Ktoś dowiedział się od znajomej Szkotki, że zapłacił za Filusia trzy funty. Od tego czasu nikt go inaczej nie wołał jak Trzy Funty. Psina przyzwyczał się i leciał na to zawołanie. Bidowaniec wściekał się. Kiedys zobaczył, że na drugim końcu boiska jakiś żołnierz

głaszcze psiaka. Ryknął na całe gardło:

– Ty! Nie gładź go, on dziś myty.

Jednemu z szeregowych z cenzusem kapitan Wolniak wpisał taką opinię: „Wojska nie lubi. Oficerów nie boi się. Awansu nie pragnie”.

Ostatni dowódca niemieckiej załogi Monte Cassino dostał się do niewoli ze zharataną nogą, którą należało amputować. Jednak powstały trudności. Skoro tylko sanitariusze położyli Niemca na stół operacyjny, on zaraz mdlał i znowu trzeba go było zabierać do pomieszczenia, w którym przygotowywano pacjentów do operacji. To omdlenie powtórzyło się kilkakrotnie. Dopiero



ZBIGNIEW S. SIEMASZKO
„WOJSKO OD PODSZEWKI”

WYDAWNICTWO TEST

w jakiś czas później sprawa się wyjaśniła. Okazało się, że usłużył sanitariusze, tuż przed zabraniem Niemca na stół operacyjny, szepotał mu na ucho:

– No uważaj, Żyd będzie teraz ciebie operował.

Może nie wszyscy pamiętają, że tych oficerów, którzy większość wojny spędzili w niemieckich obozach dla jeńców wojennych, nazywano „pawianami”. Nazwa ta pochodziła stąd, iż mieli oni, podobno od przewlekłego siedzenia, zadki tak samo czerwone jak małpy pawiany.

Podobnych kapitalnych anegdot znajdują państwo w książce Zbigniewa S. Siemaszki dziesiątki. Historyk pokazał, że historia wcale nie musi być nudna. I przede wszystkim – śmiertelnie poważna. Żołnierze walczący podczas II wojny światowej również byli ludźmi. Mieli swoje śmieszności, słabości, a przede wszystkim wielkie poczucie humoru.

Emigracyjny historyk dołączył do książki garść esejów o polskich dowódcach z okresu II wojny światowej. Najciekawsze z nich zostały poświęcone trzem – jak pisze Zbigniew S. Siemaszko – sowieckim „kolaborantom”. Stanisławowi Tatarowi, Leopoldowi Okulickiemu oraz Zygmuntowi Berlingowi. Szczególnie rozdział poświęcony Okulickiemu dla polskiego czytelnika, przyzwyczajonego do gloryfikowania tej postaci, może być zaskakujący.

Zbigniew S. Siemaszko wydał kolejną arcyciekawą książkę.

Piotr Zychowicz

© Wszelkie prawa zastrzeżone

1904–1969 / Twórczość i życie Witolda Gombrowicza

Nieznośna polskość bytu



Krzysztof Masłoń

W jego życiu najwięcej było pozerstwa, w książkach – jadu. I taki jest jego tytuł do wielkości

Uważał się, bezwarunkowo, za geniusza, a że świat stosunkowo opornie przyjmował to do wiadomości, to jedynie dlatego – jak pisał – „żem pochodził z kraju szczególnie obfitującego w istoty niewyrobione, poślednie, przejściowe, gdzie na nikim żaden kołnierzyk nie leży, gdzie nie tyle Smęt i Dola, ile Niezguła z Nie-dojdą po polach snują się i jęczą”. Trudno wszak w pisarzu z takiego kraju doszukiwać się geniuszu.

Stało się wszakże, że to właśnie w tym kraju, w upośledzonej ojczyźnie owego pisarza, uznano go za alfę i omegę, krynicę mądrości wszelakiej, a jeśli kto chce, to i wieżę z kości słoniowej. Nawet ci nieliczni, którzy zachowywali umiar w entuzjazmie wobec tego, którego pióro jego wieczne na świat wydało, a i co on sam orzekł albo i nie orzekł, plackiem padali przed gombrowiczowskością. Niezależnie od wszystkich sensownych uwag krytycznych na temat jego poszczególnych utworów, a przede wszystkim niezależnie od totalnego unicestwienia „Kronosa”, zdaniem takiego na przykład Andrzeja Horubały jest Gombrowicz największym pisarzem XX w. I już. A jego „Dziennik” to „literackie arcydzieło, niezwykle kunsztownie zorganizowana wypowiedź artystyczna, nowatorska narracyjnie, arcymistrzowsko wykorzystująca język polski, przynosząca kapitalne refleksje o świecie, literaturze, Polsce, egzystencji...”.

Całkowicie zgadzam się, że „Kronos” jest nieporozumieniem, dziełkiem – znów zacytuję Horubałę – „smutnym, w dodatku, miejscami obleśnym”. Czy jednak naprawdę musimy bić pokłony przed „Dziennikiem”? Wojciech Tomczyk, który w swoim piśrństwie zmagął się z Gombro-

wiczem, i to wielokrotnie, ze szczególnym uwzględnieniem „Ferdydurke”, sławny Gombrowiczowski zapis: „Poniedziałek – ja, wtorek – ja, środa – ja, czwartek – ja” zderzył z inną znaną „deklaracją ideową” – Edwarda Stachury: „Czas umarł na czas. Ja umarło na ja. Nie ma ja. Się jest. Się jest się. Się jest duch. Się jest nikt” i dopowiedział (w „Teologii Polskiej Co Tydzień” 37/2016), co następuje: „Te dwa cytaty opisują, nawet z pewnym naddatkiem, horyzonty i strategię współczesnej polskiej prozy. Przy tak określonych celach i środkach nie są potrzebne żadne lekarstwa, nawet aspiryna. Nie mówiąc o pigułkach Murti-Binga. Przecież samym sobą można się zabawiać całe życie, a słowem się wysławiać drugie tyle”.

Co do mnie, powiem tu najwyraźniej, jak mogę: za najważniejsze „Dzienniki” w literaturze polskiej zeszłego wieku uważam „Dziennik pisany nocą” Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, a w dalszej



Walizka Gombrowicza, z którą wypłynął w rejs do Argentyny
FOT. MARIUSZ KUBIK/WIKIMEDIA

kolejności „Dzienniki” Marii Dąbrowskiej wsparte, przy dziesiątkach zastrzeżeń, „Dziennikami” Stefana Kisielewskiego. Gombrowicz jest dla mnie autorem „Trans-Atlantyku” i „Ślubu”. Żal mi kolejnych roczników młodzieży, której bynajmniej nie przekonani co do racji głoszonych prawd poloniści wmawiają, że mają kochać Gombrowicza i zachwycać się „Ferdydurką”, a gdy już się pozachwycają tak, że ze szczęścia womitować będą, niechaj sięgną do „Dzienników”. Tylko z czcią należną, na kolanach. A w życiorys naszego geniusza niech lepiej się nie wczytują, a może inaczej – niech czytają, ale pod kierunkiem światłych przewodników, bo inaczej będzie bieda.

Z niedawno wydaną, pierwszą (!) biografią twórcy „Ferdydurke”, pióra Klementyny Suchanow, radziłbym uważać.

Autorka, oczywiście, „nasz człowiek” jak najbardziej, bojowniczka o prawa kobiet i innych uciskanych mniejszości, wstawiona atakiem jajami na limuzyny prezydenckie, a jednak i pod jej piórem życiorys Witolda Gombrowicza nie przypomina żywotów świętych. Oj nie.

Urodzony nie w tym języku

Znamienne są pod tym względem notatki Kazimierza Ryttyla, jego kolegi z pracy, „starszego, wypróbowanego urzędnika, który w latach pięćdziesiątych na terenie Argentyny, Urugwaju i Paragwaju piastował urząd, a raczej funkcję inspektora szkół polskich”. To, że niespecjalnie lubił Gombrowicza, jest więcej niż pewne, pisarz za nim też nie przepadał. Jednak notes Ryttyla, obok zarejestrowania rozmaitych nietypowych zachowań autora „Trans-Atlantyku”, zawiera teksty wręcz zdumiewające. Oto zapiski z marca 1953 r. (cytuje za Klementyną Suchanow): „Wtorek, 3 marca [...] Gombrowicz, na skutek mojej radości z beznadziejnego stanu zdrowia Stalina: »Oj, wy, Polaczki, Polaczki, nie wiecie, co świat i ludzkość traci z odejściem tego największego geniusza«.

Twierdzi o moralności tego zbrodniarza. Napoleon był zerem w porównaniu ze Stalinem.

Żałuję, że za prędko ta kanalia zdechnie i nie będzie cierpiała.

Czwartek, 5 marca
Gombrowicz zamęcza mnie wielkością i niemal świętością Stalina.

Powołuje się na notatki (obrzydlive) z prasy i rozczuła się, że miliony stoją na mrozie i oplakują niechybną śmierć tego najszykaradniejszego dyktatora.

Ten zbrodniarz, który mordował najbliższych przyjaciół, jest w pojęciu Gombrowskiego niezastąpionym.

Piątek, 6 marca
Wielki złoczyńca i geniusz zła, Stalin, zdechł wczoraj wieczorem i nie cierpiał.

Poniedziałek, 9 marca
Gombrowicz doprowadza mnie do szaleństwa, rozwodząc się o wielkość i moralność Stalina”.

■ Że to celowe prowokacje, ależ oczywiście. Tylko że czy z tego powodu mamy przejść nad nimi do porządku dziennego? „W całej cyrkowej czasem grze Gombrowicza jedna rzecz jest dla niego sprawą zawsze poważną: literatura. Poświęca się jej w całości i mimo licznych »dowcipasów« i »podszczypywań« rodaków nie ma kompleksów co do swojej wartości. Zdaje sobie sprawę, że jest urodzony nie w tym języku i nie pod tą co trzeba szerokością geograficzną, ale nie krępuje się, by postawić sprawę jasno: »jest geniuszem«”.

Uwierzy w to wielu jego wyznawców, głównie w tym samym kraju o nie tej co trzeba szerokości geograficznej. Reszta z tego „geniuszu” niewiele sobie robi.

Cały pobyt w Argentynie znaczonej jest jego przygodami homoseksualnymi. Kobiet nie ma, a te, które są, wykorzystuje do zabezpieczenia swoich spraw życiowych, ktoś w końcu musi (powinien?) mu ugotować obiad, ktoś inny podreperować złaczaną nieco garderobę.

A do literatury, uściślmy – literatury polskiej – przywrócili go Jerzy Giedroyc i „Kultura”, gdzie drukował swój sławny potem „Dziennik”. Do literatury światowej wprowadził go Konstanty Jeleński, zakochany w nim i w jego pisarstwie, a dysponujący wpływami, o których innym ani się śniło. Nie tylko dlatego, że tak samo jak Gombrowicz był homoseksualistą. Ale dlatego też.

Patrzył z perspektywy

Argentynę opuścił Gombrowicz w kwietniu 1963 r., po bez mała ćwierćwieczu spędzonym poza Europą. Zadecydowało o tym przyznanie mu przez Fundację Forda rocznego stypendium na pobyt w Berlinie Zachodnim. Wcześniej jednak pojechał do Paryża, gdzie pierwsze kroki skierował, naturalnie, do Maisons-Laffitte, swojego wydawcy. Spośród mieszkańców domu „Kultury” osobiście sprzed wojny znał jedynie Józefa Czapskiego. Giedroycia wcześniej nie widział na oczy. Spotkanie ponoć tak wyglądało: „Ukazuje mi się Giedroyc. Ja się ukazuję Giedroycowi.

On: – Cieszę się, że pana widzę... Ja: – Jerzy, bój się Boga, chłopie, nie będziesz przecie mówił »pan« komuś, z kim od lat jesteś w listach na »ty«. On: – Hm... hm...



Muzeum Witolda Gombrowicza we Wsoli

FOT. WIKIPEDIA

a tak... no, cieszę się rzeczywiście, że przyjechałeś. Ja: – Co za domek! Przyjemnie spojrzeć! On: – Dosyć przestronnie i wygodnie, dobre warunki pracy... Ja: – Jerzy, słowo honoru ci daję, wyskoczyłem już na Mickiewicza, o poza dyskusją, ludziom głos się tamie, gdy mówią ze mną przez telefon. On: – Hm... ja Mickiewicza nie bardzo lubię...”. Zabawny obrazek, ale już całkiem serio relacjonował Giedroyc Herlingowi, że Gombrowicz „jest bardziej sympatyczny, niż można było przypuszczać”. Z przymrużeniem oka udawali zresztą przed sobą Litwinów.

I oto nie minęło znów tak wiele czasu, gdy Gombrowicz – po wykorzystaniu berlińskiego stypendium – zapuka ponownie do drzwi w Maisons-Laffitte, Giedroyc przyjmie wprawdzie, ale tylko na tydzień, zdecydowanie odmawiając dalszej gościnności. Poważnie strapionego pisarza, który naprawdę nie wiedział, gdzie się podziać, uratował dopiero Jeleński, lokując Gombrowicza w niedalekim od Paryża opactwie Royaumont. To tam spotka kanadyjską studentkę, Ritę Labrosse, która zostanie towarzyszką jego życia, a pół roku przed śmiercią Witolda pobiorą się. To jednak dalsza historia, teraz wróćmy do Berlina i sprawy, która w istocie zadecydowała o dalszym losie pisarza, m.in. o tym, że nigdy nie przyjechał do Polski (choć w jego sprawach przyjeżdżała nad Wisłę Rita).

Otóż tak fatalnie miało zaciążyć na jego życiu spotkanie 21 lipca 1963 r. z Barbarą Witek-Swinarską, żoną (bardziej nominalną niż rzeczywistą, gdyż małżonek, znany reżyser, był homoseksualistą) Konrada Swinarskiego. Ich rozmowa w kawiarni, dotycząca – najogólniej mówiąc – Polaków i Niemców oraz ich relacji wojennych zakończyła się awanturą. Nic

by w tym nie było szczególnego, gdyby nie to, że rozmówczyni Gombrowicza była współpracowniczką PRL-owskiej Służby Bezpieczeństwa i z berlińskiego spotkania sporządziła szczegółowy raport, który wykorzystano do rozpętania w kraju antygombrowiczowskiej kampanii. Kończącą wymianę słów z pisarzem opisała następująco:

„– Znał pan kiedykolwiek Niemców?

– Znałem. W Argentynie.

– Towarzysko.

– I widzę, jak się teraz tutaj zachowują.

Mam dla Niemców jako narodu wielki szacunek.

– Pana wiedza o Niemcach jest niepełna.

– Myśli pani o okupacji.

– Tak.

– To wasza wiedza jest niepełna.

Człowiek, który cierpi, nie może patrzeć obiektywnie i nie ma odpowiedniego dystansu.

– I słusznie. Nie wolno mieć dystansu do 5 milionów zabitych.

– Wy stale w nieskromny sposób chępcie się tą cyfrą. Widać, że na temat okupacji nie macie nic innego do powiedzenia. Niemcy zabijali, bo tak im nakazywała ich moralność. To jest tragiczne. Ja patrzę z perspektywy i dlatego ogarniam całość. Pani widziała tylko mały wycinek, czyli okupację, a ja...

– ... Pan patrzył z drugiej półkuli.

– Tak. I dlatego ja, a nie wy, mam słuszość, bo umiem popatrzeć na zimno, z dystansem, bo ogarniam. Polacy są zaściankowymi nacjonalistami z urodzenia i z przekonania. Ten nacjonalizm to między innymi brak spojrzenia na siebie i nieumiejętność spojrzenia na innych. I ta polska skłonność do przesady. To tylko u was opowiada się o okropnościach, jakie

się działał podczas wojny. [...] Dystans. Dystans. Tego wam brak”.

Sprostowanie Gombrowicza, odnoszące się głównie do tego, że jego rozmowa ze Swinarską miała charakter prywatny i nie była wywiadem, ukazało się za późno, wyprzedzone przez całą serię artykułów już nie tylko tej jednej autorki, odsądzającej Gombrowicza od czci i wiary. Na domiar złego zdążył później udzielić już naprawdę wywiadu Wolnej Europie, w którym m.in. powiedział, że kiedy pisze książkę, to „nie jest Polakiem ani Chińczykiem. Ja jestem Gombrowicz” i zupełnie nieważne jest, gdzie mieszka. W kraju nie tylko komunistyczni propagandyści, lecz także choćby znany mu pisarz starszej daty, Ludwik Hieronim Morstin, odmawiają mu miana pisarza. A Hamilton (Jan Zbigniew Słojewski) stwierdza wprost, że dla niego nie do przyjęcia jest już sam fakt, że Gombrowicz z Ameryki Południowej przyjechał właśnie do Berlina. I to Zachodniego! Ma to fundamentalne znaczenie, gdyż Maria Dąbrowska zapytana później przez Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, jak jej dezaprobatę dla przyjęcia przez Gombrowicza stypendium do Berlina Zachodniego pogodzić z goszczeniem jej przez Związek Pisarzy NRD, odrzekła, że to inna sprawa, „których wy, emigranci, nie jesteście w stanie zrozumieć”.

A płyniesz wy, płyniesz...

Afera rozpętana przez Swinarską była na swój sposób zdumiewająca; w końcu nawet ci najbardziej oburzeni znali już wydany w kraju, jak najbardziej oficjalnie – w trakcie krótkiej odwilży po 1956 r. – „Trans-Atlantyk”, a w nim mogli przeczytać słowa występującego w powieści pod własnym nazwiskiem Gombrowicza, żegnającego statek odpływający po wybuchu wojny z Argentyny już nie do Polski, lecz do Anglii: „A płyniesz wy, płyniesz Rodacy do Narodu swego! Płyniesz wy do Narodu waszego świętego, chyba Przekłętego! Płyniesz do Stwora tego św. Ciemnego, co od wieków zdycha, a zdechnąć nie może! Płyniesz do Cudaka waszego św., od Natury całej przekłętego, co wciąż się rodzi, a przecież wciąż Nieurodzony! Płyniesz, płyniesz, żeby on wam ani Żyć, ani Zdechnąć nie pozwalał, a na zawsze was między Bytem

i Niebytem trzymał. Płyniesz do ślamazary waszy św., żeby was ona dali Ślimaczyła [...] Płyniesz do Szaleńca, Wariata waszego św., ach chyba Przekłętego, żeby on was skokami, szalami swoimi Męczył. Dręczył, was krwią zalewał, was Rykiem swym ryczał, wyrykiwał, was Męką zamęczał Dzieci wasze, żony, na Śmierć, na Skonanie sam konając w konaniu swoim Szału swojego wasz Szalał, Rozszalał!”.

Na „Chrobrym”, którym do Argentyny przypłynął w 1939 r., dzielił kajutę z innym polskim pisarzem, Czesławem Straszewiczem, później autorem świetnej książki „Turyści bocianich gniazd”. Ten, na wieść o wojnie, powrócił do Europy, wstąpił do Wojska Polskiego, był u gen. Maczka, szkolił żołnierzy, by do Ameryki Południowej wrócić, ale dopiero w roku 1944. Witold Gombrowicz zaś do podboju Argentyny zabrał się z całą powagą, przygotowując do wygłoszenia w Teatro del Pueblo w Buenos Aires (co nastąpiło 28 sierpnia 1940 r.) odczytu na temat „Doświadczenia i problemów Europy najmniej znanej”. Mówił po hiszpańsku, którego to języka jeszcze nie opanował, „z rażącym akcentem i w okropnym stylu” – jak zapamiętano wydarzenie. Gombrowicz utrzymywał, że zastanawiał się w tym wykładzie, „w jaki sposób fala barbarzyństwa, która nawiedziła centralną i wschodnią Europę, może być wykorzystana dla rewizji podstaw naszej kultury”. Może i tak, ale po Gombrowiczu odzywali się głównie antypolsko nastawieni komuniści, zarzucając sanacyjnej Polsce faszyzm, i cała impreza odebrana została jako coś w rodzaju antypolskiego wiece, co Gombrowiczowi sławy raczej nie przyniosło, za to w środowisku polskim uznany został za czarną owcę.

W tej sytuacji praca urzędnika w Banco Polaco, którą otrzymał dzie-

ki wstawiennictwu żony prezesa Juliusza Nowińskiego, była dla niego błogosławieństwem, szczególnie że w banku głównie się nudził. Niemniej pisywał rozpaczliwe listy, przedstawiając swoje położenie w tonacji martyrologicznej, a do Nowińskiego mając pretensje, że rozmyślnie źle go traktuje.

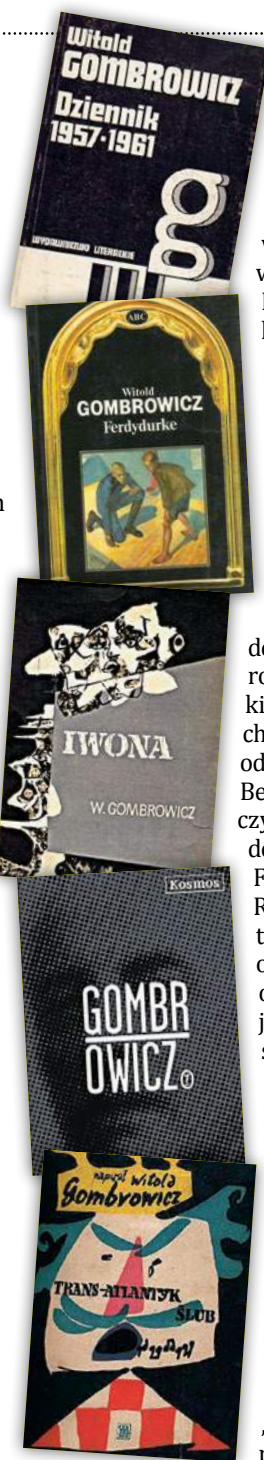
Schyłek życia spędza Gombrowicz we Francji, w Vence, u boku o młodszej o ponad 30 lat Rity. Ślub wezmą 28 grudnia 1968 r. On umrze 25 lipca roku następnego, 1969. Nie doczeka ogłoszenia w owym roku nazwiska laureata literackiego Nobla, na którego liczył, choć niejednokrotnie od tego się odżegnywał. Dostanie go Samuel Beckett, jemu musiała wystarczyć też ceniona międzynarodowa nagroda wydawców Prix Formentor, przyznana w 1967 r. Rita Gombrowicz została kuratorką jego twórczości, dbając o dobre imię pisarskie męża, o odpowiednie prezentowanie jego dzieł, wreszcie dokładając starań, by nie poszedł w zapomnienie.

Ich pożycie to zupełnie inna sprawa. Historia ich specyficznego związku obejmuje i aborcję, której dokonała, i jej zdradę, którą Gombrowicz – nieoczekiwanie – dość ciężko przeżył. Na dobrą sprawę jedynie jego związek z Ritą przynosi niezbite dowody na to, że był niewyłącznie homoseksualistą. Po lekturze „Kronosa” o jego erotycznych podbojach możemy mieć zresztą jak najgorsze mniemanie.

Przynosiły mu upokorzenia, choroby weneryczne, kłopoty finansowe, a także przeżycia, które, jak się zdaje, wyrzucić chciał ze swej pamięci.

Jego twórczość to jeden wielki ciąg opowieści o zniewoleniu przez sytuację, w jakich się znajdujemy. I o konwencjach, które zwalczamy, posługując się niczym innym, a konwencjami właśnie. W jego życiu najwięcej było pozerstwa, w książkach jadu. I taki jest jego tytuł do wielkości.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



W latach II wojny światowej Portugalia stała się dla co najmniej 4–5 tys. obywateli polskich przystankiem w drodze z okupowanej Europy do wolnego świata. Jednak wydostać się z Portugalii nie było łatwo. Do Wielkiej Brytanii mogli dostać się tylko zaproszeni imiennie przez władze polskie, Stany Zjednoczone żądały poręczenia wystawionego przez obywatela amerykańskiego.

Autorzy nazywają bohaterami Stanisława Schmitzka, kierownika Komitetu Opieki nad Uchodźcami, i Józefa Potockiego, delegata Zarządu Głównego PCK, którzy nieśli pomoc uciekinierom, ludności w okupowanym kraju oraz żołnierzom w niewoli i tym przedzierającym się do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Jednak, jak zauważają, kluczową rolę odgrywał Karol Dubicz-Penther, poseł RP w Lizbonie. Minister Stanisław Kot twierdził, że źle wypełnia swą misję, zachowuje się biernie, „wszystkich okłamuje i intryguje w niemożliwy sposób”. Zupełnie inaczej oceniał posła publicysta Tadeusz Katelbach: „Choć Dubicz w codziennej współpracy nie należał do najtańszych, wychodził ze skóry, by pomóc uchodźcom. Interweniował nieustannie w poselstwach krajów, do których chcieli się udać”.

Ponad połowę uchodźców – obywateli polskich – stanowili Żydzi. Nigdzie nie byli widziani chętnie jako emigranci. Nie chciały ich m.in. dominia brytyjskie.

Dubicz, jak piszą autorzy, „wielokrotnie osobiście załatwiał indywidualne problemy, po myśli Żydów polskiego pochodzenia oraz Polaków pochodzenia żydowskiego, z obywatelstwem polskim i bez”. Schmitzek wytargował z 10 do 20 proc. odsetek Żydów wśród polskich uchodźców, których miała przyjąć Kanada.

Przez Portugalię przewinęli się znakomici polscy pisarze i artyści, m.in. Józef Wittlin, Karol Małcużyński, Julian Tuwim.

„Nad biurkiem wisiał ogromny portret marszałka Piłsudskiego – relacjonował Katelbach – za biurkiem stał Dubicz, a przed biurkiem klęczał Tuwim, który z oczami pełnymi łez wznosił błagalne dłonie w kierunku posła, prosząc, by ten znów interweniował u Brazylijczyków”. Ostatecznie udało się załatwić wizę brazylijską dla poety. Dla części uchodźców znalazło się miejsce w Birmie. Nie każdy



Posel Karol Dubicz-Penther składa wieniec przed pomnikiem poległych podczas I wojny światowej FOT. NAC

Książka miesiąca / Portugalia i Polacy

Na skraju Europy

chciał jechać w nieznane, do dalekiego, egzotycznego kraju.

Odmówił rabin Kruger z Łodzi.

„– No cóż, rebbe – pyta Dubicz – jedzie pan do Birmy?

– Nie jadę! – usłyszał odpowiedź.

– Dlaczego? – dopytywał Dubicz.

– Tam jest tygrys, może ugryźć.

– Ale w Lizbonie też są psy. Może też któryś rebbe ugryźć – argumentował poseł.

– Jak pies ugryzie, to ja wiem, kto jego pan, kto zapłaci. A kto jest gospodarz od tygrysa? – odparł roztropny Kruger”.

Uchodźcy zbulwersowani byli zarządzeniem jednego z księży, by Polki, które biorą zasiłki, zajmowały się robieniem szalików dla żołnierzy. Bojkotowano tę pracę. Elżbieta Wittlin-Lipton wspominała: „Nigdy nie skończyłam mojego szalika [...]. Zrugano mnie za to i dano do zrozumienia, że mój nieznany, pozbawiony szalika żołnierz prawdopodobnie zamarnie na śmierć przez taki drutowy marazm”.

Polacy przybywali do kraju katolickiego, ale o innych obyczajach. Pewien

portugalski ksiądz gromił za zepsucie Polki, które same chodziły po ulicach, nie zakrywały włosów, a nawet umawiały się z Portugalczycami. Jeśli dziś je się w Portugalii rydze, to jest to zasługa jednego z uchodźców, który ku osłupieniu tubylców – uważających te grzyby za trujące – zbierał je i jadł. Stwierdziwszy, że mu nie zaszkodziły, włączyli rydze do swojego menu.

Delegatura PCK i Komitet Opieki nad Uchodźcami wysyłały paczki żywnościowe do okupowanego kraju, w tym do gett i obozów jenieckich w Rzeszy. Królowały w przesyłkach sardynki w puszkach oraz migdały. Nie wolno natomiast było wysyłać herbaty ani... pomadek do ust.

©©

Tomasz Stańczyk



**ADAM GRZYBOWSKI
JACEK TEBINKA
„NA WOLNOŚĆ PRZEZ
LIZBONĘ. OSTATNIE OKRĘTY
POLSKICH NADZIEI”**

IPN

Templariusze w walce

Samych rycerzy nigdy nie było wśród templariuszy zbyt wielu. O ile bowiem w szczytowym momencie ten legendarny zakon liczył blisko 20 tys. członków, o tyle rycerzy było wśród nich tylko nieco ponad tysiąc. W bitwach stawało zaś do walki zazwyczaj 100–200 ciężkozbrojnych templariuszy na koniach. Wydawałoby się, że to symboliczna siła, ale opisy bitew, w których brali udział bracia-rycerze, uzmysławiają, jaką potęgą musiał być każdy z nich. Zazwyczaj bowiem nawet tak skromny liczebnie oddział potrafił przechylić szalę zwycięstwa na stronę chrześcijan, roznosząc w pył wrogie szeregi.

Muzułmańskie armie nie były w stanie wystawić przeciw zakutom w zbroje zakonnikom w tunikach z czerwonym krzyżem niczego równie potężnego. Karność i odwaga templariuszy szybko stały się legendarne wśród islamskich wojowników. Wiadomo było, że dopóki powiewa sztandar templariuszy, dopóty żaden z nich nie zejdzie z pola bitwy.

Zakonnicy służyli początkowo jako swego rodzaju żandarmeria ochraniająca pątnicze szlaki, ale szybko stali się, wraz ze szpitalnikami, obrońcami Ziemi Świętej. Władcy chrześcijańskich państw

w Outremerze, widząc, jak skuteczni są templariusze, przekazywali im w opiekę kolejne swoje fortece.

Do legendy tego niezwykłego zakonu przeszła bohaterska obrona Akki, która po zdobyciu Jerozolimy przez Saladyna stała się stolicą chrześcijańskiego świata w Ziemi Świętej. Wszyscy bracia zginęli wówczas w gruzach tej twierdzy. Muzułmanie mieli już wtedy zbyt wielką przewagę liczebną i chrześcijanie nie mieli szans utrzymać swoich zdobyczy. Nawet potężni templariusze nie mogli tego zmienić.

Książka Paula Hilla opowiada właśnie o militarnej stronie działalności templariuszy. Dowiemy się z niej mnóstwa ciekawostek na temat sekretów działania tej potężnej maszyny wojennej, która nawet dziś nie przestaje fascynować świata.

©© Piotr Włoczyk



PAUL HILL
„TEMPLARIUSZE NA WOJNIE”

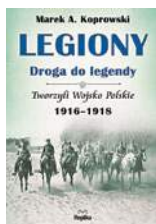
REBIS

Piłsudski kontra Sikorski

W trzeciej części opowieści o Legionach autor konsekwentnie podkreśla, że Legiony to nie tylko Piłsudski i Pierwsza Brygada. Opisuje brutalne ataki słowne ludzi Komentanta na płk. Władysława Sikorskiego, szefa Departamentu Wojskowego NKN, i poczucie wyższości legionistów z Pierwszej Brygady, demonstrowane nie tylko wobec Austriaków, lecz także kolegów z dwóch innych brygad Legionów. Piłsudscy usiłowali przejąć kontrolę nad I Korpusem w Rosji, by

pchnąć go do walki z Niemcami. Chcieli pokazać, że są po stronie ententy. Było to jednak zbiorowe samobójstwo.

©© (t.s.)



MAREK A. KOPROWSKI
„LEGIONY. DROGA DO LEGENDY. TWORZYLI WOJSKO POLSKIE 1916–1918”

REPLIKA

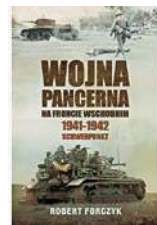


PAUL KENNEDY
„POGROMCY HITLERA. ARCHITEKCI ZWYCIĘSTWA”

RM

WOJNA MÓZGÓW

Mówi się, że potrzeba jest matką wynalazków. Bardziej trafna wydaje się jednak opinia, że wojna jest matką wynalazków. Konflikty zbrojne to bowiem nie tylko działania podejmowane przy pomocy czołgów, samolotów i dział. To także wojna mózgów. Autor kreśli pasjonujące sylwetki alianckich dowódców, których pomysły zrewolucjonizowały sztukę wojenną. I doprowadziły do klęski Hitlera. ©© (pz)



ROBERT FORCZYK
„WOJNA PANCERNA NA FRONCIE WSCHODNIM 1941–1942”

VESEPER

BLITZKRIEG W ROSJI

Łatwe przełamywanie obrony w Rosji Wehrmacht zawdzięczał perfekcyjnemu skoordynowaniu działań czołgów, dział i samolotów oraz wyszkoleniu dowódców i żołnierzy. Mimo przewagi w liczbie czołgów Armia Czerwona ponosiła straty siedmiokrotnie wyższe. Dlaczego tak się działo po roku 1942 – wyjaśnia wybitny znawca wojny pancernej, który sam walczył jako czołgista w Korei. ©© (m.r.)



PRACA ZBIOROWA
„POLSCY BOGOWIE WOJNY. NAJWSPANIALESI DOWÓDCY W DZIEJACH”

CIĘKAWOSTKI HISTORYCZNE

BEZ ANDERSA

W poczcie naszych „najwspanialszych dowódców w dziejach” zabrakło miejsca dla gen. Władysława Andersa, a także Edwarda Śmigłego-Rydza, nie jako marszałka i wodza naczelnego w 1939 r., lecz świetnego generała w 1920 r. Tak został tu przedstawiony gen. Władysław Sikorski. Generał Tadeusz Rozwadowski zaprezentowany jest jako „ten, który zatrzymał bolszewików”. Co na to wielbiciel Józefa Piłsudskiego? ©© (t.s.)



Praca w łagrze na Kołymie zabijała, w dosłownym znaczeniu. FOT. ARCHIWUM

W Kraju Przeklętym

Przeklętym Krajem nazywali Kołymę więźniowie sowieckich łagrów. Mówili: „Zima trwa tu 12 miesięcy, poza tym – lato”. Przesadzali. Zima trwała 10 miesięcy, podczas których temperatura schodziła poniżej –60 st. C, a śniegi tworzyły wielometrowe zaspy. Za to w lecie – trwającym od połowy czerwca do połowy sierpnia, z rojami komarów i meszek – przekraczała 40 st. C. Mimo to subarktyczną, wieczną zmarzlinę, której nie mogły przebić kilofy, łomy i łopaty, trzeba było rozsadzać amonitem. Po co? Aby dostać się do bogatych złóż – przede wszystkim złota i uranu. Właśnie dlatego Sowietci urządzili wzdłuż doliny płynącej na północ rzeki Kołomy setki obozów niewolniczej pracy, zarządzanych

najpierw przez Dalstroj, a potem NKWD. Między 1937 a 1953 r. życie straciło tu od 2 do 4 mln ludzi.

Maciej Żołnierczyk wspominał: „Praca po prostu mnie zabijała, głównie dlatego, że nie dali szansy przyzwyczać się do klimatu i przede wszystkim nie dawano należytego pokarmu i ubrania, nie mówiąc już o suchym i ciepłym legowisku na odpoczynek”. Przy 12-godzinnej pracy w ekstremalnych warunkach więźniowie dostawali dziennie 300-gramowe porcje gliniastego chleba, porcję „zupy”, czyli cieczy, w której pływały czasem rybia ość i liść zgnitego zielska, niekiedy po-



łówkę śledzia i łyżkę kaszy. Byli wiecznie głodni, zziębnięci i mokrzy, a także bici i prześladowani przez strażników oraz bezlitosnych więźniów – kryminalistów.

Sowieckie żule maltretowały, rabowały, mordowały współwięźniów – a także gwałciły kobiety – już podczas podróży do Magadanu, stolicy kraju, leżącej nad Morzem Ochockim. Więźniów ładowano setkami i tysiącami do kilkupiętrowych ładowni statków ruszających z Nachodka pod Władywostokiem, a następnie płynących setki mil przez Morze Japońskie i Cieśninę Tatarską na Morze Ochockie. Jeśli nie trafiały w sztormy, to wówczas rejs trwał tydzień, jeśli trafiały, to dwa tygodnie. Pozbawieni picia, jedzenia, świeżego powietrza i toalet ludzie marli w dantejskich warunkach. Zwłaszcza ci na samym dole...

W drodze powrotnej szczęśliwie ocalony Zbigniew Lewicki rzekł rodakowi: „Jedziemy, co? Nie ukatrupili nas te sukinsyny!”. Z 12 tys. Polaków, zesłanych tu w latach 1940–1942, do armii Andersa zwolniono stąd zaledwie 583. Następni rodacy – głównie młodzi AK-owcy, których wspomnienia też zawiera książka – przybyli tu po 1944 r. Zwalniano ich na ogół dopiero po śmierci Stalina. ©

SEBASTIAN WARLIKOWSKI
„KOŁYMA. POLACY W SOWIECKICH ŁAGRACH”

ZONA ZERO

Maciej Rosalak

Nieznana wojna na Śląsku

Od czasów PRL przyzwyczajono nas do traktowania powstań śląskich jako „zrywów ludu śląskiego o wyzwolenie społeczne”, a przy okazji i „polskość tych ziem”. Piłsudski – zajęty zwalczaniem bolszewików – wobec sprawy Śląska był rzekomo obojętny, tymczasem autor pisze o konflikcie, u którego „podstaw tkwił spór o granice dwóch państw narodowych po I wojnie światowej, a walki na Górnym Śląsku były częścią niewypowiedzianej wojny polsko-niemieckiej”. Natomiast „kiedy dostrzeżemy, że geneza powstań śląskich z lat 1919–1921 była tylko pozornie podobna do wielkich polskich zrywów narodowych w XIX w., że ich celem nie była odbudowa suwerennej Polski, ale próba

zmiany ówczesnej geopolityki i wbrew intencjom wielkich mocarstw przyłączenie do już odrodzonej Rzeczypospolitej, perspektywa i znaczenie walk powstańczych na Górnym Śląsku stają się inne”.

Od wyniku starć Polaków i Niemców (i Ślązaków czujących się Polakami lub Niemcami) zależały decyzje aliantów. I tak Polacy byli pomni niedawnego przykładu powstania wielkopolskiego, po którym nikt już nie kwestionował praw Polski do Poznańskiego. Niemcy zaś liczyli na antyfrancuskie nastawienie rządu brytyjskiego, który podczas konferencji paryskiej wycofał się ze wcześniejszych obietnic przyznania Polsce Gdańska i Górnego Śląska. Dowiadujemy się z tej książki urodzonego (dosłownie)

znawcy dziejów śląskich m.in. o sporach w śląskiej POW, o planach i posunięciach dowództw Wojska Polskiego i Reichswehry czy o konflikcie Korfanteo z Grażyńskim, będącym w istocie starciem śląskiego kunktatorstwa z legionowym romantyzmem. Dzięki, Profesorze, za tę książkę! ©

Maciej Rosalak



RYSZARD KACZMAREK
„POWSTANIA ŚLĄSKIE 1919-1920-1921”

WYDAWNICTWO LITERACKIE

Niemiecki i słowacki atak 80 lat temu nad Dunajcem

Pomimo upływu 80 lat od zakończenia kampanii wrześniowej wiele jej epizodów pozostaje wciąż słabo rozpoznanych. Dlatego z wielkim uznaniem wypada powitać pojawienie się na rynku wydawniczym książki o walkach, które w dniach 1–6 września 1939 r. toczyły się w dolinie Dunajca. Wielką zaletą publikacji jest zaprezentowanie działań i zidentyfikowanie wszystkich jednostek wojskowych, biorących udział w zmaganiach militarnych na tym obszarze.

Jeszcze przed ich rozpoczęciem, w dniach 29 i 30 sierpnia 1939 r., polskie władze aresztowały 14 osób pochodzenia niemieckiego, podejrzanych o prowadzenie działalności sabotażowej. Spośród nich 10 uznano za dywersantów i rozstrzelano 8 września 1939 r. W dolinie Dunajca przeciwnikiem strony polskiej, a konkretnie 1. Pułku Strzelców Podhalańskich, pododdziałów Straży Granicznej i Obrony Narodowej, była utworzona 1 kwietnia 1938 r. w Innsbrucku austriacka 2. Dywizja Górską (2. Gebirgs-Division) dowodzona przez gen. Valentina Feursteina. Jej wejście do walki nastąpiło 2 września 1939 r., bo dopiero dzień wcześniej, a więc w dniu wybuchu wojny, pododdziały tej jednostki zajęły pozycje wyjściowe do ataku na Polskę. Zadanie wyznaczone przez dowódcę 14. Armii gen. Wilhelma Lista strzelcom górskim brzmiało: „Szybkie zajęcie Starego Sącza i Zabrzeży...”.

Jako pierwsi weszli w kontakt ogniowy z Polakami żołnierze z plutonu rozpoznawczego kolarzy, wzmocnionego zmotoryzowanym oddziałem łączności. W tym starciu Niemcy strat żadnych nie ponieśli. Znacznie gorzej powiodło się 7. kompanii II batalionu 136. Pułku Strzelców Górskich dowodzonej przez oberleutnanta Antona Psennera. Oddział ten, nacierający w kierunku Krościenka, zbliżył się do tej miejscowości późnym

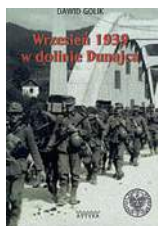
popołudniem 2 września. Kiedy zapadł zmrok, Niemcy podjęli próbę zajęcia miasta. Wtedy na skutek wymiany ognia z polskimi obrońcami miasta zginęło dwóch niemieckich strzelców – Leo Ettl i Gottfried Rainer. Obu poległych pochowano w Niżnych Szwabach na terytorium Słowacji, państwa, którego siły zbrojne wzięły udział w 1939 r.

w inwazji na Polskę. Słowacką jednostką wspierającą Niemców w działaniach bojowych w dolinie Dunajca była 1. Dywizja Piechoty „Jánošík” dowodzona przez gen. Antona Pulanicha. Jej

zadaniem było zabezpieczenie skrzydeł 2. Dywizji Górskiej. Pomimo przydzielenia zadań mniejszej wagi Słowacy wywiązali się z nich znakomicie, choć nie uniknęli strat. 3 września 1939 r. podczas starcia patrolu I batalionu 1. Pułku Piechoty ciężko ranny został i zmarł następnego dnia starszy strzelec Gejza Pisarcik.

Pierwsze dni września w dolinie Dunajca obfitowały także w incydentalne egzekucje odwetowe polskich cywili, których żołnierze niemieccy oskarżali o strzelanie „zza węgła”. Trudno powiedzieć, na ile owe oskarżenia były uzasadnione. Z pewnością nie wszystkie były wytworem fantazji. Wieczorem 5 września 1939 r. w Świniańsku strzelcy górcy rozstrzelali siedmiu mężczyzn. Kolejnych dziewięć osób, w tym cztery kobiety, zginęło podczas nocnej strzelaniny, która wybuchła na terenie wsi. W sumie w wyniku działań wojennych i egzekucji, do których doszło pomiędzy 1 a 6 września, śmierć poniosło 53 cywili, a poległo ok. 50 polskich żołnierzy. Strona niemiecka poniosła straty w wysokości 13 zabitych i 44 rannych (z czego trzech zmarło w szpitalach), był też jeden zaginiony. Słowacy natomiast utracili pięciu zabitych, 11 rannych (dwóch z nich zmarło w szpitalach), było też wielu zaginionych. ©

Arkadiusz Karbowiak



DAWID GOLIK
„WRZESIEŃ
1939 W DOLINIE
DUNAJCA”

ATTYKA

Koszmar Sołówek

Literatura łagrowa jest niezwykle obszerna. Sołżenicyn, Szalamow, Sołoniewicz, Ginzburg, Herling-Grudziński. To tylko garść najgłośniejszych nazwisk. Dzięki liczным wspomnieniom ludzi, którym udało się wydostać z sowieckich obozów zagłady, świat dowiedział się, jak wyglądało to piekło.

Niemal wszystkie wspomnienia łagrowe zostały jednak napisane przez zeków. Nieszczęśników, którzy zostali wpakowani za druty i całymi latami musieli wyrąbywać tajgę. Czymś niezwykle rzadkim są wspomnienia strażników – funkcjonariuszy bolszewickiego aparatu terroru.

Dlatego tak ciekawa jest książka „Początki GUŁagu”, w której znalazły się wspomnienia Nikołaja Kisieliowa-Gromowa. Był to Czekaista, który od 1927 r. zarządzał słynnym obozem na Wyspach Sołowieckich. A następnie uciekł na Zachód, gdzie w 1936 r. wydał wstrząsającą relację z tego pierwszego, wielkiego sowieckiego łagru. „Przez pięć lat (1925–1929) zmarłych, zabitych, samobójców było 183 490 – pisał Kisieliow. – Nie ma już ich. Stracili życie w cierpieniach. Być może teraz dzieci amerykańskich i europejskich kupców handlujących z komunistami rozbijają się samochodami kupionymi za zyski z tych transakcji. Umysł omdlewa i serce drętwieje, gdy o tym pomyśleć”.

Wspomnienia Kisieliowa-Gromowa powinni przeczytać wszyscy, którzy nadal wierzą w kłamstwo Chruszczowa, że zbrodnie w ZSRS zaczęły się dopiero w latach 30., gdy Stalin przejął pełnię władzy. To nieprawda, bolszewizm był zbrodniczy od początku do końca. ©

Piotr Zychowicz



SOZERKO MALSAGOW,
NIKOLAJ KISELIOW-
GROMOW
„POCZĄTKI GUŁAGU.
OPOWIEŚCI Z WYSP
SOŁOWIECKICH”

REPLIKA

Thomas Sowell, amerykański ekonomista i publicysta, napisał kiedyś książkę „Bieda, bogactwo i polityka w ujęciu globalnym”. Jest to doprawdy fantastyczna lektura. Nie tylko dlatego, że skutecznie obala socjalistyczne mity i pojęciowe kalki o „sprawiedliwości społecznej”, „redystrybucji bogactwa” i rzekomym „wyzysku”, na którym jakoby ma się od swego zarania opierać kapitalizm. Także, może jeszcze bardziej, z uwagi na to, że autor zebrał i uporządkował ogromną liczbę faktów oraz ciekawostek bardzo ważnych dla zrozumienia, dlaczego jednym ludom się powiodło lepiej, a innym mniej.

Niektóre z nich, może wstyd się do tego przyznać, były dla mnie zaskoczeniem. Na przykład to, że tzw. numerus clausus dla Żydów, czyli limit ograniczający im możliwość studiowania, istniał na większości amerykańskich uczelni wyższych nie tylko w okresie międzywojennym, lecz także nawet do lat 60. Przypomnę, że w Polsce, bezustannie oskarżanej o rzekome antysemickie prześladowania, takie same restrykcje



**Rafał A.
Ziembkiewicz**

/ Felieton

Aksamitny Orwell

pozostały, poza odosobnionymi przypadkami, jedynie postulatem. I sam fakt, że je u nas bezskutecznie postulowali zepchnięci pod rządami sanacji do roli pozaparlamentarnej i nielegalnej opozycji narodowcy, bezustannie jest przywoływany jako dowód na to, iż powinniśmy się swej historii wstydić i za nią przeproszać.

Otym, że jeszcze do lat 70. wiele amerykańskich hoteli, i to tych z najwyższej półki, podczas rezerwacji pytało, czy gość nie jest przypadkiem Żydem – bo jeśli tak, to nie obsługujemy – wiedziałem, mówił o tym kiedyś bodajże Jan Karcki. Dopiero od Sowell'a dowiedziałem się jednak, że „ani do branży medycznej, ani prawniczej Żydów nie przyjmowano z otwartymi ramionami. Żydowskie lekarze i prawnicy

/ W USA nie zaprzecza się faktom, nie pustoszy ani nie fałszuje archiwów.

Działa jednak zasada: „Spisane zostały czyny i rozmowy, tylko nikomu się tego nie chce czytać”

mogli pracować w sektorze prywatnym, blokowano im jednak dostęp do wielu szpitali i wiodących firm prawniczych... Żydowskie profesorowie przestali należeć do rzadkości dopiero po drugiej wojnie światowej”.

Dlaczego te proste informacje – które, jak się okazało, przy odrobinie wysiłku łatwo potwierdzić i rozszerzyć – nie istnieją w potocznej świadomości? Zapewne dlatego, że Amerykanie są mistrzami czegoś, co nazwałbym „aksamitnym orwellizmem”. Inaczej niż w totalitaryzmach nie zaprzecza się tu faktom, nie pustoszy ani nie fałszuje archiwów. Działa jednak zasada „spisane zostały czyny i rozmowy, tylko nikomu się tego nie chce czytać” (nie podaje, z czyjej powieści to cytat, bo byłoby to samochwalstwem). Zamiast czytania ludzie wolą oglądać. Nie trzeba więc ukrywać żadnych źródeł, tylko stworzyć atrakcyjniejsze, popkulturowe. I świat, tak jak w naszej narodowej komedii, „z samych filmów wie, jak było”.

A „prawda ekranu” jest inna od „prawdy czasu”. Przykład jaskrawy, niejedyny, to amerykańskie filmy wojenne, w których jak bracia, ramię w ramię walczą biali i czarni. W istocie nie tylko w II wojnie, lecz także jeszcze w Korei czarnych w ogóle nie dopuszczano do jednostek bojowych, a jeśli już – to w osobnych oddziałach, w których z kolei nie służyli żaden biali.

Ktoś bardzo skrupulatny może się doczepi, wtedy mu się wyjaśni, że to taka „licentia poetica”. Uważa Pan, że nie powinniśmy? Proszę napisać o tym książkę. Nikt jej nie będzie cenzurował, usuwał z bibliotek – skądże. Ani czytał. No, może poza grupą hobbystów, których opinie w żaden sposób nie przekładają się na świadomość „mas”. ©©



Piotr Semka

/ Felieton

Miejsce, o którym zapomniały bedekery

Do berlińskiego kościoła Maryi Królowej Męczenników trafiłem dość przypadkowo. Przemierzając Charlottenburg, zobaczyłem duży, ultranowoczesny kompleks kościelny, który jakoś umknął mi w czasie lektury przewodników o Berlinie.

Supernowoczesna architektura warszawskiego twórcy Hansa Schädela z początku lat 60. w zamierzeniu biskupów zachodnioniemieckich miała połączyć walor nowoczesności z surowością odpowiednią dla miejsca pamięci i modlitwy o księżach i świeckich zamordowanych w latach III Rzeszy.

Niedaleko stąd mieściło się więzienie Plötzensee, w którym naziści dokonywali egzekucji na przeciwnikach nazizmu.

Duży plac przed kościołem, otoczony szarym betonowym murem, ozdobiony tylko stacjami Drogi Krzyżowej, miał w symboliczny sposób przypominać obozowe place apelowe, na których dręczono więźniów.

Plac jest spory – zaprojektowano go na 10 tys. wiernych, w kościele jest miejsce dla 400 osób. Czas bardzo brutalnie zweryfikował te założenia. Na msze niedzielne przychodzi ok. 50 osób. W wielkim nowoczesnym wnętrzu, na tle ścian z nieupiększonego niczym betonu, sprawiają wrażenie małej garstki.

Gdy kościół powstawał, miał być elementem pamięci o sprzeciwie chrześcijan wobec Hitlera. W podzielonym murem Berlinie miało to charakter wyzwania wobec propagandy NRD, która w roli przeciwników nazizmu obsadzała niemal wyłącznie komunistów.

Ta rywalizacja odbiła się nawet na kościelnej krypcie męczenników. Chciano w niej złożyć szczątki ks. Bernarda Lichtenberga, pochowane po wojnie

/ Ów kościół Maryi Królowej Męczenników w Berlinie i miejsce wokół niego są zadbane. To, czego nie ma, to wierni

w berlińskiej katedrze, po komunistycznej stronie muru. Władze NRD odmówiły zgody na przeniesienie zwłok męczennika, który zmarł w drodze do obozu w Dachau. W tej sytuacji jedynym męczennikiem, którego szczątki złożono w kościele, stał się Erich Klausener, polityk katolicki zamordowany przez SS w czasie nocy długich noży w 1934 r. Zwłok kolejnego męczennika, jezuitę

Alfreda Delpa, nie ma – jego ciało po egzekucji w więzieniu Plötzensee zostało spalone, a prochy rozrzucono. To samo działo się ze szczątkami niemieckich kapłanów zamęczonych w Dachau.

W latach 70. na terenie tego kompleksu kościelnego zbudowano klasztor dla karmelitanek, których powołaniem stała się modlitwa za ofiary nazizmu.

Gdy przybywam na mszę w kościele, siostr jest tylko sześć, choć – jak się dowiaduję – jest ich w klasztorze tuzin. Spośród tych, które spotykam ma mszy, najmłodsza jest grubo po pięćdziesiątce.

Trudno ująć w słowa uczucie pewnego opuszczenia w tym miejscu. I nie chodzi o żaden rozpad warstwy materialnej kompleksu kościoła Maryi Królowej Męczenników. To nie jest tak, że jest to miejsce zapuszczone. Widać staranne utrzymywanie kościoła, plac przed świątynią jest wysprzątany. Między kostkami bruku nie da się zauważyć najmniejszej trawki. To, czego nie ma, to wierni.

A turyści ze świata tu zazwyczaj nie docierają, bo większość przewodników nie wspomina o tym miejscu. Tylko spora skala kościoła i wielkość placu zaplanowanego dla tysięcy wiernych przypominają o czasach, gdy katolicyzm był sporą siłą społeczną we „frontowym” Berlinie.

Chyba nigdzie mocniej niż właśnie tu nie poczułem postępu dechrystianizacji Niemiec. ©©

XV–XX w. / Kresy południowo-wschodnie

Zamek w Międzyborzu

FOT. ADOBE STOCK



Tomasz Stańczyk

/ Znajdujące się dziś w ruinie twierdze na Ukrainie były sceną upokarzającej ugody, heroicznej obrony i sercowego zawodu

Potężna forteca w Kamieńcu Podolskim oraz zamek w Chocimiu to imponujące zabytki na dawnych kresach Rzeczypospolitej. Nie można powiedzieć tego o nieodległych od nich ruinach zamku w Żwańcu. Z tej fortyfikacji pozostał

Zapomniane kresowe bastiony Polaków

zaledwie niewielki fragment. Czy więc warto jechać do Żwańca? Tak, jeśli się zna jego historię. Same mury niczego bowiem nie opowiedzą.

Zamek, a raczej zameczek w Żwańcu powstał za czasów Zygmunta III Wazy, z inicjatywy Walentego Kalinowskiego. „Było bowiem w modzie u nas na Podolu budować forteczki w owe czasy, i szlachetnemu celowi i szlachetnej próżności dogadzało się jednocześnie...” – pisał Antoni J. Rolle w „Zameczkach podolskich na kresach multańskich”.

Pod Żwańcem

Żwaniec dał nazwę kampanii stoczonej w 1653 r., podczas wojny Rzeczypospolitej z Kozakami Chmielnickiego i Tatarami z Chanatu Krymskiego. Niestety, była to kampania nieudana. Wojsko prowadzone przez króla Jana Kazimierza rozbiło jesienią obóz wokół zamku w Żwańcu. Dziewiętnastowieczny historyk Ludwik Kubala pisał o chłodzie, głodzie, mokrej paszy dla koni, mglistej i dżdżystej jesieni, coraz niższej temperaturze związanej ze zbliżającą się zimą, ziemi rozmokłej ciągłymi ulewami. Obóz polski tonął w błocie, a żołnierze wracali z podjazdów przemoczeni do suchej nitki. Wielu z nich zmarło z zimna i głodu.

Zaczęły się grabieże w poszukiwaniu żywności oraz dezercje. Żeby przywrócić dyscyplinę, schwytanych dezertersów wieszano. Morale wojska było złe. Znakomity poeta tego czasu, Jan Andrzej Morsztyn, świadek wydarzeń, napisał znamienny wiersz „Pieśń w obozie pod Żwańcem”, oddający defetystyczną atmosferę tam panującą:

*Bracia, bracia, do koni!
Już flaszka na stole
Dopadłszy szklanej broni,
Wypadajmy w pole!*

*By zabito żołdow
Wojnę i z jej głodem!
My wkroczmy [w] służbę nową
Z winem albo z miodem!*

*Chociażby pod Kamieńcem
Chmielnicki był z chanem –
Mnie pod biesiednym wieńcem
Dobra myśl hetmanem.*



Pozostałości zamku w Żwańcu

FOT. ADOBE STOCK

*Niech, kogo świerzbą plecy,
Wsiada na Tatory –
Ja z niego drwię pijęcy
Petercyment stary.*

*Nie pytam, co król myśli
I co stawia w radzie,
Jeśli Węgrowie przyszli,
Kto pójdzie w zakładzie.*

*Fraszka Mikiesz, Kemeni!
Za tego węgrzyna
Każdy z nas ich zamieni,
Co ma w krośnię wina.*

*Nie chcę na straże nocne,
Na szylwach, na harce.
To kunszt: zmóc trunki mocne
I szykować garce.*

*Niech mię wódz w podjazd zaśle
(Do beczki, nie dalej),
Pójdę, lecz przy tym hasle:
„Natoć” albo „nalej”.*

*Niech na mankament prochu
Skarżą się puszkarze:
Byle win stało w lochu,
Sęku na bazarze.*

*Nie pójdę do potrzeby,
Chociaż trwogę biją,
Ale nadstawię głęby,
Kiedy czop wybiją.*

*Kiedy żołdu nie płacą
I ćwierci w borg bieżą.*

*Kiedy i porę tracą,
Zimną nas ciemiężą,*

*Nalej i daj co trzeba
Sera i gomółki.
Stój! Nie mam do niej chleba
Królewskiego bułki!*

Tatarzy i Kozacy nie kwapili się do zaatakowania warownego polskiego obozu. Polacy także zachowywali się defensywnie, nie szukając rozstrzygnięcia w bitwie.

W grudniu 1653 r. polskie oddziały poniosły porażkę w starciach z Tatarami pod Żwańcem. Pragnąc ich zneutralizować, Jan Kazimierz przystał na ugodę z chanem krymskim, co ze strony Rzeczypospolitej wiązało się z wypłaceniem okupu przyrzeczonego we wcześniejszej ugodzie zborowskiej. I co więcej, z przyzwoleniem na to, by Tatarzy wracając do siebie na Krym, wzięli w jasyr (niewolę) mieszkańców Podola... Była to więc uгода upokarzająca.

Historyk Tomasz Ciesielski pisał w książce „Od Batochu do Żwańca”, że uгода ta nie zadowalała Kozaków, którzy zresztą zostali wyłączeni z rozmów, a zaniepokojeni postawą swoich tatarskich sojuszników zintensyfikowali rozmowy z carem moskiewskim. W ich rezultacie zawarto ugodę perejaśławską, która oznaczała włączenie Ukrainy do Wielkiego Księstwa Moskiewskiego.

Zamek w Żwańcu powrócił raz jeszcze na karty historii podczas konfederacji

barskiej. Zajął go brat słynnego Kazimierza Pułaskiego – Franciszek. O pomoc przeciw Rosjanom zwrócił się do baszy chocimskiego. Ten jednak odmówił, ale z Pułaskim poszło ok. 40 tureckich ochotników. „Do dziś pokazują w Żwańcu urwisty brzeg Dniestru, po którym wdzierali się ci przybysze z Pułaskim na czele, dążąc na pomoc spodziewającym się lada chwila oblężenia” – pisał Antoni J. Rolle. Ostatecznie, po krótkiej walce z Rosjanami w marcu 1769 r., konfederaci, tracąc 50 zabitych, wycofali się z zamczku żwanieckiego.

Konfederację barską można nazwać pierwszym powstaniem antyrosyjskim. Podczas kolejnego, po kościuszkowskim – listopadowego, pod Żwańcem zginął jego uczestnik, Wacław Seweryn Rzewuski, znany także jako emir Rzewuski, znakomity znawca Orientu i koni arabskich oraz hodowca tych ostatnich. Według jednej wersji zamordował go chłop z Hawryłowic pod Żwańcem, który miał go przeprowadzić przez granicę, licząc na łup. Jednak inna wersja głosi, że emir Rzewuski zginął w walce, w bitwie pod Daszowem.

Okopy Świętej Trójcy

Dzisiaj – po prostu Okopy, wieś na Ukrainie. W tym miejscu, u zbiegu Zbrucza i Dniestru, została założona przez hetmana wielkiego koronnego Stanisława Jana Jabłonowskiego w 1692 r., Okopy Świętej Trójcy miały na celu blokadę dostawy do twierdzy w Kamieńcu Podolskim, którą, wraz z Podolem, przejęli Turcy na mocy traktatu buczackiego 20 lat wcześniej. W Okopach schronili się Ormianie z Kamieńca Podolskiego, nie chcąc pozostawać pod turecką władzą.

Znaczenie militarne twierdza miała zaledwie przez kilka lat – do 1699 r., gdy traktat karłowicki przywrócił Polsce Podole i twierdzę w Kamieńcu Podolskim. Jednak rok później król August II nadał Okopom prawa miejskie. W tym czasie powstał także kościół pw. Trójcy Świętej.

Umocnienia twierdzy posłużyły od końca 1768 r. do obrony konfederatom barskim pod wodzą Kazimierza Pułaskiego. Utrzymywali się tam przez kilkanaście tygodni. Antoni Lenkiewicz, biograf Pułaskiego, pisał: „Stan twierdzy,

a w szczególności spalone więzania bram kamiennych, zawalone fosy, rozmyte wały, zrujnowane baszty, wszystko to, przy szczupłych siłach i brakach broni, nie wróżyło skutecznej obrony. Kazimierz wykluczał tym razem możliwość kapitulacji i zdecydowany był paść w walce, a nawet popełnić samobójstwo”.

Rosjanie po całodziennej walce 8 marca 1769 r. zdobyli Okopy Świętej Trójcy. Część obrońców, z Kazimierzem Pułaskim, wymknęła się z okrążenia, schodząc wraz z końmi po urwistym brzegu Dniestru. Niektórzy z nich spadli i potopili się w rzece. Według jednej wersji część konfederatów, nie chcąc iść do niewoli, wysadziła się w powietrze w murach kościoła. Według innej – kościół spalili Rosjanie.

Okopy Świętej Trójcy zapisały się w literaturze polskiej dzięki Zygmuntowi Krasińskiemu i jego „Nie-Boskiej komedii”. Krasiński nie przywoływał jednak historii związanej z tym miejscem – które zresztą odwiedził – lecz uczynił je terenem batalii między arystokracją, obrończynią wartości chrześcijańskich a rewolucjonistami. Jeden z bohaterów dramatu, Leonard, mówi do Pankracego: „Arystokraty w bezzilności swojej zawarli się w Św. Trójcy i czekają naszego przybycia jak noża gilotyny. Naprzód, mistrzu, bez zwłoki naprzód, i po nich”. Ostatecznie jednak rewolucjoniści

przegrywają, a ich przywódca Pankracy wyznaje tuż przed śmiercią: „Galilae, vicisti!” („Chrystusie, zwyciężyłeś!”).

Krasiński zapewne wybrał właśnie to miejsce, gdyż jego ród był mocno związany z konfederacją barską. Jej wybitnym przywódcą był Adam Stanisław Krasiński, biskup kamieniecki, upamiętniony w 2016 r. w murach katedry w Kamieńcu Podolskim tablicą pamiątkową.

Kościół w Okopach, spalony przez Ukraińską Powstańczą Armię w 1943 r., został odrestaurowany m.in. z funduszy Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, 70 lat później. Pamiątką zaś po twierdzy są dwie bramy: kamieniecka i lwowska.

Tekla z Międzyborza

Imponujące wrażenie robią ruiny potężnego zamku w Międzyborzu na Ukrainie. Prowadzone są tam prace restauracyjne. Zamek Sieniawskich powstał w XV–XVI w. i w jego historii był epizod oblężenia w 1566 r. przez Tatarów. Międzybórz to także ważne miejsce w biografii Tadeusza Kościuszki, który jako generał wojsk koronnych, dowódca dywizji, stacjonował w zamku w 1790 r. Właśnie tam ten ponad 40-letni, nieżona-



Jedna z dwóch bram – pozostałość po twierdzy w Okopach FOT. ARCHIWUM



Kazimierz Pułaski FOT. WIKIPEDIA



Tadeusz Kościuszko

FOT. WIKIPEDIA

ty, bohater walk o niepodległość Ameryki Północnej, poznał 18-letnią Teklę Żurowską.

Antoni J. Rolle pisał w szkicu „Z dziejów serca”, że dziewczyna „zapagnęła poświęcić się, osłodzić nieszczęśliwemu wszystkie, ale to wszystkie troski i zawody, tak, żeby pod wpływem tego poświęcenia zapomniał o chmurnej przeszłości”. A był w niej wielki zawód miłosny, związany z brakiem zgody ojca Ludwika Sosnowskiej na ślub Kościuszki z nią. Rolle tak charakteryzował Teklę Żurowską: „Piękna była – nie imponującą pięknnością, ale krasą polskiej dziewczyny. Nieśmiała, żądna wiedzy, pod opieką panny Anny Grabinczanki wykształciła się wcale dobrze, trochę egzaltowana, marząca o rycerzach, gotowa była oddać rękę bohaterowi”.

Zakochani wymieniali między sobą listy. Kościuszko pisał je do Tekli w komnacie międzyborskiego zamku i w rozjazdach, gdy inspekcjonował swoje oddziały. „Nigdy a nigdy o Tobie nie zapomnę. Mocno jesteś w moim sercu wrażona, aby odmiana sprawić się mogła przez czas lub odległość. Prędzej Twoje uczucie zmieni się widokiem młodszych i bogatszych – jak ojciec ma nadzieję”.

Uczucie Tekli się nie zmieniło, lecz na przeszkodzie małżeństwu z Kościuszką stanął jej ojciec. Miał nadzieję na bogatszego kandydata na męża, z lepszymi

parantelami, posesjonata, podczas gdy Kościuszko miał tylko generalską pensję i jedną wioskę. Co więcej, ojca Tekli dzieliły z Kościuszką poglądy polityczne. Kościuszko należał do zwolenników reformy ustroju Rzeczypospolitej, a Żurowski był tradycjonalistą, niechętnym zmianom mającym uzdrowić państwo. Chociaż córka błagała ojca o zgodę na małżeństwo i prosił o nią Kościuszko, Żurowski okazał się nieustępliwy. I żeby przerwać romans, wywiózł daleko córkę z Międzybórz, by nie miała możliwości spotykać się z Kościuszką. Opisujuący romans Kościuszki i Żurowskiej historyk Tadeusz Korzon zrobił uwagę – jakby ubolewając nad biernością generała – że przecież nic by go nie kosztowało porwanie zakochanej panny Żurowskiej, a taka awantura uszłaby mu z pewnością na sucho.

Zamek i marszałek

Zamek w Brzeżanach wybudował w XVI w. Mikołaj Sieniawski. Była to wspaniała magnacka rezydencja. W poemacie „Jan Bielecki” Juliusz Słowacki pisał:

*Pan Brzeżan lubi żyć w królewskim dworze,
Co ma król polski, i szlachcic mieć może.
Posadзки wzorem włoskim marmurowe,
Na ścianach srebrem tkane adamaszki;
Gęsto się lampy lśnią alabastrowe.*

Zamek, niezamieszany od XVIII w., popadł w ruinę w XIX w., dodatkowo uległ zniszczeniu podczas I wojny światowej i w takim stanie pozostaje do dziś, choć teraz prowadzone są prace konserwatorskie przy zamkowej kaplicy. A była ona wspaniałym mauzoleum rodziny

Sieniawskich. Była, gdyż właściwie nie nie pozostało w jej wnętrzu. Na szczęście podczas wojny Polski z bolszewicką Rosją zostały wywiezione z kaplicy wybitne dzieła artystyczne – cynowe sarkofagi Sieniawskich, umieszczone następnie w zamku w Pieskowej Skale.

W XIX w. brzeżański zamek był wykorzystywany m.in. jako browar i koszar austriackiego wojska. A jednym z żołnierzy, którzy tu stacjonowali, był pochodzący spod Krakowa Tomasz Rydz – ojciec urodzonego w Brzeżanach w 1886 r. Edwarda Śmigłego-Rydza.

Stanisław Sławomir Nicieja pisał w książce „Twierdze kresowe Rzeczypospolitej”, że będąc w Brzeżanach, w których dziś język ukraiński jest tak powszechny jak polski przed wojną, zdziwił się ogromnie, gdyż wszyscy wiedzą i szczytą się tym, że w ich mieście urodził się marszałek Polski, pokazując domy, w których mieszkał, i szkołę, do której chodził. Grób jego matki, Marii Rydz, znajduje się na brzeżańskim cmentarzu. A w miejscowym muzeum jest gabłota poświęcona marszałkowi. Po odzyskaniu niepodległości Śmigły-Rydz kilkakrotnie przyjeżdżał do Brzeżan. Miał sentyment do miasta, z którego pochodził.

Marszałek Śmigły-Rydz to z pewnością postać kontrowersyjna, oceniana raczej negatywnie. Ukazała się właśnie jego biografia – pierwsza po wielu latach – autorstwa Sławomira Kopra i Tymoteusza Pawłowskiego, autorów artykułów w „Historii Do Rzeczy”. Nosi tytuł „Tajemnice marszałka Śmigłego-Rydza” (wydawnictwo Harde). A tajemnice te dotyczą także jego pochodzenia i młodości spędzonej w Brzeżanach.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Maciej Rosalak

/ Spośród wielu wybitnych postaci swego rodu hetman Jan Amor Tarnowski jest zapewne postacią najwybitniejszą

Herb Tarnowskich-Leliwa, niepełny księżyc z gwiazdą na niebieskim polu, pojawił się już na początku XIII w. na ziemi krakowskiej i sandomierskiej. Do historii ród ów trafił dzięki Spycimirowi Leliwicie. Był to rycerz małopolski, który stanął u boku Władysława Łokietka w jego walce o tron krakowski i wiernie przy nim wytrwał. Toteż w 1317 r. został kasztelanem sądeckim, a dwa lata później – wiślickim. W 1320 r., czyli w roku koronacji króla Władysława, został wojewodą krakowskim, pomiedzy zaś rokiem 1330 a 1331 otrzymał godność kasztelana krakowskiego. On też założył Tarnów i miał dwóch synów: Jana z Melsztyna i Rafała z Tarnowa. Od pierwszego wywodzą się Melsztyńscy (ze sławnym husytą Spytkiem III z Melsztyna), a od drugiego – Tarnowscy.

Ojcem naszego bohatera był Jan Amor Junior Tarnowski (1420/1430–1500), wojewoda i kasztelan krakowski. Z pierwszą żoną miał dwóch synów i trzy córki, natomiast w następnym małżeństwie – syna i córkę. Ich matką była Barbara z Rożnowa, wnuczka Zawiszy Czarnego, więc nie ma się co dziwić, że właśnie ów syn, Jan Amor (1488–1561), w szóstym pokoleniu potomek Spycimira Leliwity – choć w dzieciństwie chorowity i przeznaczony na księdza – został w przyszłości hetmanem wielkim koronnym.

Jan Kochanowski tak pisał o przewagach wojennych naszego bohatera:

*Czujnym stróżem był zawsze pospolitej rzeczy,
Jej pożytek, przed swoimi, miał na dobrej pieczy;
Jego dzielność, i sprawa znaczna była w boju;
Znaczny jego porządek i rozum w pokoju.*

*Bił Tatary w Podolu, i Turki waleczne.
W Moskwie znaki zostawił swego męstwa wieczne.
Równym poczem wielki lud wołoski poraził,
Nieprzyjaciół serce i napotem skaził.*



U góry: herb Leliwa. Obok: najemny pieszy strzelec króla polskiego w kirsie płytowym, z rusznicą lontową, krótkim mieczem i sztyłem

RYS. MAREK SZYSZKO



Poczet wodzów / Mistrzowie

Nie tylko

(„O śmierci Jana Tarnowskiego, Kasztelana Krakowskiego, do syna jego Jana Krzysztofa”, Kraków 1561, Drukarnia Łazarzowa)

Stróż pospolitej rzeczy

Od wczesnej młodości widzimy Jana Amora na polach bitew. Miał zaledwie 20 lat, gdy jako rotmistrz dowodził zaciętną chorągwią jazdy podczas wojny moskiewskiej lat 1507–1508 i pierwszej bitwy pod Orszą. Sześć lat później na czele hufca ochotniczego, złożonego z młodzieży najslawniejszych polskich rodów, wziął udział w kolejnym, jeszcze sławniejszym pogromie Moskwy, dokonany przez hetmana wielkiego

litewskiego Konstantego Ostrońskiego pod Orszą (1514, patrz: poprzedni numer „HDR”).

W 1512 r. prowadził chorągiew kawalerii przeciw Tatarom, walcząc pod wodzą hetmana wielkiego koronnego Mikołaja Kamienieckiego pod Łopusznem i Wiśniowcem. Nawet podczas wielkiej podróży w latach 1518–1521 – do Ziemi Świętej i po krajach muzułmańskiego Bliskiego Wschodu oraz chrześcijańskiego Zachodu – stanął u boku portugalskiego króla Emanuela I Szczęśliwego w wojnie z Maurami. Król pasował go za to na rycerza. W Jerozolimie pasowano go zaś na rycerza Zakonu Grobu Bożego, a w Rzymie przyjął go papież Leon X. Z kolei papież Paweł III wystosował doń (1535) brewe z odpustami i przywilejami, cesarz Karol V nadał mu (1547)

staropolskiej sztuki wojennej – Jan Amor Tarnowski



Jeździec wołoski
z kopią, tarczą
typu węgierskiego
i szablą

RYŚ. MAREK SZYSZKO

Obertyn

zaś tytuł hrabiego Świętego Cesarstwa Rzymskiego, który miał być i był dziedziczony przez potomków...

Za gestem cesarza kryło się niewątpliwie uznanie dla postawy Tarnowskiego, który – wbrew polityce króla Zygmunta I – parł do konfliktu z Turcją, stając się nolens volens stronnikiem Habsburgów. Trzeba jednak zaznaczyć, że zadrażnienia z Wawelem nigdy nie skłoniły wielkiego magnata do frondy wobec swego władcy. Przeciwnie – podczas tzw. wojny kokoszej stanął przy królu, oddawał wielkie usługi państwu, sprawując najwyższe urzędy, a wreszcie wspierając ostatniego Jagiellona na tronie, Zygmunta II Augusta, podczas jego politycznych kłopotów z powodu ożenku z Barbarą Radziwiłłówną.

Chociaż Zygmunt I uraził go kilkakrotnie niezamierzonymi, ale i zamierzonymi

afrontami, to przecież doceniał jego talenty, umysł i znaczenie. Tarnowski był wszak potomkiem zasłużonego dla Królestwa Polskiego rodu, skolięganego z innymi największymi rodami w kraju, posiadaczem pięciu miast i 120 wsi – głównie w Małopolsce i na Rusi, ale też m.in. w Czechach. Został kasztelanem wojnickim (1522), wojewodą ruskim (1527), wojewodą krakowskim (1535), a wreszcie kasztelanem krakowskim (1536), zajmującym pierwsze miejsce pośród senatorów świeckich. Król powierzył mu także starostwa: sandomierskie, lubaczowskie, stryjskie i chmielnickie.

Na początku lat 20. XVI w. Jan Amor opracował strategię wojny z zakonem krzyżackim, która sprawdziła się zwłaszcza podczas pierwszego etapu konfliktu. W 1521 r. ruszył na pomoc węgierskiemu

królowi Ludwikowi Jagiellończykowi walczącemu z Turkami, a trzy lata później rozbił zagon turecki pod Lwowem. W 1527 r. za zasługi wojenne otrzymał stanowisko hetmana wielkiego koronnego, które – z przerwami – piastował niemal do końca życia. Właśnie jako hetman wielki otrzymał w 1531 r. zadanie odparcia najazdu Mołdawian na Pokucie, które wykonał pod Obertynem w najślawniejszej ze swych zwycięskich bitew (piszę o tym niżej). Sukcesy odniósł w kolejnej wojnie Litwy z Moskwą (1534–1537), zdobywając Homel, a następnie Starodub. W 1538 r. znów przyszło mu bronić południowych rubieży przed hospodarem mołdawskim Rarešem.

To właśnie hetman Tarnowski unowocześnił armię polską, organizując jej sztab, artylerię konną, szpitale polowe utrzymywane z funduszy królewskich, oddziały saperów, służby logistyczne na czele z oboźnym, kapelanów i sądy wojskowe kierujące się „aktami hetmańskimi” – pierwszym u nas kodeksem dyscypliny wojskowej. Wielce zasłużył się też ojczyźnie, fortyfikując miasta na południowym wschodzie państwa, a także zakładając Tarnopol – stolicę oraz opokę Podola. Do historii staropolskiej wojskowości przeszedł też jako autor znakomitego dzieła „Consilium rationis bellicae” („Rada sprawy wojennej”), z którego wiedzę czerpali najznakomitsi jego następcy – wodzowie Rzeczypospolitej.

Pisał tę rozprawę u schyłku życia i – patrząc z troską na przyszłość polsko-litewskiego państwa – zawarł na początku przestrozę: „Królowie zatem, książęta, i ci, co rzeczami pospolitemi rządzą, tak sobie poczynać winni, iżby w czasie pokoju radzili i rozmyślali o przyszłych wojnach, ażeby wedle sił swoich nieprzyjaciela odeprzeć, i od karków go i granic swoich odpędzić mogli”.

Spośród wielu jego trafnych uwag zwraca szczególną uwagę ta, która legła u podstaw naszych największych zwycięstw, a mianowicie nie tylko o użyciu ciężkiej konnicy w ostatecznym przełamaniu wrogich szyków, lecz także o współdziałaniu wszystkich rodzajów wojsk. Pisał do swoich następców: „Zadaniem hetmana jest takie wykorzystanie sił, które posiada, by zapewnić im największą efektywność i pewne wykorzystanie potencjału... aby użył dział, strzelby ręcznej, ludzi zbrojnych lekkich, aby każda rzecz ku pożytku

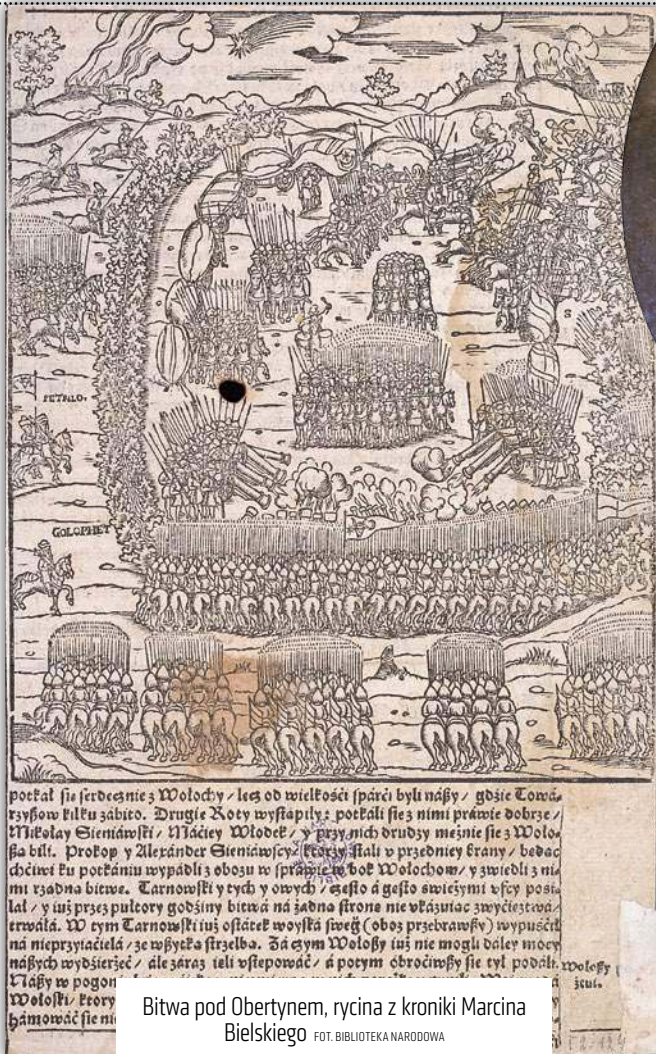
■ przyszła, a iżby się żadna rzecz, gdy już potykanie ma być, nie zmieszała”.

Tak właśnie, jak napisał, do-
wodził pod Obertynem. On też
ze znakomitym skutkiem jako
pierwszy u nas wykorzystał
tam walory taboru – rucho-
mej warowni z połączonych
łańcuchami wozów, obsadzo-
nej przez „lud ognisty”, czyli
strzelców i artylerzystów. Czy-
tamy: „Wynaleźli też taktykę
czescy husyci, a na nasz grunt
przenieśli ją Polacy służący
w armiach husyckich i przede
wszystkim sami Czesi, którzy
jako sojusznicy lub żołnierze
najemni brali udział w woj-
nach z Krzyżakami”.

Obertyn 1531

Do bitwy pod wioską
Obertyn na Pokuciu doszło
22 sierpnia 1531 r., gdy
niespełna sześciotysięczne
wojska polskie (w tym prawie
1,2 tys. piechoty i 12 dział)
zostały zaatakowane przez
niemal trzykrotnie liczniejszą
i dysponującą 50 działami
armię hospodara mołdaw-
skiego Piotra Rareșu zwanego Petryłą
(1487–1546).

Hospodar był 10-letnim bękartem
Piotra III Wielkiego (1433–1504), gdy ta-
tuś zdradzieckim podstępem poszarpał
armię polską Jana Olbrachta na Bukowi-
nie (1497). Wprawdzie nie był to żaden
pogrom, bo gdy do akcji wkroczyła nasza
zawodowa konnica, goniła wiarołom-
ców aż po brzegi Seretu, ale wcześniej
wyrznięli oni ponad 10 tys. polskiej
szlachty, sojuszników i czeladzi. Od tego
momentu nie ma już mowy o składaniu
hołdu królom polskim, jak to bywało od
czasów Jagiełły. Petryła mógł pamiętać
o polskich trupach na Bukovinie podob-
nie jak o turecko-mołdawskiej ofensy-
wie, która potem weszła w Królestwo
Polskie jak w masło, a w świeżej pamięci
miał klęskę węgierską i śmierć Ludwika
Jagiellończyka w bitwie z Turkami pod
Mohaczem (1526), która zmieniła układ
sił w tej części Europy. Chciał iść śladem
ojca, najwybitniejszego z władców
mołdawskich, który stworzył Wielką



Bitwa pod Obertynem, rycina z kroniki Marcina Bielskiego

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Mołdawię, wygrał liczne bitwy i zrcz-
nie lawirował między Polską, Węgrami,
Wołoszczyzną oraz Turcją.

Po Mohaczu Rareș uznał wprawdzie
supremację sułtana, ale chciał ją zrzucić
dzięki sojuszowi z Moskwą i Wiedniem.
Wcześniej jednak – korzystając z turec-
kiego protektora – zagarnął Pokucie,
południowy skrawek Rusi Halickiej
z Trembowłą, Kołomyją, Gwoźdźcem
i ze Śniatyniem, należąca do Polski od
Kazimierza Wielkiego poczynając. Dla-
tego w grudniu 1530 r. wtargnął na tę
ziemię, zdobył Śniatyn i Kołomyję oraz
pokonał słabe oddziały obrony potocz-
nej pod Chocimiem. Oparł mu się tylko
Gwoździec. Czy zaciekość, z jaką zaata-
kował Polskę, wynikała również z tego,
że więziono go tu na zamku w Malborku
(zresztą zgodnie z życzeniem brata
Bogdana III Ślepego) – trudno orzec.

Na wieść o najeździe Zygmunt I wysłał
poselstwo do sułtana Sulejmana Wspa-
niałego, który odciął się od poczynañ
Petryły, zastrzegając jednak przy tym



Hetman wielki koronny Jan Amor Tarnowski

FOT. WIKIPEDIA

swe prawa lenne do Mołda-
wii. Sejm walny, obradujący
w Piotrkowie, uchwalił wtedy
podatki na wojnę, a król oddał
w czerwcu 1531 r. jej prowa-
dzenie w ręce Jana Amora
Tarnowskiego, zastrzegając,
aby nie przenosił działań na
terytorium mołdawskie. Po
dwóch miesiącach wojsko
polskie wkroczyło na Pokucie
i błyskawicznie oczyściło je
z wrogów. Nie mogło jednak
na tym poprzestać, bo Rareș
zgromadził kilkusetosobną
armię, a sześciotysięczny

korpus mołdawski ponownie obległ nie-
ustraszony Gwoździec. Tarnowski ruszył
oczywiście z odsieczą i bez trudu – choć
miał siły równe liczebnie – rozbił wrogów,
kładąc trupem 2 tys. z nich. I byłby gotów
na tym poprzestać, gdyby nie gospodar,
który nastąpił nań z całą potęgą swej lek-
kiej jazdy, bojarów i najemnych piechurów
oraz artylerzystów.

Petryła, stojąc na czele 17 tys. Moł-
dawan, sądził, że urządzi Polakom taką
krwawą łaźnię, jaką 34 lata wcześniej
jego tata sprawił im na Bukovinie. Fakt,
że polski wódz przeniósł obóz na wzgó-
rze, z gęstym lasem chroniącym tyły,
otoczył go 250 wozami i nie próbował
spędzić z pola mołdawskich harcowa-
ników, tylko utwierdzał hospodara
w przekonaniu o swym nieuchronnym
zwycięstwie. Z początku obydwie strony
prowadziły wymianę ognia z dział.
Następnie hufiec walny polskiej konnicy,
wspierany hufcami posiłkowymi, wy-
szedł przez jedną bramę obozu z dwóch
i wytrwale atakował mołdawskie szyki.

W pierwszym szeregu jechali kopijnicy odziani w żelazne zbroje i na opancerzonych koniach, za nimi postępowali lżejsi zbrojni husarze, również ze śmiertelnymi kopiami, a zza nich konni łucznicy wypuszczali chmury strzał przegradzających nieprzyjacielskie szeregi. Łucznicy mołdawscy byli bezradni wobec pancernego czoła polskich jeźdźców. Jednak Rareș utwierdzał się w przekonaniu, że Polacy chcą wyrąbać drogę odwrotu i czmychnąć. Dlatego stopniowo ściągał na ten odcinek wszystkie siły. Tarnowski tylko na to czekał...

Rzucił oto do walki trzymający cały czas w odwodzie hufiec czelny, wsparty oczywiście jeźdźcami hufca walnego i hufców posiłkowych. Tym razem łucznicy strzelali z bliska, na wprost, a następnie rozstąpili się na boki, dając miejsce do szarży kopijnikom i husarzom. Przewaga Polaków w uzbrojeniu, wyszkoleniu i dowodzeniu okazała się wystarczająca, aby zniwelować trzykrotną przewagę liczebną Mołdawian. Nie wytrzymali oni natarcia wszystkich sił polskich. Przy okazji konnica rtm. Aleksandra Sieniawskiego zagarnęła całą artylerię wroga, a wypad piechoty umożliwił skierowanie przeciw wrogom ich własnych dział. Ogień i atak przeprowadzone z rozbitych skrzydeł przesądziły o wyniku bitwy. W ślady uciekających ruszyli jeźdźcy z trzymającego się jeszcze wokół wodza centrum.

Odwrót przerodził się w panikę, a tak – jak to zwykle bywało – w rzeź uciekających. Dokładnie obliczono straty obu stron: 7746 zabitych po stronie mołdawskiej (trzecia część pod taborem) i 256 po stronie polskiej. Nieprzyjaciół padłoby jeszcze więcej, gdyby granica nie leżała zaledwie 10 km dalej. Tarnowski – pomny instrukcji króla – zakazał ją przekraczać. Dlatego ocalał i sam Rareș. Ciągłe jeszcze napadał na Polskę, w 1538 r. zabijając nawet 900 polskich żołnierzy na Podolu, aż dość tego mieli i król polski, i sułtan turecki. Petryła wraz ze swym krajem stracił nawet pozory niezależności. Pokój zawarty między Zygmuntem I Starym i Sulejmanem Wspaniałym w 1533 r. przetrwał okres panowania nie tylko obu władców, lecz także ich następców po początek XVII stulecia. Wielka w tym zasługa Jana Amora Tarnowskiego oraz skutek jego – niezwykle przekonujące – zwycięstwa pod Obertynem.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Religia, młot i obcegi na uniwersytecie



Maciej Rosalák

Słynne powiedzenie, że „religia to opium dla mas”, Karol Marks zawarł w „Przyczyńku do heglowskiej filozofii prawa” z 1843/1844 r. „Od rewolucji światowej dzieli nas tylko Chrystus” – powtarzali za Marksem i Stalinem bezbożnicy wojujący z religią w Związku Radzieckim lat 20. i 30. XX w. W zakresie teorii wspomagał ich Anatolij Łunaczarski – ludowy komisarz oświaty: „Religia jest jak gwóźdź, kiedy uderzysz w głowę, wbijesz go tylko głębiej. Potrzebne są obcegi. Religię trzeba schwytać mocno, podważyć od spodu, nie trzeba bić z góry, ale wyciągać, wyciągać z korzeniami. To zaś można osiągnąć tylko propagandą, poprzez moralną i artystyczną edukację mas”. W zakresie praktyki natomiast postąpił nie do przecenienia okazał się Feliks Dzierżyński, którego Czecha waliła „z góry” tak mocno, że i z „głowy” – czyli z duchowieństwa Cerkwi prawosławnej oraz Kościoła rzymskokatolickiego, a także ze wspólnot judaistycznych i islamskich – niewiele zostało. Cieszyli się dziarscy komsomolcy, wojujący bezbożnicy, sprawni w obsłudze zarówno obcęgów, jak i młota. Radowali się, zuchy.... Przynajmniej w życiu doczesnym.

Wielką radość mieli też ich ideowi następcy, którzy 3 maja 2019 r. w Auditorium Maximum Uniwersytetu Warszawskiego entuzjastycznie reagowali na bezbożny występ redaktora magazynu „Liberté” – Leszka Jażdżewskiego. W istocie wypowiedź godna jest umieszczenia w szeregu błuźnierstw na wystawach plastycznych, przedstawieniach teatralnych, projekcjach filmowych, w oświadczeniach opozycyjnych polityków i celebrytów, których doświadczamy w ostatnich latach. Zwłaszcza że Jażdżewski zapowiadał w ten sposób „wykład” przewodniczącego Rady Europejskiej Donalda Tuska, a obok niego miejsce w pierwszym rządzie zajął Jego Magnificencja rektor UW – prof. Marcin Pałys. Zdarzyło się to w dzień wielkiego święta narodowego, a zarazem Najświętszej Maryi Panny Królowej Polski, miesiąc przed 40. rocznicą pierwszej pielgrzymki Jana Pawła II do ojczyzny, dokładnie w tym samym czasie, gdy tysiące Polaków z prezydentem i premierem podziwiała defiladę Wojska Polskiego, odbywającą się u podnóża skarpy wiślanej, na której stoi uniwersytet.

Profesor Pałys już w 2012 r., gdy ubiegał się o stanowisko rektora, tak określił swe główne cele: utrzymanie czołowej pozycji UW w Polsce oraz osiągnięcie większej rozpoznawalności w świecie. No więc jest Pan na dobrej drodze, Panie Rektorze! Wiele się dzieje na kierowanej przez Pana uczelni w dziedzinie użycia obcęgów. Może by tak przejść do młota? Doświadczenia bolszewickich bezbożników w dziele prześladowań osób wierzących, niszczenia świątyń, profanacji grobów i przedmiotów kultu religijnego są tu zaiste godne naśladowania. Śmiało!

Autor jest absolwentem UW z roku 1970.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Uzbrojenie dla KOP



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego
w Warszawie



Żołnierz KOP uzbrojony
w pięcionabojowy berthier
wz. 1916 FOT. NAC

W pierwszej połowie lat 20. rozpoczął się w Wojsku Polskim żmudny proces unifikacji uzbrojenia i wyposażenia.

Niestandardowe broń i ekwipunek, sukcesywnie wycofywane z oddziałów regularnych i zastępowane nowszymi wzorami, kierowano do formacji paramilitarnych, a także do Korpusu Ochrony Pogranicza. Indywidualne uzbrojenie strzeleckie reprezentowane było przez austriackie karabiny i karabinki (kb/kbk) systemu Mannlichera kal. 8 mm oraz francuskie kb/kbk Berthier także ośmiomilimetrowe, ale dostosowane do innego naboju. To właśnie pamiętająca czasy I wojny światowej broń francuska stała się z czasem standardową i przetrwała na uzbrojeniu KOP do połowy lat 30.

Pięcionabojowy Berthier wz. 1916, w który uzbrojony jest żołnierz na

zdjęciu, miał względnie dobre parametry taktyczno-techniczne, chociaż wyróżniała go nadmierna długość – wraz z klującym czwórgrannym bagnietem mierzył ponad 180 cm. W szwadronach kawalerii używano skróconej wersji berthiera – kbk, do którego stosowano bagniet sieczny. Tymczasem w WP standardową bronią strzelecką od początku lat 20. były kb/kbk Mausera wz. 98 kal. 7,92 mm produkowane w Fabryce Karabinów w Warszawie. Zakończenie procesu przebrajania w oddziałach regularnych umożliwiło z kolei wymianę uzbrojenia w KOP. Do 1936 r. broń francuska została zastąpiona systemem Mausera.

Chłodzony wodą niemiecki cekaem Maxim, pomimo skomplikowanej budowy i dużej masy (wraz z tzw. saneczko-wą podstawą ważył blisko 60 kg), był bronią pełnowartościową, a ponieważ strzelał standardową amunicją kal. 7,92 mm, pozostał na uzbrojeniu Korpusu do września 1939 r. Pozostałe wzory,

zwłaszcza mocno zużyte i posiadające wątpliwą wartość bojową francuskie chauchaty kal. 8 mm, a także niedbale przerobione na amunicję mauserowską hotchkissy wycofano ostatecznie w latach 30. Etatową ciężką broń maszynową uzupełniono wspomnianymi maximami (w WP od lat 30 podstawowym cekaemem był Browning wz. 30), natomiast lekkie kaemy zastąpiono standardowymi w WP erkaemami Browning wz. 28 kal. 7,92 mm. Arsenał uzupełniały nieliczne elkaemy Maxim wz. 1908/15, będące „odchudzoną” wersją cekaemu.

Pod koniec lat 30. zakupiono dla KOP doskonałe, nowoczesne armaty przeciwpancerne wz. 36 kal. 37 mm produkowane na licencji szwedzkiego Boforsa w podwarszawskim Pruszkowie. Utworzono także jednostki artylerii polowej wyposażone w szybkostrzelne eksfrancuskie „siedemdziesiątkipiątki”; konstrukcja ze schyłku XIX w. wciąż spełniała wymogi nowoczesnego pola walki. Broń stromotorową stanowiły moździerz-rye wz. 28 i 31 kal. 81 mm oraz granatniki wz. 36. KOP otrzymał także karabiny przeciwpancerne wz. 35 kal. 7,92 mm, czyli popularne ury, które w kampanii wrześniowej dowiodły swojej wysokiej skuteczności. Wspomnieć wypada też o pistoletach maszynowych (słynny Mors wz. 39 nie zdążył przejść prób poligonowych przed wrześniem 1939 r.). Otóż na uzbrojeniu Korpusu znalazły się amerykańskie thompsony M1928 kal. 0,45 cala (11,43 mm). Peem zaśłynął podczas interwencji amerykańskich marines w Nikaragui w 1928 r., o czym szeroko rozpiswała się prasa: „Nowe modele są doskonałe przeciwko bandom, ukrywającym się w zasadzkach w Nikaragui [...]”. W wielu wypadkach niewielkie oddziały marines odparły ataki licznie większych oddziałów bandytów dzięki użyciu tej nowej broni. Mała waga i wielka skuteczność ognia karabinu Thompsona [sic!] na krótkim dystansie szczególnie nadaje się do walki w lasach Nikaragui” („New Canadian Advertiser”, styczeń 1928 r.). Broń oceniano jako przydatną w służbie policyjnej, stąd niewielką partię zakupiono dla KOP. ©©



Bagnet do karabinka Berthier

Francuski bagnet typu szpada (wz. 1886) jest jednym z najbardziej rozpoznawalnych bagniet świata, ale armia III Republiki miała w swoim arsenale także bagnet typu nożowego – wz. 1892. Stosowano go do karabinków systemu Berthiera. Jednosieczna głównia długości 400 mm miała obustronne zbrocze sięgające niemal sztychu. Rękojeść dostosowano do kształtu ręki i zaopatrzone w okładki z utwardzonego kauczuku mocowane stalowymi nitami bez podkładek. Bagnet posiadał dwupunktowe osadzenie na kbk – w głowicy znajdował się okrągły wpust na krótki bolec kara-

binka, który blokowano za pomocą sprężynowego zatrzasku, natomiast jelec zaopatrzone w otwór na lufę; ramię jelca zagięte było w kierunku głównej. Wz. 1892 podlegał w ciągu służby drobnym modyfikacjom. Okładki z tworzywa sztucznego zastąpione zostały drewnianymi, a najistotniejszą zmianę wymusiła wojna okopowa – wydatne ramię jelca uległo znacznemu skróceniu. Bagnety te używane były także w Wojsku Polskim – znaczna ich liczba trafiła do kraju wraz z armią gen. Józefa Hallera, a potem w drodze zakupów. W 1924 r. na stanie znajdowało się ponad 26,5 tys. sztuk. ©©

Jasny gwint!

Półowa XIX w. przyniosła rewolucję w uzbrojeniu strzeleckim. Upowszechniły się wówczas karabiny gwintowane strzelające udoskonaloną amunicją. Okrągłą kulę zastąpił walcowaty i stożkowo zakończony pocisk. Ikona zmian był Francuz Claude Minié, wynalazca praktycznej amunicji ekspansywnej: w wydrążeniu dennej części pocisku znajdował się metalowy klin, który w momencie strzału wbijał się pod wpływem gazów prochowych, powodując rozszerzenie ścianek pocisku i wcięcie w bruzdy lufy. Innym popularnym typem amunicji były pociski kompresyjne, tzw. Wilkinson-Lorenz; także w tym przypadku pocisk miał walcowato-stożkowy kształt, ale zamiast otworu w dnie posiadał głębokie dookolne bruzdy, które pod wpływem ciśnienia gazów prochowych powodowały jego ściśnięcie i skrócenie, a tym samym wpasowanie w gwint kanału lufy. Amunicję taką zastosowali m.in. Austriacy. Używali jej w doskonałych karabinach i karabinkach systemu Lorenza, licznie reprezentowanych w arsenale naszych powstańców z 1863 r. ©©



Piszczele, puszkki, hakownice

Pojawienie się broni palnej w Europie datuje się na początek XIV w. Do końca stulecia nowa broń, zwłaszcza artyleryjska, dociera w najdalsze zakątki Europy, a w 1382 r. za jej pomocą obrońcy Moskwy odpierają najazd tatarski. Równolegle z ewolucją artylerii następuje rozwój ręcznej broni palnej (najstarszy znany egzemplarz przechowywany jest w sztokholmskim muzeum historycznym), która przynajmniej w połowie XIV w. obecna jest już na polu walki. Możemy ją podzielić na piszczele, hakownice i rusznice. Te ostatnie uznajemy za broń wyposażoną w zamek lontowy (wynaleziony



w XV w.) i posiadającą profilowaną osadę umożliwiającą pewniejszy chwyt, a nawet umieszczenie broni w tzw. dołku strzeleckim. Rusznice były udoskonaloną wersją starszych rodzajów broni, a więc piszczeli, puszek i hakownic. Nazwa „piszczel” wywodzi się od łacińskiego słowa „paxis”, którym określano wczesną ręczną broń palną. Innymi określeniami często spotykanymi w polskiej literaturze bronioznawczej są: ręczna puszkka (niem. handbuchse) oraz kij – o staropolskim

rodowodzie – nazwa bezspornie nawiązująca do kształtu broni. Hakownica (niem. hackenbuchse) nie stwarza problemu, przy czym w przypadku lżejszych odmian należałoby dodawać przymiotnik „ręczna”, jako że używano także ciężkich, niezbyt mobilnych, wykorzystywanych w roli broni wałowej, względnie taborowej. Warto zauważyć, że niektórzy historycy określenie „hackenbuchse” łączą z rusznicami posiadającymi profilowaną (czytaj: zaokrągloną do dołu niczym hak) kolbę. ©©

XIX–XX w. / Od salonu medycyny alternatywnej do chemicznych laboratoriów

Szampon



Tymoteusz Pawłowski

/ Na podstawie współczesnej prasy kobiecej można uznać, że płeć piękna nie ma większych problemów niż mycie włosów

W XIX w. świat miał stać się lepszy, piękny i pachnący. Nic dziwnego, to wiek pary i żelaza, elektryczności i nauki, który przyniósł prawdziwe oświecenie i edukację dla wszystkich. Przyniósł również mity do dziś pokutujące w naszej świadomości. Jednym z nich był mit ponurego średniowiecza, wieków ciemnych, czarnej dziury między wspa-

niałą starożytnością a jeszcze wspaniałym renesansem. Do takiego obrazu doskonale pasowało przekonanie, że do tej pory ludzie właściwie się nie myli. Szczególnie Europejczycy, bo innaczej – Hindusi, Indianie, Turcy – dbali o higienę. Nie Europejczycy jednak. Ci dawniejsi nie myli się wcale albo bardzo rzadko. Z tym że to nie jest prawda, a przynajmniej – nie do końca.

Wizja „brudnego Europejczyka” narodziła się przede wszystkim ze względu na niewielką liczbę źródeł średniowiecznych – a i renesansowych również – opisujących i pokazujących ablucje. Życie codzienne rzadko było tematem literatury czy sztuk plastycznych, a w nielicznych utworach o takiej tematyce higiena była pomijana. Tak naprawdę – jeśli pominie się pewne dość charakterystyczne wyjątki – pomijana jest i dzisiaj. Skoro nikt nie pisał o porannej lub wieczornej toalecie, to można było pomyśleć, że nikt się tym nie zajmował.

Tymczasem mydło jest znane od niepamiętnych czasów. „Niepamiętny” oznacza w tym przypadku 5 tys. lat – tak

dawno temu produkowano je w Babilonie. A później oczywiście w Grecji, Rzymie, krajach islamu i Europie. Wiadomo, że „nie święci garnki lepią”, ale także do produkcji mydła nie trzeba fabryki, wystarczą: garnek, słonina i trochę ziół. Jeśli ktoś ma wątpliwości, czy nasi przodkowie się myli, to niech przeprowadzi eksperyment myślowy. Jeszcze niedawno 90 proc. Europejczyków mieszkało na wsi, więc gdy wracało się z robót polowych, trzeba było opłukać się przy studni, żeby piasek nie chrząścił w zębach podczas obiadu. Latem – a także wiosną i jesienią – nie było z tym problemu. Zimą było to nieco trudniejsze, wymagało starań, grzania wody, długotrwałego suszenia, ale zimą prace polowe zamierały i chłopcy mieli wystarczająco dużo czasu.

Medycyna alternatywna

Prawdziwe problemy z higieną pojawiły się dopiero wraz z industriali-



Aktorka Mary Pickford myje włosy

FOT. PHOTOPLAY MAGAZINE/WIKIMEDIA COMMONS

A shampoo so rich
you only need to "lather once!"



ników, partie wykorzystać ich do walki politycznej, a koncerny przemysłowe – znacznie zwiększyć sprzedaż.

Trudno producentowi kosmetyków wyobrazić sobie lepszą reklamę niż kampania społeczna – zaczynająca się w szkołach na lekcjach higieny, namawiająca do mycia się i stosowania specjalistycznych specyfików. Do XIX w. było w gruncie rzeczy tylko mydło. Mydło służyło do wszystkiego: mycia rąk, mycia włosów, mycia naczyń, mycia podłóg, golenia, makijażu, demakijażu, do walki z trądziakiem, łupieżem, a pewnie też z syndromem niespokojnych nóg. Dopiero w XIX w. pojawił się pierwszy produkt kosmetyczny odmienny od mydła – szampon.

Szampon pochodził z Indii, samo słowo ma korzenie w sanskrycie – चर्पति – i oznacza „naciskać”, „gnieść”. Europejski szampon pojawił się w 1814 r. w uzdrowisku w Brighton w salonie medycyny alternatywnej – w tym przypadku hinduskiej – jako ingrediencja do masażu głowy. Hinduski masaż głowy miał leczyć reumatyzm, paraliż, histerię i zaparcia. Przepis na szampon był tajny, ale prosty: należało wziąć mydło, rozpuścić je w wodzie i dodać nieco hinduskich ziół, żeby pachniało egzotycznym lotosem, a nie zwykłymi fiołkami.

I w ten sposób szampon produkowano przez kolejne sto lat – najpierw w niezbyt dużych ilościach, a później na masową skalę. Impuls do zwiększenia produkcji przyniosła pierwsza fala feminizmu: pojawiły się w dużej liczbie gazety i magazyny dla pań, w których zachęcano nie tylko do walki o prawa wyborcze, lecz także do walki o prawa wyrażania samej siebie. Biorąc pod uwagę, że we współczesnej prasie kobiecej mniej jest problematyki społecznej i politycznej od reklam kosmetyków, można by uznać, że

pleć piękna nie ma większych problemów niż mycie włosów.

Wianek i czepiec

Wyśmiewanie roli szamponu – i kosmetyków do włosów – w życiu kobiety jest jednak prózną złośliwością wynikającą z ignorancji. Przez tysiąclecia rola kobiety była określana nakryciem głowy. Kobieta musi mieć nakrytą głowę – niezależnie od tego, czy w starożytnym Rzymie, czy wedle nauk Kościoła katolickiego, czy zasad mody. Kobieta nosiła czepiec, jedynie panienka mogła chodzić z odkrytą głową – w wianuszk.

Nie wynikało to jednak z pustych przepisów ani próżnych tradycji, ale z konieczności. Utrzymanie estetycznych, długich włosów wymagało kilku godzin pracy dziennie. Czas na to miały jedynie niezamężne – i niepracujące – kobiety. Z przyczyn naturalnych długie włosy są bowiem tłuste u nasady i suche u końców, a więc w jednym miejscu wydają się brudne, a w drugim są połamane i potargane. Można temu zapobiec, szczotkując je i rozpraszając naturalny tłuszcz wzdłuż włosów. Wystarczy użyć szczotki sto razy z włosiem (i sto razy pod włos) na każdym puklu. Można też schować włosy pod czepkiem. Albo obciąć je.

I dlatego po I wojnie światowej kobiety nosiły krótkie włosy – musiały pracować i nie miały czasu na dbanie o fryzurę. Nie trwało to jednak długo – przy okazji produkcji broni chemicznej tak bardzo rozwinęła się chemia, że na przełomie lat 20. i 30. wprowadzono do sprzedaży pierwsze syntetyczne szampony, które miały niewiele wspólnego z mydłem.

A skoro szampony powstawały w laboratoriach, a nie jak do tej pory w garnkach czy kadziach, to można było wpływać na ich właściwości. Można było zrobić szampon dla dzieci, który nie piekł w oczy, szampon zwalczający łupież, szampon koloryzujący włosy i najważniejszy – szampon pomagający rozczesać włosy po umyciu. Do tej pory kobiety mogły myć włosy, ale ich wysuszenie i rozczesanie było ciężką walką okupioną olbrzymimi stratami we fryzurze. Od kiedy pojawiły się szampony z odżywką – czy też same odżywki – długie włosy można myć codzienne. Można też zdjąć z głowy czepce oraz kapelusze, a wciąż wygląda się elegancko.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jaisński

RANKIEM 22 STYCZNIA 1879 ROKU ODDZIAŁY BRYTYJSKIE ZOSTAŁY ROZBITE PRZEZ ZULUSÓW W BITWIE POD ISANDLWANĄ. ZGINĘŁO W NIEJ 1300 ŻOŁNIERZY, W TYM 52 OFICERÓW. WIEŚĆ O TYM DOTARŁA WKRÓTCE DO ODDZIAŁÓW STACJONUJĄCYCH W RORKE'S DRIFT - MAŁEJ BRYTYJSKIEJ STACJI MISYJNEJ W NATALU.

OKOŁO GODZINY 15:30 DO RORKE'S DRIFT DOTARŁ LICZĄCY OKOŁO 100 OSÓB ODDZIAŁ NATALSKIEJ KAWALERII, WYCOFUJĄCY SIĘ, SPOD ISANDLWANY. DOWODZĄCY NIM PORUCZNIK ALFRED HENDERSON ZGODZIŁ SIĘ WSPOMÓC OBRONĘ STACJI I POPROWADZIŁ ATAK NA FORPOCZTĘ ZULUSÓW. JEDNAK PO TYM STARCII POSTANOWIŁ WYCOFAĆ SIĘ, DO HELPMEEKAAR, GDYŻ JEGO LUDZIE BYLI ZMĘCZENI I KOŃCZYŁA IM SIĘ AMUNICJA. NATOMIAST ZULUSI WKRÓTCE RUSZYLI NA STACJĘ.

ZULUSI ATAKOWALI FAŁAMI LICZĄCYMI PO KILKUSIE WOJOWNIKÓW. DZIĘKI DOSKONAŁEJ ORGANIZACJI I TAKTYCE, KOLEJNE SZTURMY UDAWAŁO SIĘ, JEDNAK BRYTYJCZYKOM ODEPRZEĆ PRZY NIEWIELKICH STRATACH WŁASNYCH.

PO BITWIE DOLICZONO SIĘ, 351 ZABITYCH WOJOWNIKÓW ZULUSKICH, SZACUJE SIĘ, ŻE CO NAJMNIEJ DRUGIE TYŁE ODNIOŚŁO RANY. BRYTYJCZYCI STRACILI 17 ŻOŁNIERZY, A 15 ODNIOŚŁO RANY. GDY WIEŚĆ O BITWIE I BOHATERSKIEJ WALCE DOTARŁA DO KRÓLOWEJ WIKTORII, POSTANOWIŁA ONA UHONOROWAĆ JEDENASTU OBRONCÓW RORKE'S DRIFT KRZYŻAMI WIKTORII.



ROZPOCZĘTO PRZYGOTOWANIA DO OBRONY, SPODZIEWAJĄC SIĘ RYCHŁEGO ATAKU ZULUSÓW. PORUCZNIKI JOHN CHARD (DOWÓDCA SAPERÓW) ORAZ GONVILLE BROMHEAD STARANIE ZAPLANOWALI PUNKTY OBRONY, WYKORZYSTUJĄC ZNAJDUJĄCE SIĘ NA TERENIE STACJI BUDYNKI: MAGAZYN ORAZ SZPITAL. STACJI BRONIŁO W SUMIE JEDYNE 140 OSÓB. WYDANO BRON I AMUNICJĘ, NAWET TRZYDZIESTU RANNYM PRZEBYWAJĄCYM W SZPITALU.



GDY ZAPADŁ ZMIERZCH ATAKI NASILIŁY SIĘ, A ŻOŁNIERZE BRYTYJSCY ZAJĘLI POZYCJE WOKÓŁ BASTIONU ZLOKALIZOWANEGO POŚRODKU STACJI. KOŃCZYŁA SIĘ IM JEDNAK AMUNICJA - Z OKOŁO DWUDZIESTU TYSIĘCY NABOI JAKIMI DYSPONOWALI NA POCZĄTKU BITWY, POZOSTAŁO JEDYNE DZIEWIECIEŚĆ. NAD RANEM, PO OKOŁO DZIESIĘCIU GODZINACH CIĄGŁYCH SZTURMÓW, ZULUSI ZAPRZESTALI ATAKÓW I WYCOFALI SIĘ.



OBRONA RORKE'S DRIFT JEST NIESMIERTELNA.



SŁOWA TE OKAZAŁY SIĘ PROROCZE, BOWIEM PAMIĘĆ O TAMTYCH WYDARZENIACH PRZETRWAŁA. NATOMIAST W 1964 ROKU POWSTAŁ ZNAKOMITY FILM PT. „ZULU” PRZEDSTAWIAJĄCY OBRONĘ RORKE'S DRIFT. W ROLĘ OFICERÓW DOWODZĄCYCH BRYTYJSKIMI ŻOŁNIERZAMI WCIĘLI SIĘ: STANLEY BAKER I MICHAEL CAINE.



**Sławomir
Cenckiewicz**

/ Felieton

Zapomniane

Intermarium polsko-ukraińskie

Niemal w całym powojennym 50-leciu środowiska emigracji polskiej i ukraińskiej poszukiwały dróg porozumienia. Sprzyjało temu podobieństwo losów obu narodów, pozbawionych przez tego samego wroga – Związek Sowiecki – niepodległego bytu, wreszcie zmuszonych do opuszczenia ojczystej ziemi i pozostania na wychodźstwie. Do nawiązania kontaktów skłaniało także niemal identyczne położenie geopolityczne Polski i Ukrainy – ziemiom polskim i ukraińskim rozpostartym na tzw. płycie bałtycko-czarnomorskiej zagrażały zaborcze plany sąsiadów – Niemiec i Rosji. Porozumienie miało też nadać odpowiednią rangę interwencjom polsko-ukraińskim na arenie międzynarodowej.

Dyskutowany od lat 40. projekt Intermarium (Międzymorza) miał być główną płaszczyzną współpracy między narodami Europy Środkowo-Wschodniej. Prowadzeniem studiów nad urzeczywistnieniem koncepcji Międzymorza zajął się polski Instytut Badań Spraw Międzynarodowych z Londynu, w którym najistotniejszą rolę odgrywał Stanisław Paprocki, Środkowo-europejskie Kluby Federalistów, a nawet Klub Rzymski.

Koncepcja nawiązywała do federacyjnych planów Piłsudskiego i generalnie opierała się na odepchnięciu wpływów rosyjskich jak najdalej na Wschód. Intermarium miało powstać w wyniku globalnego konfliktu Stanów Zjednoczonych z Sowietami lub na skutek zbrojnej interwencji Zachodu w Europie Wschodniej. W granicach Międzymorza znaleźć się miały wszystkie państwa położone między Morzem Bałtyckim, Morzem Czarnym a Morzem Śródziemnym, a jego podstawę stanowiły dwa porozumienia strategiczne: węzłe – w którego skład miałyby wejść

narody zamieszkujące tereny na północ od Karpat; ściślejsze – obejmujące terytorium na południe od Karpat.

Miał być to związek narodów: estońskiego, łotewskiego, litewskiego, polskiego, białoruskiego, ukraińskiego, czeskiego, słowackiego, rumuńskiego, węgierskiego, serbskiego, chorwackiego, słoweńskiego, bułgarskiego, albańskiego i greckiego. W myśl tych koncepcji podstawą federacji środkowoeuropejskiej miał być sojusz polsko-ukraiński gwarantujący bezpieczeństwo całego bloku narodów. W tym zakresie ówczesne Intermarium odbiegało znacznie od koncepcji federacyjnych z lat 1918–1922. Wykluczało możliwość dominacji tylko jednego z państw – Polski lub Ukrainy

**/ Godzina wolności
wybiła, my się dalej
kłócimy, a korzysta
z tego jak zawsze ten
trzeci**

– nad całym blokiem środkowoeuropejskim. W tej nowej koncepcji to strategiczny sojusz polsko-ukraiński miał pokierować całym Intermarium.

Już w końcu lat 40. koncepcja polityczna Międzymorza rozbiła się o spory terytorialne. Uczestnicy dialogu, patrząc nieco bardziej perspektywicznie na stosunki polsko-ukraińskie, dążyli do odłożenia sporów terytorialnych na później, wskazując przede wszystkim na wspólnego ciemiężyciela – Związek Sowiecki, który dążył do niepodległościowych aspiracji obu narodów, okupował terytorium Ukrainy i polskie Kresy Wschodnie. Jednak już od

samemu początku strona ukraińska głosiła zasadę etnograficzną w rozwiązywaniu sporów granicznych, uzależniając tym samym powodzenie realizacji Intermarium oraz w ogóle sens kontynuowania dialogu z Polakami od ostatecznego rozstrzygnięcia kwestii granicznych. Jeśli chodzi o granicę zachodnią, to stanowisko ukraińskie sprowadzało się w zasadzie do uznania granicy jałtańskiej, co budziło zrozumiały opór Polaków.

Z polskiej perspektywy granicą kompromisu w rozmowach z Ukraińcami mogło być jedynie uznanie Lwowa za miasto polskie i ukraińskie. Co ciekawe, skłonność do takiego rozstrzygnięcia sporu o „Wierne Miasto” zdradzał bodaj jedynie gen. Paweł Szandruk. Spór graniczny w dużej mierze zaważył na krytycznym stanowisku Ukraińców wobec koncepcji Intermarium. Jeśli już Ukraińcy mówili o potrzebie bliskiej współpracy z Polską, to dążyli oni do narzucenia sztywnego podziału ról, w którym zadaniem Polski miała być obrona bloku przed Niemcami, Ukrainy zaś – powstrzymywanie Rosji.

Tamta emigracyjna dyskusja o Intermarium skazana była na niepowodzenie i uwypukliła wszystkie trudności obecne także we współczesnym dialogu polsko-ukraińskim, chociaż nie dotyczy one już dzisiaj sporu o Lwów. „Należy robić wszystko, by się pozbyć dawnych uprzedzeń – pisał pod koniec życia Stanisław J. Paprocki – zanim wybije godzina wolności dla obu sąsiadujących ze sobą narodów. Gdy wreszcie wybije, obie emigracje powinny mieć wypracowany program współpracy, by sąsiedzkie współżycie nie zaczęło się od kłótni i swarów, z których skorzysta, jak zawsze, ten trzeci – Rosja”.

No właśnie, godzina wolności wybiła, my się dalej kłócimy, a korzysta z tego „jak zawsze ten trzeci”... ©©

ALEKSANDRA GINTROWSKA | RENATA PRZEMYSK | JULIA GINTROWSKA | ŁUKASZ DRAPAŁA
MAREK PIEKARCZYK | ADAM SZERSZEŃ | RAFAŁ BARTMIŃSKI | KRZYSZTOF NAPIÓRKOWSKI | JAKUB WOCIAŁ
ORAZ ORKIESTRA AKADEMII BEETHOVENOWSKIEJ POD BATUTĄ JANA STOKŁOSY

*Niezapomniany
koncert*

Gintrowski

a jednak coś po nas zostanie...

KRAKÓW

NOWOHUCKIE CENTRUM KULTURY

4 CZERWCA 2019

GODZ. 20.00



Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

BILETY DOSTĘPNE
W KASACH NOWOHUCKIEGO CENTRUM KULTURY

WWW.BILETYNA.PL

WWW.GINTROWSKI.PL | [f /GINTROWSKI.PRZEMYSLAW](https://www.facebook.com/GINTROWSKI.PRZEMYSLAW) | [#GINTROWSKI](https://twitter.com/GINTROWSKI)

niepodległa

Projekt realizowany w ramach obchodów
stulecia odzyskania niepodległości
oraz odbudowy polskiej państwowości

MECENAS KONCERTU:



WSPÓŁORGANIZATORZY:



PATRONI MEDIALNI:



eprasa.pl ecab8a3774